Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr – 16 stron | Warszawa, 20 kwietnia 1952 r. | Nr 16–17 (108/9) Rok III

W NUMERZE M. IN.: **Bolesław Bierut** — O kulturze i sztuce (fragmenty przemówień); **Antoni Słonimski** — Portret Prezydenta; **Henryk Gaworski** — List do Towarzysza Bieruta; **Lucjan Rudzicki** — Święto całego narodu; **Igor Newerly** — Moje kontakty z Prezydentem; **Leopold Staff** — Dnie i noce, Strofa; **Tadeusz Kubiak** — W Belwederze; **Tadeusz Sarnecki** — Na wycieczce; **Wanda Grodzieńska** — Wielkość; **Jerzy Piórkowski** — Młody człowiek o wielkim sercu; **Aleksander Ścibor-Rylski** — Echo kroków Prezydenta; **Mieczysław Jastrun** — Poemat o mowie polskiej; **Zofia Nałkowska** — Dni minione; **Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki** — Fragment nowej powieści; **Edward Szuster** — Łódzki wrzesień; **Pola Gojawiczyńska** — * * *; **Tadeusz Breza** — Wspomnienia z pierwszych dni; **Irena Krzywicka** — Człowiek socjalistyczny; **Adam Tarn** — Wielki wzór; **Wanda Leopold i Wilhelm Mach** — Warszawskim śladem; **Józef Kuśmierek** — Płaszcz; **Danuta Bieńkowska** — Uskrzydlone harmonogramy; **Bogusław Kogut** — Życiorys naszej wolności; **Witold Zalewski** — Gospodarze; **Stanisław Wygodzki** — Huta „Częstochowa".

Biblioteka Wyższej Szkoły Ekonomicznej SOPOT

WIKTOR WOROSZYLSKI

SIERPIEŃ

Tego lata, gdy zdrada skuła
nieszczęśliwy lud Jugosławii,
kiedy u nas łeb podniósł kułak,
więc zadrżeli mali i słabi,

kiedy kłamstwa misterna pętla
giętkim wężem oplotła karki,
kiedy chciano nam dłonie spętać
i krew wyssać z żył naszej Partii,

kiedy władzy ludowej radą
szpieg w mundurze łaskawie służył
i głosiło zamorskie radio,
że „są dobrzy komuniści... niektórzy...",

kiedy w ich fantazji już przyszedł
czas pokory naszej i lenna —
tego lata my, towarzysze,
na wieczornych zebrani plenach,

ważąc gniew, niepokój i gorycz
i serdeczną troskę — „co dalej",
takżeśmy do triumfu skorym
„przyjaciołom" odpowiadali:

— Dobrzy komuniści? To — o nas?
O nie, mister, myśmy niedobrzy!
Myśmy nędzy kazali skonać
i nie damy jej znowu odżyć!

Myśmy nasze bogactwa trutniom
odebrali — nie żeby zwracać!
Myśmy weszli na drogę trudną
i nie nam z tej drogi zawracać!

I nie nam gościnnie częstować
obcych wujów pasztetem z ojczyzny!
My nie kupcy, Polska nie towar,
szkoda łez, nie uda się byznes!

Dobry ślepiec może nie dojrzy
zbrodni, zdrady chytrych narzędzi,
ale myśmy niedobrzy, niedobrzy —
i u nas — tak jak chcecie — nie będzie.

*

...Tego lata wiele znosiły,
nie zginając się, nasze barki.
Myślę o tej, co źródłem siły
i ufności była. O Partii.

O niej, która idei tlenem
naszym płucom oddychać dała,
o niej która w płomieniu Plenum
oczyszczała się, hartowała.

Kto w ojczyźnie, jak nie jej wola
dał początek nowemu życiu?
Ona była głosem, co wołał:
„Czujny, czujny bądź, towarzyszu!"

Z nas opokę zrobiła — ona.
Ludu ból nauczyła leczyć.
Dzięki niej — będąc jednym z miliona
można być z miliona najlepszym.

To w jej bitwach, zmaganiach, trudach
rosła kadra — mądra i mężna.
Ona
powołała
Bieruta,
by pod jego wodzą zwyciężać.

Rys. Aleksander Kobzdej

LEON KRUCZKOWSKI

OPIEKUN POLSKIEJ KULTURY

Rzadko się zdarza, aby burżuazyjni politycy, mężowie stanu czy szefowie państw zabierali głos w sprawach kultury. W okresie imperializmu przywódcy polityczni burżuazji coraz wyłączniej należą do typu ciasnych, ograniczonych politykierów-byznesmenów, wzorowym ich modelem jest dzisiejszy prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie mają oni światu nic do powiedzenia prócz pogróżek, prowokacyjnych kłamstw i obłudnych frazesów. Nie mają nic do powiedzenia w sprawach kultury — są bowiem przedstawicielami ciemnych sił, grożących kulturze zagładą.

Zupełnie innego pokroju ludzie kierują dzisiaj losami narodów, które obaliły w swoich krajach panowanie burżuazji. Interesy, które oni reprezentują, są szerokimi interesami mas ludowych, ich rozwoju i dobrobytu, ich pokojowej pracy dla całej ludzkości. Orężem, którym się oni posługują w swej działalności politycznej, jest wszechstronna, bogata, historycznie wypróbowana i zawsze żywa nauka marksizmu-leninizmu. Nie ma więc i nie może być żadnej dziedziny życia, pracy i twórczości ludzkiej, wobec której mogliby być obojętni, której mogliby nie dostrzegać, nie darzyć uwagą i troską. Stalin, ich wzór i nauczyciel, genialnie uosabia tę wszechstronność, żywotność i humanistyczną pełnię umysłu, zdolnego widzieć, badać i twórczo ujmować z równą jasnością wielkie problemy polityki międzynarodowej jak podstawowe zagadnienia nauki o językoznawstwie, potężne koncepcje przeobrażania przyrody jak sprawy rozwoju literatury. Nic w tym umyśle oschłości i wyłączności zainteresowań, wszystko co ludzkie jest mu bliskie i godne uwagi: praca uczonych i troski kołchoźnika, walka o pokój świata i film o „prawdziwym człowieku".

W tej bogatej, wszechstronnej szkole myśli stalinowskiej wyrośli ludzie, kierujący dzisiaj losami wielu narodów Europy i Azji, które się wyzwoliły z pęt kapitalizmu. Wynieśli oni z tej szkoły nie tylko zdolność jasnego widzenia dróg rozwojowych swoich krajów i kierowania walką o przekształcanie swych narodów w narody socjalistyczne, ale również ową bogato rozbudzoną żywość wielostronnych zainteresowań i troski o wszystkie dziedziny życia.

W osobie Bolesława Bieruta, wodza i nauczyciela polskiej klasy robotniczej w okresie jej bohaterskiej walki o ugruntowanie władzy ludowej i wielkiej ofiarnej pracy nad budową podstaw socjalizmu w naszym kraju, kultura polska znalazła nie tylko najwyższego oficjalnego Opiekuna, ale przede wszystkim serdecznego przyjaciela, głęboko świadomego jej zadań i zawsze troskliwego rzecznika jej potrzeb. Jego własna, osobista droga życiowa była trudną i uciążliwą drogą uporczywego przebijania się przez wszystkie mroki, niedole i uciski, jakimi państwo burżuazyjne dławiło życie mas ludowych — ku światłu i czystemu powietrzu wielkiego świata twórczych myśli, ku wspaniałej skarbnicy dobra kulturalnego ludzkości. Miłość wiedzy, postępowej literatury i sztuki, była bowiem nieodłączną towarzyszką społeczno-rewolucyjnej i narodowo-wyzwoleńczej walki klasy robotniczej, jej najlepszych synów i córek. Najszersze upowszechnienie tych skarbów należało zawsze do istotnych celów tej walki — i stało się jednym z głównych zadań władzy ludowej nazajutrz po jej zwycięstwie.

W przemówieniu, wygłoszonym w dniu 3 maja 1949 z okazji otwarcia biblioteki w warszawskiej fabryce im. Świerczewskiego, tow. Bierut powiedział m. in.:

„Wyciągając nauki z historii walk społecznych, nie tylko podjęliśmy hasło upowszechnienia oświaty i kultury wśród mas ludowych, zapoczątkowane — jakkolwiek nieśmiało jeszcze — przez twórców konstytucji 3 Maja, ale urzeczywistniamy dzisiaj to hasło w skali bez porównania szerszej, opierając je na walce o całkowitą przebudowę ustroju społecznego przez usunięcie wszelkich form wyzysku i upośledzenia człowieka".

Słowa powyższe nie tylko określają konkretny program działania dla rządu i masowych organizacji społecznych w Polsce Ludowej. Wyrażają one również stałą i codzienną osobistą troskę tow. Bieruta o sprawy naszego budownictwa kulturalnego we wszystkich jego dziedzinach i przejawach. Troska ta zarówno przebija w licznych, bądź programowych bądź okolicznościowych wypowiedziach, jak i przenika żywą praktyczną działalność tow. Bieruta, w niemałej mierze poświęcaną wszystkim ważniejszym poczynaniom państwa ludowego i środowisk twórczych w dziedzinie kultury i sztuki.

W działalności tej rozróżniać można cztery główne kierunki zainteresowania: sprawę narodowej tradycji i spuścizny kulturalnej przeszłości, problemy nowej, współczesnej twórczości polskiej, sprawy upowszechniania kultury w najszerszych masach narodu, wreszcie — opieka i pomoc dla twórców.

Polska Ludowa uczciła w ubiegłych latach dwa wielkie święta kultury narodowej: 150-lecie urodzin Mickiewicza (1948) i 100-lecie śmierci Szopena (1949). Oba te obchody dały tow. Bierutowi szczególnie cenne okazje dla postawienia przed nami sprawy naszego stosunku do narodowego dziedzictwa kulturalnego. Dziś pełniej niż kiedykolwiek — stwierdzał wówczas tow. Bierut w swoich przemówieniach — najcenniejsze wartości tego dziedzictwa stają się bliskie i dostępne masom ludowym narodu. Nawiązywanie do postępowych tradycji naszej literatury i sztuki jest również niezbędnym warunkiem dla właściwego kształtowania nowej, współczesnej twórczości kulturalnej. Jak dla poezji Mickiewicza i muzyki Szopena najważniejszymi źródłami inspiracji były losy narodu oraz bogate złoża uczuciowe „pieśni gminnej", tak i dzisiaj *„obowiązkiem twórcy, kształtującego duchową dziedzinę życia narodu, jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknoty, ich potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze"* (z przemówienia wrocławskiego 1947). Stąd też polityce najszerszego upowszechniania istniejącego dorobku narodowego w dziedzinie kultury towarzyszyć musi nierozdzielnie usilna troska o czynny udział mas ludowych w dalszym tworzeniu i rozwijaniu tego dorobku. Stąd, w konsekwencji, konieczność starannej i umiejętnej opieki państwa ludowego nad nowymi twórczymi talentami i wszechstronnym ich rozwojem.

Na takich założeniach oparte wytyczne polityki kulturalnej tow. Bierut rozwijał wielokrotnie zarówno w swych publicznych wystąpieniach jak i w licznych spotkaniach i rozmowach osobistych z uczonymi, pisarzami i artystami oraz działaczami kultury. Towarzyszyła tym wypowiedziom stała praktyczna troska o realizację wszystkich ważniejszych poczynań kulturalnych, takich jak odbudowa zabytków, jak wielkie akcje wydawnicze w rodzaju np. „Narodowego Wydania Dzieł Mickiewicza", jak bogate imprezy „roku szopenowskiego" czy zeszłoroczny Kongres Nauki Polskiej. Delikatność i takt w stawianiu zagadnień, głęboka zdolność widzenia zjawisk kultury na tle toczącej się historycznej walki o pokój i realizację narodowych planów gospodarczych, a wreszcie bezkompromisowa stanowczość w osądzaniu zjawisk wrogich postępowi i kulturze, takich jak kosmopolityzm, pięknoduchostwo i formalizm — oto wyraziste rysy tow. Bieruta jako Opiekuna i Przyjaciela twórców i działaczy kultury. Wszyscy zawdzięczamy mu niejedną radę i wskazówkę, niejedno rozjaśnienie lub usunięcie takich czy innych trudności. Kultura polska zawdzięcza Mu jeszcze więcej: decydującą pomoc w torowaniu szerokiej drogi jej rozwoju — od wegetacji przedwrześniowej i spustoszeń okupacyjnych ku szeroko dziś otwartym perspektywom bujnej, wszechstronnej i powszechnej kultury narodowej epoki socjalizmu.

Leon Kruczkowski

Następny, pierwszomajowy numer „Nowej Kultury" (18/110) ukaże się 30 kwietnia.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LIST DO PREZYDENTA

Bo kiedy, Prezydencie, Ty dobrze wiedziałeś,
Jaką trzeba iść drogą i jak nas prowadzić,
Ja zbytnio zaufałem przebrzmiałej mądrości,
Zmęczone oczy pasąc piękności widokiem —
I olśniony tęczami, wtedy nie dostrzegłem
Ugiętego pod jarzmem prostego człowieka.
Ja wiem, ja teraz już dużo rozumiem
I staram się zapomnieć to, co przeminęło,
Nie oglądam się nawet, lecz trochę mi szkoda
„Zachodów promienistych" i „róż" i „marmurów"...
I widzisz, Prezydencie, mnie dzisiaj jest trudno,
Ja już nie jestem młody, a iść prędko trzeba,
Myślałem, że już w życiu coś niecoś zdobyłem,
A tu trzeba pojmować wszystko od początku.
Ty wiesz, że nie chwaliłem wielkich tego świata,
I ten list dziś do Ciebie nie dlatego piszę,
Że stoisz w ostrym świetle niby na cokole,
Wszyscy na Ciebie patrzą, wszyscy Ciebie sławią,
Ale kiedy mi ciężko i kiedy się gubię,
Myślę zawsze o Tobie. Wiem, że Ty tak samo
Kochasz Polskę szeroką, i tych prostych ludzi,
Którzy nową ojczyznę z wysiłkiem budują,
I wiem, że Ty masz rację. I ta myśl o pracy
Jest jak powiew wiosenny na śnieżnej równinie,
Jest jak olśnienie światłem w poranek jesienny,
I wiem, że Ty rozumiesz, iż los mi przeznaczył
Pisać wiersze: u k ł a d a ć s ł o w a d l a P o l a k ó w,
I że więcej nie mogę nic. I że to jest także
Budowa nowych rzeczy i droga do światła.
I że tkacz nad warsztatem, ja nad moim piórem,
Ty nad mapą ojczyzny schylony olbrzymią
Oddychamy tym samym: ogromną miłością
Odrodzonego świata i wiarą w człowieka.

Więc przebacz mi tę śmiałość i ton tego listu,
W Tobie zawsze dostrzegam wzór takiej prostoty,
Że Ci śmiele przesyłam proste pozdrowienie.
Nie czas jest teraz na olbrzymie słowa,
Bo teraz czas jest na olbrzymie czyny.
Mówię Ci więc zwyczajnie zwyczajne wyrazy:
„Żyj długo, pracuj długo — my Ci pomożemy!"

Bolesław Bierut mówi:

Kochamy swoją ziemię ojczystą i swój naród, głęboko przywiązani jesteśmy do dorobku kulturalnego i najszlachetniejszych tradycji naszego narodu.

(z referatu na Plenum KC PPR, sierpień, 1948).

Składamy dzisiaj hołd miastu, które od zarania naszych dziejów ojczystych budziło w sercu każdego Polaka najgłębsze uczucia szacunku i dumy narodowej, uczucia czci i przywiązania dla wszelkich wspomnień naszej przeszłości historycznej. Tu — na ziemi prastarego Gniezna — rozpoczął się przed tysiącem lat wielki proces kształtowania się naszych historycznych dziejów państwowych, narodowych i kulturalnych, którego wynikiem jest dzisiejsza Polska, dzisiejsza nasza kultura i dzisiejsza nasza rzeczywistość.

Tu, z tego miejsca, wypada jak gdyby mierzyć wielkości rozwojowe naszych dziejów narodowych, już nie miarą wieków tylko, lecz miarą tysiącleci. Przypadł nam oto zaszczyt, jaki przypaść może tylko wyjątkowemu pokoleniu w tysiącletnim życiu narodu. Wręczamy dziś miastu Gnieznu — najstarszej stolicy naszego państwa — najwyższe współczesne odznaczenie państwowe, będące symbolem zamykającym tysiącletni historyczny okres dziejów tego miasta, a wraz z tym i historyczny okres dziejów narodu polskiego.

Na herbie tego miasta, u stóp Orła Białego, który jest znakiem tego herbu, a równocześnie emblematem naszego państwa — zawieszamy dziś wielką wstęgę Orderu Polski Odrodzonej, aby połączyć ten tradycyjny symbol pierwszych budowniczych naszego państwa z nowoczesnym symbolem nieśmiertelności Polski, jej niezłomności, jej wieczyście żywego, zawsze odradzającego się z wszelkich klęsk i upadków ducha.

Pragniemy w ten sposób zadokumentować i przekazać w spuściźnie przyszłym pokoleniom tę wielką prawdę, że między tradycją dziejową i współczesnością istnieje głęboka nierozerwalna więź, której wyrazem jest właśnie niezniszczalna siła naszego narodowego postępu duchowego i kulturalnego, naszego twórczego rozwoju społecznego w ogólnym procesie rozwojowym świata.

(z przemówienia na uroczystościach w Gnieźnie z okazji Święta Ludowego, maj, 1947 r.).

Nigdy bardziej nie były bliskie masom ludowym, jak właśnie dziś, wspaniałe i przepiękne utwory Adama Mickiewicza, podnoszące mowę ojczystą na wyżyny niezrównanego piękna. Nigdy silniej — jak dziś — nie przemawiały do serca Jego przepojone niezrównanym żarem uczucia patriotyczne, w których sprawy narodowe zawsze wiązały się nierozerwalnie z wielkimi dążeniami społecznymi i ogólnoludzkimi.

Nigdy pełniej — niż dziś — nie były odczuwane i zrozumiane przez masy ludowe te najgorętsze idee rewolucyjne, które płonęły w wielkim sercu poety-rewolucjonisty i które szukały wyrazu w najlepszych jego utworach, w wybuchowych często wzlotach Jego artyzmu poetyckiego, rozwijającego się na podłożu głębokich konfliktów społecznych.

Wiatr podsyca żar płomienia. Gwałt, ucisk sił postępu — wzmagają tylko siłę tęsknoty ludów ku wolności i podsycają żar walki rewolucyjnej w masach uciskanych — takie jest nieodparte prawo rozwoju społecznego. [...]

Wielki romantyzm rewolucyjny Mickiewicza wybuchał protestem przeciwko zaśniedziałemu oportunizmowi ówczesnych uprzywilejowanych warstw społecznych. Poeta widział cel życia w walce o wolność i niepodległość swego narodu. Pragnął w tej walce wzbudzać uczucia bezgranicznego poświęcenia i oddania sprawie, wolę bohaterstwa i niezłomnego hartu, przenikniętego najwyższym uspołecznieniem, które spaja w jedno całe życie człowieka z ideą narodową i społeczną.

Istotny dla oceny postawy Adama Mickiewicza jest fakt, że nie tylko całą jego twórczość poetycką, ale również i całą jego pełną tragizmu drogę i walkę życiową przenikało trwałe i niezłomne poczucie więzi z najbardziej postępowymi ogólnoludzkimi dążeniami wyzwoleńczymi. Walkę o niepodległość Polski, całe swoje bezgraniczne oddanie sprawie wyzwolenia narodowego — wiązał on jak najściślej z walką o wyzwolenie społeczne, ze zwycięstwem walki społeczno-wyzwoleńczej innych narodów, z przodującymi ideami społecznymi. [...]

Wielkiemu romantyzmowi rewolucyjnemu Adama Mickiewicza dzisiejsze pokolenie polskiego ludu pracującego buduje pomnik nie tylko ze spiżu, ale pomnik oparty na najgłębszych i coraz bogatszych pokładach ducha ludu polskiego, który stanie się potężnym oparciem dla materialnego i kulturalnego rozkwitu naszego narodu. Stanie się on zarazem jednym z niezłomnych przyczółków w walce o pokój światowy, o wyzwolenie ogólnoludzkie.

(z przemówienia na uroczystości odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie, styczeń 1950 r.).

ANTONI SŁONIMSKI

PORTRET PREZYDENTA

Oto w ludu niepamięć, w mroki historii odchodzi
Orszak książąt i królów, panów wielmożnych i krwawych.
W szkole, z ramy portretu, oczy łagodne i czyste
Patrzą na młodość twoją. Oddać jej nie chcą zniszczeniu.

Czasów dawnych nie żałuj, lepszych masz dziś gospodarzy!
Twoja to Polska wyrasta w dźwięcznym przyśpiewie kilofów.
Tu gdzie duma rządziła, pieniądz, miecz albo knut wraży,
Rozum władzę sprawuje, serce i myśl filozofów.
Puszył się pan wielmożny, łeb w górę zadzierał z pychą;
Nisko chłop nad ugorem ziemi pochylał się lichym.
Rodził się i umierał, kładł się pokoleń pokotem,
Padał jak liście z drzewa, gnoił tę ziemię swym potem.
Tysiąc lat ziemia spała, krzywdą jak mrozem okuta;
Człowiek był człowiekowi wrogiem i wrogi był żywioł.
Dzisiaj, patrz! Chociaż droga mgłami przed nami zasnuta,
Ale już pachnie wiosną, ciepły wiatr wschodu ją przywiał.
Jeszcze błota i śniegi, ale już mrozy nie wrócą.
Sercu lżej kiedy pierwszy podmuch przedwiośnia nadleci!
Łatwiej oczom i dłoniom, swobodniej oddychać płucom,
Słuchaj, słuchaj, jak szumi wiatr nadchodzących stuleci!

HENRYK GAWORSKI

LIST DO TOWARZYSZA BIERUTA

I

Każdy wie, Towarzyszu, że w Warszawie mieszkasz,
lecz ja poza Warszawą często ciebie widzę
na zapadłych drożynach, zapomnianych ścieżkach,
gdy w jasnym płaszczu z twarzą od trosk ciemną idziesz.

Drogi, drogi dalekie! Komu nóg starczyło,
by przejść je, nieprzyjazne, kurz i błoto zdeptać? —
To twoja, Towarzyszu, nadzieja i miłość
trwa w szumie olszyn, w jeżyn zakurzonych szeptach.

Szedłeś tymi drogami, jak inni, od dziecka
przez pola bure, ciężkie, jak ciasto razowca,
które bieda miesiła i własna i obca
w dolinach — w klocu ziemi wydłubanych nieckach.

I dzisiaj jak przed laty po tych drogach chodzisz —
a nie można ich stroną przychylniejszą obejść.
Otwierasz drzwi i wrota, zachodzisz do obejść,
uczysz kochać i wierzyć w świat, który się rodzi.

II

Zanim się nasze życie zaczęło od nowa,
nim po czasie nieludzkim czas człowieczy nastał —
tyś widział nas na wielkich dzisiejszych budowach
z czarnej, zetlałej ziemi dźwigających miasta.

Toś ty rysował mury, kolumny, sklepienia
i okna nowych domów pod słońce ustawiał,
urealniałeś nasze młodzieńcze marzenia,
to ty kładłeś nadzieję na człowieczych sprawach.

Wystarczy, Architekcie, wyrzec twoje imię,
a most falami przęseł popłynie nad rzeką,
po nowych torach pociąg zahuczy w dolinie,
jak pieśń, na którą człowiek długie lata czekał.

Poznać źródło twych myśli — to powiedzieć: Partia.
A to słowo jest ciężkie, dźwięczne, jak żelazo,
a to słowo się kładzie zmęczeniem na barkach,
a to słowo ma siłę śmiertelnych rozkazów.

To słowo dźwiga noce kulami przebite,
noce, które nam w oczach jak czarne szkło grzęzły,
w tym słowie boli czyjeś odejście przed świtem
i czyjaś śmierć zwycięża.

W tym słowie żyją twoje najpiękniejsze lata,
któreś oddał dla Partii, któreś w walce sterał.
I tętni droga, którą prowadzisz nas teraz
przez młodość mej Ojczyzny do młodości świata.

III

Ten list o świcie piszę, bo na ósmą
muszę być w pracy — więc pośpiesznie piszę.
Blask słońca złotem na papier mi chlusnął
i myśli wszystkie prześwietlił, jak klisze:
obraz odbity na serca ekranie
jest rytmem pieśni jeszcze nieśpiewanej.

Lecz zanim myśl się w słowie ucieleśni,
zdąży ostygnąć, zmieni kształt i barwę.
Lepiej ułamać gałązkę czereśni,
albo wierzbowych bazi w polu narwać
i posłać tobie — może by dokładniej
mówiły o tym, co powiedzieć pragnę.

O, ile rzeczy na me pieśni czeka
w mojej Ojczyźnie i w ojczyźnie cudzej!
Gdziekolwiek serce uderza człowieka,
gdziekolwiek walczą i kochają ludzie,
tam pieśń powinna wyprowadzić z ciszy
sens rzeczy, sercu człowieka najbliższych.

Za oknem ranek, łomocą tramwaje,
kominy fabryk zaczynają dymić —
o, Towarzyszu, z sercami pełnymi
nadziei, ludzie przy maszynach stają,
żeby wykresy planów szybciej, sprawniej przebiec.
Praca dla kraju — to miłość dla ciebie.

Moja pieśń jeszcze często nieporadna,
jak robotnica bez kwalifikacji.
Lecz, Towarzyszu, więcej o nią zadbam,
nakarmię sercem, uszlachetnię w pracy,
słowa, jak okna otworzę na oścież
dla ludzkiej walki, troski i miłości.

Foto Sławny

Prezydent Bierut z min. Mołotowem w czasie jego ostatniej wizyty w Warszawie

LUCJAN RUDNICKI

ŚWIĘTO CAŁEGO NARODU

18 kwietnia 1952 roku towarzysz Bolesław Bierut kończy sześćdziesiąt lat życia, życia pracowitego i bogatego w skutki. Od trzynastego roku sam się utrzymuje, pomaga rodzinie, zdobywa wiedzę samouctwem i buduje socjalistyczną przyszłość. Będąc kolejno pomocnikiem mularskim, pomocnikiem drukarskim, drukarzem, pomocnikiem geometry i spółdzielcą, ani na chwilę nie zapomina o rzeczy najważniejszej — o walce z niewolą i przemocą kapitalistyczną.

Niedawno, uczestnicząc w jury konkursowym i czytając życiorysy robotnicze i chłopskie, widziałem w nich wielokrotne odbicie własnego życia i ze wzruszeniem myślałem o wielkości przemian, których szczególnym wyrazem jest Prezydent Polski Ludowej, były robotnik i chłop z pochodzenia.

Na liczne pytania skierowane do mnie listownie i na wieczorach autorskich: jak zostałem pisarzem, odpowiadałem jednakowo, że awansowali na pisarzy i we wszystkich innych dziedzinach jeno ci robotnicy, a nawet inteligenci, którzy związali swe życie z rewolucyjnym ruchem robotniczym, z postępem. Jeżeli dziesiątki tysięcy robotników, powtarzałem, przodują w przemyśle i rolnictwie, jeżeli wielu z nich zajmuje obecnie wysokie i najwyższe stanowiska w produkcji, polityce i administracji rządowej, to przyczyniła się do tego głównie marksistowska partia robotnicza, wskazująca wielkie cele, które uskrzydlały energię i wolę.

— Nie zgadzam się! — oponował na jednym z zebrań student technolog. — Większe zdolności pozwalają się wybić jednostce indywidualnie przy wszelkich warunkach.

— Tak jest! — odpowiadam z miejsca, potęgując ciszę. — Może to zarozumiałość, lecz czuję mocno, nawet gdyby mnie nie porwał prąd ruchu robotniczego, zostałbym w Sulejowie majstrem stolarskim, a być może, nawet komendantem straży pożarnej.

Sala trzęsła się od śmiechu.

Różne są drogi do awansu i prawdziwej wielkości, lecz jedynie postępowa klasa społeczna może być dla nich punktem wyjścia, a przebudowa całego społeczeństwa — celem. Tylko w dążności postępowej i rewolucyjnej może się rozwinąć w pełni osobowość ludzka.

Towarzysz Bolesław Bierut, Przewodniczący Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a z woli całego narodu Prezydent Polski, idzie z przednią strażą masy ludowej do wolności i sprawiedliwości społecznej od lat chłopięcych. Warunki domowe nie były sprzyjające, lecz najcięższe nawet nie mogą zdegradować lub zniszczyć jednostki, która widzi przed sobą jasną przyszłość, wierzy w nią i nieustannie zbliża się do niej. Odwrotnie, dążność do rzeczy wielkich potęguje siłę, rozszerza zdolności rozumu i uczuć.

Samolub, naginający wszystko do swych doraźnych potrzeb, zastawia sobie widok na świat korytem, zasklepia się w drobiazgach i zaprzepaszcza w nich swój rozwój.

Uderzające jest, jak towarzysz Bierut, mężniejący młodzieniec, po kilkunastu latach ciężkiej pracy i głodowego zarobku staje się, szczęśliwym trafem, pomocnikiem geometry z płacą kilkakrotnie wyższą niż wszystkie dotychczasowe. Dla samoluba, w jego warunkach, szczyt marzeń. Zostałby do śmierci „omętrą" i zdziecinniałby w pięćdziesiątym roku życia z ciągłego strachu o utratę „raju".

A towarzysz Bierut? Owszem, ceniono go za inteligencję, dokładność i pracowitość. Mógł liczyć na warunki coraz lepsze, lecz należąc całą duszą do ruchu robotniczego, będąc czynnym członkiem partii, łączył swój dobrobyt z dobrobytem i wolnością całego ludu, całego narodu. Jakże mizernie wyglądało pełne koryto geometry w otoczeniu nędzy w porównaniu z ustrojem, gdzie zakwitnie powszechny dobrobyt i wszechstronna kultura. Toteż nie zważając na możliwość utraty swego stanowiska, towarzysz Bierut przekłada obowiązki rewolucjonisty nad własny, względny dobrobyt, poświęca rzeczy małe dla spraw wielkich. Przekracza zwycięsko niewolę osobistą, staje się wolny do walki o wolność powszechną, społeczną. Czy można być bardziej szczęśliwym?

Szef, geometra, widział w tym niezrozumiałą lekkomyślność, a było to jedynie lekceważenie cnót burżuazyjnych w drodze do pięknego jutra.

W rozmowach i dyskusjach o przebytej drodze życiowej towarzysza Prezydenta słyszałem westchnienia: „Ciężkie miał życie". Gorąco oponuję. Miał życie wspaniałe. Szedł w trudzie, często ciężkim, od zwycięstwa do zwycięstwa, rozszerzał w walce zdolności, widział coraz szerzej i coraz głębiej analizował. Przebył w ciągu czterdziestu siedmiu lat, poczynając od trzynastego roku życia, drogę nie tylko wspaniałą lecz i bohaterską. Nie szczędził się, podobnie jak Świerczewski, Nowotko, Fornalska, Finder... Szedł razem z nimi w pierwszych szeregach pod ogniem hitlerowców i eneszetowskich bandytów. Droga do Belwederu, symbolu zwycięstwa, prowadziła przez poddasza i piwnice robotników warszawskich, szpiegowanych przez zjednoczony wywiad hitlerowców i polskiej reakcji. W suterynie Gruszczyńskiej na ulicy Grottgera 12 w Warszawie, skąd zabrano na śmierć męczeńską Fornalską i Findera, oprawcy czekali przez kilka dni na towarzysza Bieruta.

Nie wszyscy na wojnie giną. Padło wielu najdzielniejszych i najdroższych, towarzysza Bieruta zaoszczędził nam los. Reprezentuje Polskę Ludową, demokratyczną z podobną skromną powagą i stanowczością, z jaką w noc sylwestrową roku 1943 na ulicy Twardej 22, w ciasnym robotniczym mieszkaniu przewodził rewolucyjnej Krajowej Radzie Narodowej.

Obchodząc uroczyście sześćdziesięciolecie Towarzysza Prezydenta, świętujemy jednocześnie wielkie zwycięstwo całego narodu, który pod jego przewodnictwem, w ścisłym sojuszu z narodami Związku Radzieckiego, staje się wszechstronnie wolny i prawdziwie wielki. Nie górne dziesięć tysięcy, lecz dziesiątki milionów pracującego ludu stanowi obecnie naród polski. Takiej wielkości nie zna ani burżuazyjna Anglia, ani nadęci zbójecką megalomanią yankesi.

Idziemy naprzód. Budując socjalistyczną Polskę, budujemy pokój i szczęście dla całej ludzkości.

Lucjan Rudnicki

IGOR NEWERLY

MOJE KONTAKTY Z PREZYDENTEM

Kontakty te są liczne, ale tak bardzo moje, tak wybitnie osobiste, że nie wiem, czy warto o tym mówić.

Pierwszy — nawiązany w 1950 roku — żyje dotąd całym urokiem młodości.

Byłem wtedy studentem Wolnej Wszechnicy Polskiej i mieszkałem w śródmieściu. Warszawa nie miała jeszcze Nowej Marszałkowskiej, ani nawet wiaduktu nad Dworcem Gdańskim, na Żoliborz jechało się drogą okólną i jazda trwała bardzo długo. A na Żoliborzu, w szkole RTPD, uczyła śpiewu panna Basia, dziewczyna dla mnie nie do zastąpienia, świeżo ze szkoły muzycznej.

Prosiłem ją o rękę ze wszystkimi kleksami na paluchach — to się tylko śmiała, że jestem dzieciak. Dzieciakiem naturalnie nie byłem, ale rzeczywiście wyglądałem mniej więcej jak kol. Ścibor-Rylski. Ścibor stonował młodzieńcze rumieńce powagą czarnego wąsika, ja w tym samym celu próbowałem zapuścić bródkę. Rosła anemicznie i wolno, o wiele wolniej niż nasza miłość, tak że Baśka w końcu oświadczyła, że jeżeli zgolę tę kłującą obrzydliwość, to możemy się pobrać.

Poszliśmy do fryzjera i wkrótce zamieszkaliśmy na II Kolonii WSM, w pokoju sublokatorskim. Gospodarz mieszkania Nr 75 był nieobecny. Przymusowo nieobecny — po więzieniu, mówiono, musiał wyemigrować. Do rodziny przychodziły listy z zagranicy, raz z Wiednia, raz z Pragi, to znów z Berlina, wreszcie z Moskwy. Wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że — komunista, spółdzielca, jeden z założycieli naszej spółdzielni mieszkaniowej i że się nazywa Bierut.

Gdy wieczorami rozlegało się chrobotanie u drzwi, a potem wchodziły dzieci — trzyletni Janek i nieco starsza, skupiona, zorientowana już Isia — uczuwaliśmy zażenowanie, że jesteśmy tak bezwstydnie szczęśliwi, a tam, za ścianą, są przecież ciężkie troski i dzieci pozbawione ojca.

Lgnęły do mężczyzny, bo podrzuci na rękach, opowie jakąś śmieszną historię, przewróci stół do góry nogami i zawiesiwszy na szczotce prześcieradło, płynie z nimi w krainę dziecięcych urojeń... Tak samo kiedyś, straciwszy ojca w siódmym roku życia, garnąłem się do znajomych panów, tak samo Basia, o jeszcze wcześniejszych grobach obojga rodziców, pukała tam, gdzie się żyło pełnym życiem rodziny. Ten jątrzny ból osierocenia był nam dobrze znany, więc zawsze po odejściu dzieci czuliśmy się nieswojo, jak gdyby cień człowieka walki padł na naszą radość samolubną, na szczęście właściwie mieszczańskie i samo w sobie zamknięte.

Wybudowano potem VIII Kolonię, dostaliśmy z przydziału mieszkań półtoraizbówkę i ten kontakt się urwał. Były już tylko przypadkowo zasłyszane wieści, że Bierut wrócił do kraju albo że Bierut znów aresztowany, że zasądzony na długo albo wreszcie w 1938 roku — że wyszedł z więzienia, widziano go na działkach, jak pomagał sąsiadom, nosząc wodę ze studni... Był właściwie poza środowiskiem WSM-u, a jednak wciąż w nim tkwił siłą pamięci ludzkiej i szacunku, niepokoił jak odblask reflektora.

Dopiero w trzecim roku okupacji znów ujrzałem — Jego syna. Janek Bierut przyszedł do warsztatów po narzędzia Nie poznałem go. Pamiętałem przecież brzdąca strzyżonego na jeża, jego koziołki, jego śmiech zachłystliwy, dzwoniący beztrosko, a tu chłopak wyrośnięty, o ruchach i słowach odmierzonych, wymizerowany i dojrzały liczył skrzętnie narzędzia, które nasza spółdzielnia pracy stolarsko-zabawkarskiej, dorobiwszy się własnego sprzętu, zwracała szkole RTPD.

Pozostało po nim wrażenie jakiegoś hartu, jakiejś siły utajonej, toteż wcale się później nie zdziwiłem, że był przewodniczącym ZWM na Grochowie, że tak samo spokojnie i skrzętnie jak narzędzia stolarskie pakował do wora karabiny, wynosząc je z zagrożonego domu.

W tym samym czasie dano nam, stolarzom, pewne zlecenie poufne. Chodziło o wykonanie skrytek na I i IV Koloniach, o zamaskowane przeperzenie i wyjście na strych. Ja przy tym nie robiłem, robili koledzy — z desek nabytych okazyjnie, po osławionej Lidze Morskiej i Kolonialnej — nie wiedząc oczywiście, jak nikt zresztą nie wiedział, że w tym lokalu, na górce IV Kolonii, odbywać się będą doniosłe zebrania konspiracyjne, na które przyjdzie także tow. Bierut. Słowem, stolarze rżnęli, kuli, strugali bezwiednie dobry kawał — że z dętych aspiracji kolonialnych sanacji zostały tylko deski na schron dla Prezydenta Polski Ludowej.

Słowo Prezydent, nie Przewodniczący KRN, ale właśnie Prezydent — po raz pierwszy usłyszałem w obozie. W grudniu 1944 roku wieczorem, w Oranienburgu, między jednym a drugim nalotem. Przywiezieni niedawno, trzymaliśmy się jeszcze razem, grupą zżytą na Majdanku i w Oświęcimiu. Przyszedł Jurek, który piastował godność fryzjera na X. hali (fryzjerzy zawsze mają wiadomości z pierwszej ręki). On właśnie powiedział:

— W Lublinie jest już rząd, jest prezydent. Wiecie, jak się nazywa? Bierut!

— A imię zapamiętałeś?

— Owszem: Bolesław.

To imię rozwiało wszelkie wątpliwości, było pierwszą konkretną relacją o tym, co się dzieje w kraju. Bo jeśli, myślało się, Bierut jest na czele rządu, to wiadomo, jaki to jest rząd i jaki będzie ustrój.

Ale najmocniejszy kontakt przeżyło się dopiero w następnym roku w Szczecinie.

Stłoczyliśmy się, oszołomieni ocaleniem i pierwszą dawką ojczyzny, zamarliśmy w wielkiej sali Urzędu Repatriacyjnego, słuchając głosu nowego rządu, nowego życia z tym samym dławiącym w gardle wzruszeniem co koloniści w Kuriażu, gdy do nich mówił Makarenko:

— Życie nasze będzie piękne, radosne i rozumne, ponieważ jesteśmy ludźmi, ponieważ mamy głowy na karku i ponieważ taka jest nasza wola...

Głos był niespieszny, skupiony. Ojciec i syn, przyszło mi na myśl, obaj mają słowa niegłośne, odmierzone.

Nie wygłaszał, nie przemawiał — mówił o kłopotach i zadaniach odbudowy, o sprawach oczywistych i drogich tak, że każdemu się zdawało, iż właśnie do niego mówi, i to stwarzało atmosferę bezpośredniej rozmowy, kontaktu osobistego. Ten głos zjednywał i mobilizował, a gdy się niekiedy z lekka zacinał przed uściśleniem czegoś, przed możliwie najpełniejszą definicją, słowo zatrzymane na mgnienie, przełamane na dwoje, wypadało szczególnie znacząco i blisko.

Wrażenie kontaktu osobistego miewałem potem nieraz w czasie przemówień Prezydenta. I nie tylko w czasie przemówień.

Raz odwiedziłem w Laskach towarzysza, który stracił wzrok. Do niedawna jeszcze pełen życia, rozmachu pracy i ambitnych zamierzeń, siedział skulony na ganku zakładu dla ociemniałych. Miał zapachy nagrzanego lasu wokoło, alfabet Braille'a w ręku i dwie pieczęcie czarnych szkieł na oczodołach. Jeszcze przed miesiącem żył bujnie w świecie skomplikowanych zagadnień, teraz zagadnieniem dla niego był słup, drzewo, latarnie, z którymi się zderzał, cała złożoność drogi prostej...

— Zamknij oczy, mówił, spróbuj zrobić sto kroków jak strzelił, a zrozumiesz, co to znaczy — przejść prosto!

Niezrozumiały był ten świat zupełnie innych zmysłów, bez kształtów i barw, na dotyk i słuch, na wyczucie... Spróbowałem zmienić temat, zagadując o wspólnych znajomych, o to, kto go teraz odwiedza?

— Daj spokój — żachnął się — komu jestem potrzebny? Laski są daleko, zresztą, co to za przyjemność — bawić kalekę!

I po chwili spokojnie już, niemal rzeczowo:

— Pierwszy odwiedził mnie tutaj Prezydent, chociaż prawie mnie nie zna. Zaraz przysłał sekretarza, żebym się przypadkiem nie załamał. Uczyć się kazał, bo mogę, bo muszę jeszcze pracować. No, widzisz przecie, że się uczę tych przeklętych kropek! I emeryturę przyznał ze swojej listy. Przynajmniej mam z czego żyć. Nie masz pojęcia, jak mi to pomogło. Nie emerytura, ale — że pamięta, że serce okazał, pierwszy z was wszystkich, widomych...

Usta mu się zwarły w bolesnym skurczu, zamilkł, mnie także zbrakło słów. Uczułem ciepło dobrego przykładu i jakby wyrzut. Tyle oto mówimy o człowieku, że trzeba czujnie, wnikliwie, z wielką troską o drobne sprawy ludzkie... A jednak? Budowałem przecież pewien obiekt przemysłowy. Moja budowa była niewielka, pracowało na niej zaledwie 150 ludzi, a jednak w nawale aktualnych zadań, w napięciu, aby zdążyć, aby czym prędzej produkować, począłem już tracić z oczu poszczególnych ludzi i nawet miałem zatarg z tego powodu.

A Prezydent umie jakoś połączyć swą wielką budowę z troską o człowieka, Znajduje czas, żeby się zająć takim dajmy na to ociemniałym, jednym spośród mnóstwa towarzyszy trafionych, pozostałych na polu za linią frontu.

Były inne jeszcze kontakty poprzez różnych ludzi, przeważnie w terenie.

W Pasymiu, młodzież Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego, wychowana w szkołach hitlerowskich, na baczność i dystans wobec czynników rządowych, nieraz rozpamiętywała, jak Prezydent Bierut zaprosił do siebie na śniadanie ich rektora. Było w tych opowieściach sporo naiwnej dumy z tego, że tak ich w osobie rektora uszanowano, i był podziw dla prostoty, dla mądrości gospodarskiej Prezydenta, co chce wszystko wiedzieć gruntownie — o nich także. Ten obraz głowy państwa wiązał ich z nową ojczyzną, polską i ludową, bardziej niż wiele mądrych i słusznych artykułów.

W terenie też miałem możność przekonać się, jak zadziwiająco sprawnie i szybko pracuje kancelaria cywilna Prezydenta. Widziało się różne sprawy, wyłowione z powodzi listów, zbadane równie dokładnie i fachowo, choć każda była inna. Przydział mieszkania — rehabilitacja z zarzutów czasu okupacji — skierowanie do szkoły mechanicznej dziewczyny, której nie przyjęto, bo była jedyną kandydatką wśród młodzieży męskiej — wynalazek dotąd szykanowany przez zawistnych zwierzchników — nakaz przyjęcia z powrotem kierowniczki referatu i zarazem wyjaśnienie, jak się powinno współpracować z bezpartyjnymi — zwrot ziemi już po dwóch tygodniach, co wywołało we wsi zrozumiałą sensację:

(Dokończenie na str. 6-ej)

LEOPOLD STAFF

DNIE I NOCE

Czas płynie i nie wraca.
Na gruzach życie nowe
Buduje młoda praca.
Pokój krzepi budowę.

Myśli mocne jak ręce,
Ręce lotne jak myśli
Splatają się jak żeńce
W jeden szereg najściślej.

Po dniach co rodzą czyny,
Schodzą spoczynku noce:
Z wież spadają godziny
Jak dojrzałe owoce.

STROFA

Mieczem grożące ramiona
Morderczy oręż utracą.
W pokoju ludów obrona,
Co świat wolnością wzbogacą,
A dzieła przyjaźń dokona:
Gołe ręce zbrojne pracą.

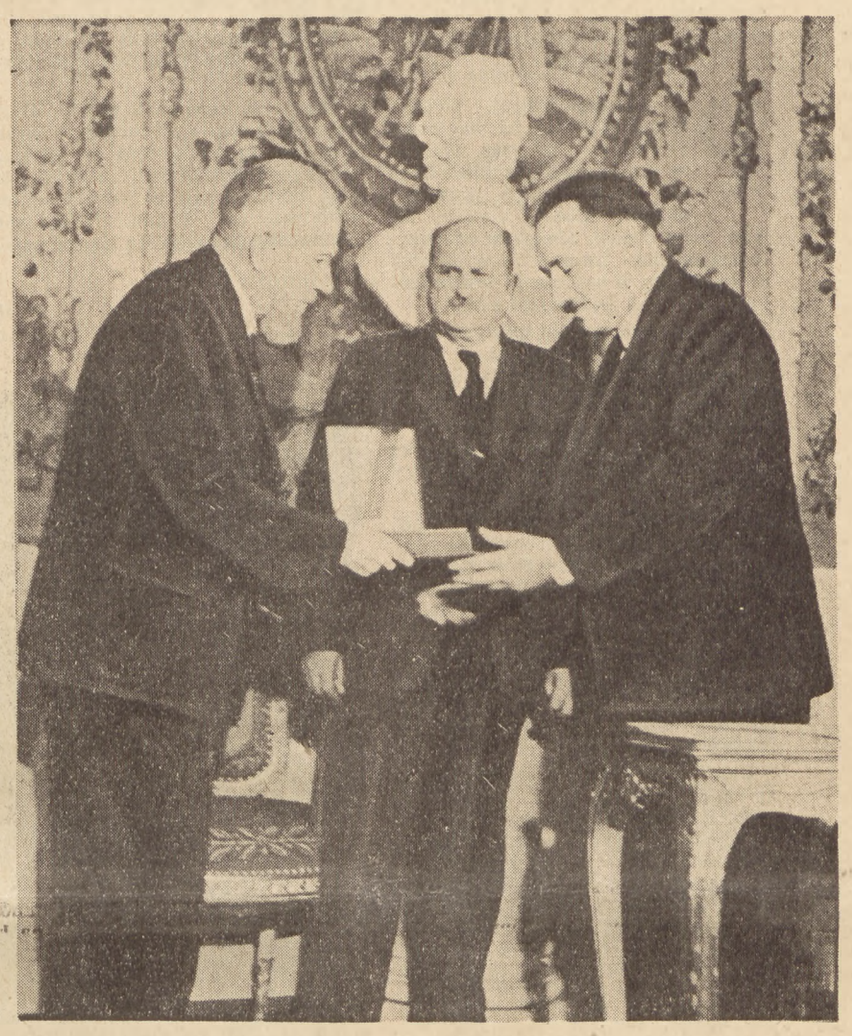

Foto CAF

Prezydent Bolesław Bierut wręcza Państwową Nagrodę Literacką Leopoldowi Staffowi. W głębi Marszałek Sejmu Władysław Kowalski.

TADEUSZ KUBIAK

W BELWEDERZE

Słowem rzeźbionym szlachetnie jak ołtarz Wita Stwosza ,
mistrzu Janie, sławiłeś róż doskonałość i kobiet.
Albo słowem przestrogi biłeś jak dzwonem na pożar,
gdy w naszych rzekach domowych konie poiły się wrogie.

Sławiłeś książąt i hrabiów, panów na zamkach i grodach
„Syp chłopcze fiołki... Dobądź oleje... Gęśl podaj"...
Choć się ku morzu już wielka z gór przetoczyła woda,
ja — pół szczęścia mojego za każde twe słowo oddam.

Sławiłeś rymem i rytmem córkę Urszulę i królów.
Słowem strzelistym jak gotyk i pełnym róż jak renesans.
Ja jestem tylko lutnista — krze co do dębów się tulą —
Ale mój czas jest piękniejszy, niż świat, który Stwosz wykrzesał.

Oto otwarto bramy warowne miast i pałaców.
Oto najpierwszy z pierwszych w ojczyźnie — po prostu — człowiek,
oddaje cześć ukochaniu piękna, snycerskim pracom,
bratu twojemu, poecie, Leopoldowi Staffowi.

W oczach widziałem światło, którego wdzięczność jest siostrą.
Światło i wdzięczność w oczach pierwszego z pierwszych w ojczyźnie.
Wymawiał słowo — Poezja. Po prostu człowiek — tak prosto,
towarzysz walki, któremu najbliższa strofa w polszczyźnie.

Drzew belwederskich szeregi dom otoczyły zielenią,
jakby kolumny wawelskich krużganków liście pokryło.
Więzień z rawickiej celi hołd dziś składa twym cieniom,
Janie, pierwszemu z żyjących poetów wyznając miłość.

W mieście wstającym z popiołów, gdzie płonął kamień i słowo,
mówi o trudnej młodości, której dał swoją siłę,
i o tym co w tej młodości mogło być światłem radosnym.
Mówi — składano w drukarni twe strofy — ja tam byłem —
tak blisko słowa. A potem wziąłem je w serce. I niosłem.

I słowo — dobro — zmieniłem w przedszkola śpiewne jak skrzypce.
Słowo — marzenie — zmieniłem w marmur i szkło nowych dzielnic.
Drzew belwederskich szeregi wiały zielenią i lipcem,
kamienne fauny tuliły się do kamiennych dziewic.

Towarzysz walki — w ojczyźnie, wyrosłej z tego co boli,
wymawiał słowo — Poezja. Słowo jak dzwon. Jak pożar.
A oto młodzik już wcielał na Mokotowie czy Woli
w kamień, w metal — to słowo. I twoje było tam, Janie.
rymów i głazów spajanie —
piękne i doskonałe jak ołtarz Wita Stwosza.

Bolesław Bierut mówi:

Gdzie tkwi tajemnica nieprzemijającego uroku muzyki Chopina, nieodpartego czaru a zarazem prostoty, dzięki której jest tak bliska każdemu ludzkiemu sercu?

Wytłumaczenia szukać należy w tym, że Chopin czerpał z nieprzebranej skarbnicy twórczości ludowej, z motywów i melodii ludowych na naszym Mazowszu, z melodii, które utkane były w ciągu stuleci i odzwierciedlały smutki i radości tego ludu, jego niedole i tęsknoty niewypowiedziane. Chopin potrafił swym geniuszem melodie te wzbogacić i wysubtelnić, potrafił z nich wydobyć najsilniejsze cechy naszej twórczości narodowej. Genialność Chopina jest wymownym świadectwem, że twórczość naprawdę wielka wyrasta z tego, co ludowe, i dzięki temu staje się dorobkiem ogólnoludzkim.

Ale źródło tej siły jest wybitnie narodowe, polskie, nasze — ojczyste i ludowe. Z pokładów uczuć, które mieszczą w sobie pieśń i melodie ludowe, czerpał artysta natchnienie dla swych przeżyć i odczuwań, przekształcając je w misterną i wspaniałą sztukę. Swoisty narodowy charakter jego twórczości nie umniejszał, lecz pogłębiał jej wielkość i znaczenie ogólnoludzkie.

Zadaniem obecnej, nowej epoki kształtowania dalszego rozwoju kultury naszego narodu jest pobudzić do działania w masach ludowych tę niezmierzoną potęgę uczuć, która w nich tkwi i która była źródłem natchnień twórczych Mistrza. [...]

Udostępnienie wspaniałej sztuki Fryderyka Chopina masom ludowym, nauczenie ich, jak odczuwać piękno i czerpać podnietę z jego utworów — będzie najpiękniejszym hołdem złożonym wielkiemu artyście i stanie się zarazem potężnym bodźcem w urzeczywistnianiu naszych dążeń .

(z przemówienia na otwarcie „Roku Chopinowskiego", luty 1949 r.).

Głębokie, zasadnicze reformy, jakie legły u podstaw odbudowującej się Polski, rozszerzyły pojęcie narodu na miliony robotników i chłopów, nadały im po raz pierwszy w naszych dziejach pełne prawa świadomego uczestniczenia w tworzeniu materialnych i duchowych wartości, z których buduje się wielkość i szczęście narodu.

Jeśli Kołłątaj i Kościuszko wołali, iż nie prędzej Polska będzie wolna, póki się lud nasz nie poczuje obywatelem we własnej ojczyźnie, to po półtora wieku trwającej walce możemy dziś stwierdzić, że hasło to jest przez nas w pełni realizowane.

(z przemówienia na uroczystości otwarcia Sejmu, luty, 1947 r.).

Stare stosunki społeczne kształtowała w ciągu wieków stara ideologia, odpowiadająca potrzebom i dążeniom klas uprzywilejowanych. Starej ideologii przeciwstawia się zdecydowanie i konsekwentnie tylko jedna i jedyna rewolucyjna ideologia klasy robotniczej, ideologia marksizmu-leninizmu. Wszelkie wahania ideologiczne są i nie mogą być niczym innym, jak zaciekłym oporem nawarstwień starej ideologii w psychice ludzkiej. Wdzierają się one nieustannie w naszą świadomość, gdy choćby na chwilę osłabimy swą czujność bojową, swój hart rewolucyjny, swą łączność z ożywiającym tętnem życia mas pracujących. W codziennym tętnie twardego życia mas pracujących zawarta jest cała twórcza moc człowieka, jego wielka przeobrażająca siła społeczna. Tylko z pokładów tej twórczej siły czerpali swoje natchnienia rewolucyjne najwięksi przewodnicy ludzkiej postępowej myśli społecznej. Tylko z pokładów tej twórczej siły wyrosła przetworzona w genialnych umysłach Marksa i Lenina w wielki program społeczny rewolucyjna ideologia proletariatu, której dziś przewodzi i którą wzbogaca wielki i genialny wódz światowego proletariatu i kierownik WKP(b) — Generalissimus Stalin. Tylko z pokładów tej twórczej siły wyrósł najpotężniejszy nowoczesny ruch społeczny — rewolucyjny ruch robotniczy. Ruchowi temu przewodzi wielka rewolucyjna ideologia proletariatu: marksizm leninizm.

(z przemówienia na zakończenie obrad Plenum KC PPR — wrzesień 1948 r.).

Demokracja ludowa jest olbrzymim osiągnięciem historycznym, które naród nasz i narody krajów wyzwolonych przez Armię Radziecką zawdzięczają zwycięstwu dyktatury proletariatu w ZSRR, dokonanemu pod kierownictwem partii Lenina - Stalina. Demokracja ludowa, umacniając kierowniczą rolę polskiej klasy robotniczej, zapewni niezłomnie narodowi polskiemu zwycięstwo socjalizmu w Polsce.

O zwycięstwie tym możemy mówić z tak głębokim przekonaniem i wiarą właśnie dlatego, że mamy przed sobą historyczne doświadczenie oraz wzór drogi i walki, którą kierowali Lenin i Stalin, a która doprowadziła do zwycięstwa socjalizmu w ZSRR. Doświadczenie historyczne ostatnich dziesięcioleci potwierdziło w pełni słuszność teorii marksizmu-leninizmu, potwierdziło ogromną doniosłość zgodności idei naukowej z praktyką rewolucyjną, kształtując zaś naszą świadomość w duchu wielkiej rewolucyjnej ideologii proletariatu — ideologii nowej epoki — dało nam niezawodną busolę w codziennej pracy praktycznej.

(z artykułu „Zwycięski wódz nowej epoki", grudzień 1949 r.).

Bolesław Bierut mówi:

Gdy imperializm grozi światu nową, potworną rzezią wojenną, my budowniczowie nowego życia głosimy pokój i przyjaźń między narodami! Imperializm chce narzucić światu powszechne pęta tyranii, wyzysku, niewoli. My, budowniczowie nowego życia, bronimy praw ludu pracującego wszędzie, gdzie przenika gwałt i ucisk, głosimy prawo wszystkich narodów do wolności, do twórczej pracy dla dobra własnej kultury narodowej i własnych form życia społecznego. Dlatego idee nasze są niezwyciężone. Żadna wroga siła nie jest w stanie zahamować twórczych i postępowych dążeń ludzkości. Pokój zwycięży wojnę — jeśli — jak mówił Józef Stalin — „narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą broniły jej do końca!".

(z przemówienia w dniu 1 maja, 1951 r.).

Najcenniejszym skarbem Polski Ludowej jest człowiek. Troska o rozwój człowieka — to najważniejsze zadanie władzy ludowej. Rządy kapitalistyczno-obszarnicze i dzisiejsze wstecznictwo usiłowały i usiłują dotąd utrzymać masy ludowe w ciemnocie, tumanić je oszustwem i sączyć im w głowy strachy, przesądy, plotki, groźby wojenne, niewiarę we własne siły. W ten sposób usiłują oni hamować osiągnięcia władzy ludowej. Państwo ludowe czyni wszystko, aby wzmóc rozwój oświaty ludowej, aby pomóc wydźwignięciu się mas pracujących na wyższy poziom życia kulturalnego. Upowszechnienie kultury — to jedno z czołowych haseł ludu pracującego.

(z przemówienia na dożynkach na Psim Polu, wrzesień, 1949 r.).

Aby wyrównać wielką krzywdę społeczną mas ludowych, czynimy wysiłki, aby podnieść ich stopę życiową, aby z kraju zacofanego gospodarczo uczynić kraj przodujący w dziedzinie przemysłowej i technicznej. Nie można tego osiągnąć bez równoczesnego podniesienia poziomu oświaty, nauki i kultury mas ludowych, bez równoczesnego kształtowania NOWEGO TYPU CZŁOWIEKA, CZŁOWIEKA PRZODUJĄCEGO, KTÓRY POTRAFI ŚWIADOMIE BUDOWAĆ, KTÓRY POTRAFI OPANOWAĆ TECHNICZNIE SWOJĄ PRACĘ, KTÓRY POTRAFI ZROZUMIEĆ I DOCENIĆ ZADANIA I DROGI NASZEGO OGÓLNONARODOWEGO ROZWOJU.

A więc, aby iść szybko naprzód, aby wydobyć się z ponurej spuścizny zniszczeń i zacofania, aby utorować narodowi wolną drogę pełnego rozkwitu jego sił twórczych, konieczny jest rozwój nie tylko przemysłu i rolnictwa, konieczny jest równie szybki rozwój oświaty, nauki, kultury i sztuki, konieczny jest równoczesny rozwój pełnych potrzeb materialnych i duchowych człowieka.

(z przemówienia na otwarciu radiostacji wrocławskiej, listopad, 1947 r.).

Wśród różnych środków oddziaływania na ludzi, sztuka bodaj najgłębiej i najwszechstronniej oddziaływuje na społeczeństwa, kształtuje je, urabia i wychowuje. Dzieło sztuki działa głęboko, zarówno na umysł, jak uczucia i wyobraźnię, może wstrząsnąć człowiekiem, przekonać go, porwać. Wystarczy dla przykładu wspomnieć, jak wielką rolę w naszej historii kształtowania ducha narodu, w mobilizacji całego społeczeństwa polskiego odegrali w okresie niewoli Mickiewicz i Słowacki. Trzeba, żeby nasi twórcy współcześni pamiętali, że ich dzieła powinny kształtować, porywać i wychowywać naród".

(z przemówienia na otwarciu radiostacji wrocławskiej, listopad, 1947 r.).

Potrzeby psychiczne mas ludowych mają głęboki podkład społeczny, którego źródłem jest odczucie krzywdy, upośledzenia, nierówności, paląca tęsknota ku lepszym, szlachetniejszym i sprawiedliwszym ideałom i formom życia społecznego. — Coraz bardziej bowiem dojrzewa w nich świadomość tego, że reprezentują siły postępu kulturalnego, w przeciwieństwie do skostniałych czy zaśniedziałych starych form kulturalnych tych warstw, które schodzą już z widowni dziejowej.

Czynna, twarda i głęboko etyczna postawa duchowa, wysoko uspołeczniony i ofiarny patriotyzm — oto te cechy psychiczne, które kształtują się pod wpływem warunków pracy i bytu mas ludowych. Do tych więc cech i budzących się pod ich wpływem podświadomych potrzeb kulturalnych winni nawiązywać twórcy i wychowawcy, pionierzy i działacze oświatowi, artystyczni, kulturalni.

(z przemówienia na otwarciu radiostacji wrocławskiej, listopad, 1947 r.).

Temat stawia sam artysta. Ale naród ma prawo stawiać swoje wymagania twórcom, aby głębszy nurt utworu, jego cel, jego zamierzenia odpowiadały potrzebom ogółu, aby nie budziły zwątpienia, gdy potrzeba zapału i wiary, aby nie apoteozowały depresji, gdy naród chce działać!

(z przemówienia na otwarciu radiostacji wrocławskiej, listopad, 1947 r.).

TADEUSZ SARNECKI

NA WYCIECZCE

Bolesław Bierut w latach strajku szkolnego. Lublin 1905.

Opowiadanie oparte jest na wspomnieniach starych przyjaciół Prezydenta.

Po całotygodniowej, ciężkiej pracy udali się na wycieczkę niedzielną i od razu wniknął w nich nastrój poranka. Lekkie, białe chmury ledwo zasłaniały słońce, stawało się więc coraz cieplej, ale płuca oddychały swobodnie, inaczej niż w dusznej drukarni, czy w warsztacie mechanicznym, albo i za kontuarem sklepu.

Krok idących stał się sprężysty, stopy twardo wybijały takt marszu. Głośny turkot kół i tupotanie końskich kopyt tworzyły naturalny, energiczny akompaniament.

Weszli na wzgórze, z którego rozciągał się widok na Dąbrowę, cel ich wycieczki.

Las był już blisko. Konie skręciły w bok i wtoczyły wozy na wąską drogę, która wiodła wprost w cienisty, równo wyrąbany dukt. Spostrzegłszy to wycieczkowicze w biegu wskoczyli na siedzenia ze słomy.

Woźnice jakby na to czekali, ściągnęli lejce i strzelając z batów puścili konie w galop. Po kilku minutach z gwarem, śmiejąc się głośno wjechali między drzewa.

Urządzić tu chcieli pierwszy postój, ale gdy wysypali się z wozów, na głównej drodze, od której przed chwilą odjechali, ujrzeli oddział carskiej żandarmerii. Dobrze wypasione wierzchowce lekko sadziły w lansadach, pałasze i lufy karabinów lśniły w słońcu z daleka. Na ten widok odwrócili się w stronę lasu i nic nie mówiąc poczęli iść duktem; pociągnęły za nimi wozy.

Uszli ze trzy kilometry, nim wróciła radość, nie tak już jednak swobodna, jak poprzednio. Dotarli do swej ulubionej, wrzosem porośniętej polany, do zwalonych pni sosen, na których często siadywali, aby wysłuchać referatów, pieśni i deklamacji. Wozy odprowadzono na bok, konie wyprzęgnięto i puszczono wolno na trawę, wyjęto z koszyczków prowiant. Leżąc na ziemi posilali się i z zadowoleniem wciągali w płuca świeże powietrze lasu.

Po chwili z gęstego poszycia jałowcowego wyszedł gajowy Karolak i uchyliwszy kaszkietu usiadł na równo ściętym pniaku dębiny. Fuzję położył obok siebie, ukręcił papierosa z gazety i zasnuł się dymem. — Nie będzie was kąsać! — Zapewnił jakby usprawiedliwiając się z przykrej, ostrej woni machorki.

Zdrożeni marszem, odpoczywali z przyjemnością. Bolek oparł głowę o wystające korzenie sosny i zamknął oczy. Natychmiast zjawiły się w jego wyobraźni niespokojne obrazy: ulice Lublina, mała duszna drukarnia Druego, gabinet mierniczego i on sam, jak szedł przez pole z przyrządami mierniczymi obok swego wiecznie zajętego szefa. Co go jeszcze w życiu czekało, jaka zmiana zawodów, losu, do jakiego szedł celu? Był już roznosicielem gazet, zecerem, metrampażem, pomocnikiem mierniczego, a znajdował się przecie dopiero na progu życia...

Usłyszał, że ktoś podchodzi, otworzył oczy, stała przed nim Jadwisia. — I co, milczysz tak jakoś...

Bolek wstał i przeniósł wzrok na resztę towarzystwa. Po odpoczynku młodzieńcza energia wzbierała na nowo. Jak zawsze pierwszy porwał się z ziemi Wacek, dziewczęta zaś pośpiesznie sprzątały resztki jedzenia.

— Namyślam się, o czym mówić...

Nim wypowiedział zdanie, już wiedział, co dzisiaj powie. Nagle zjawiła się prosta myśl: mieli przed sobą całe życie i szukali do niego dróg, które zamurowano przesądami klasowymi, uprzywilejowaniem jednych, upokorzeniem drugich... A przecież nie mogą ustąpić. Tak, to im powie — wszystko jest do zdobycia, jeśli...

Jadwisia odeszła do porządków, Bolek usiadł więc przy drzewie i układał sobie przemówienie, ale przeszkodził mu Karolak; dopalił właśnie papierosa z machorki i przysunął się z wyraźnym zamiarem pogawędzenia. Gajowy przychodził tu zawsze, gdy ci młodzi przyjeżdżali w niedzielę, aby z dala od Lublina odetchnąć świeżym powietrzem i swobodą.

Karolak nachylił się prawie do samego ucha Bolka, choć nikt nie mógł ich tu słyszeć.

— Mówią, że coś niespokojnie być zaczyna. Prawda to? Mówią, jakoby zbliżała się wojna i że narody nie chcą już więcej cesarzów i carów. Mówią, że wojska jakoweś już się szykują ponoć i u nas.

—I u nas, to prawda — Bolek potwierdził, ale wyobraził sobie natychmiast ćwiczącą drużynę Sokoła i Strzelca, dodał więc szybko: — Jedno wojsko pobije drugie, a nic może się nie zmienić. Trzeba wiedzieć, o co mamy się bić. To jest najważniejsze, jak ma być po tej wojnie.

Twarz Karolaka poorana była bruzdami, ale zachowała tę czerstwość, którą posiadają tylko ludzie stale przebywający na powietrzu. Ukazał się na niej teraz uśmiech zrozumienia.

— Tak, tak, rzetelna prawda — potwierdził gajowy — niejedne już wojny przeminęły, a ostało jako było — ciężko prostemu człowiekowi. O, to, to właśnie...

Tymczasem reszta towarzystwa poszła nad wgłębienie, wokół którego wszyscy rozsiedli się jak w amfiteatrze. Naprzeciw było niewielkie wyniesienie gruntu z ogromnym pniem sosny, wyrwanej przez burzę z korzeniami. Na tę naturalną estradę wzywał Bolka Edek dogadując, iż opóźnia program. Bolek przeprosił więc gajowego, ale Karolak podreptał za nim i siadł w pobliżu, tak aby dobrze słyszeć.

Bolek nie zamierzał mówić długo. Są młodzieżą — stwierdził — ciężko pracującą na życie, brak im systematycznego wykształcenia, ale ożywia ich idea braterstwa, chęć wiedzy, miłość społeczeństwa. Znajdują przed sobą przeszkody, które muszą złamać wspólnymi siłami. Nic ich nie może przed tym powstrzymać! Świat stary pomału ustępuje, oni zbudują świat nowy, świat sprawiedliwszy, z prawami równymi dla wszystkich.

Młodości, podaj mi skrzydła!...

Sam nie wiedział, jak zaczął „Odę do młodości". Widocznie najlepiej wyrażała jego myśli, uczucia, pragnienia, wiernie oddawała nastrój, który go opanował. Mówił głosem pełnym, dobrze odmierzonym, trafnie podkreślając myśli wielkiego poety.

Młodości! Tobie nektar żywota
Na ten czas słodki, gdy z innymi dzielę.
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Nagle, gdzieś w głębi lasu padł strzał i potoczył się między drzewami zwielokrotnionym echem. Bolek głos na chwilę zawiesił w martwej ciszy, jaka po strzale zapanowała, słychać było tylko spokojne, równomierne stukanie dzięcioła. Później rozległ się tętent koni.

„Żandarmi!" — przemknęło Bolkowi przez myśl. Skończył jednak spokojnie wiersz i zanim słuchacze mieli się czas zorientować, zaczął następny. Tym razem były to strofy „Farysa".

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się krysztale.
I pierś morza...

Głos Bolka był opanowany, słuchaczom udzielił się jego spokój, siedzieli nieporuszenie, ale czujnie nadsłuchiwali, czy ktoś nie nadchodzi. Tętent koni wzrastał, wreszcie na polanę wyskoczyła z duktu żandarmeria wyraźnie czymś podniecona. Widząc grupę ludzi, jeźdźcy osadzili konie i nieco zaskoczeni tym widokiem, przysłuchiwali się deklamacji.

O, szalony! Gdzie on goni!
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielonowłosa,
ni białe łono namiotów!

Wąsaty wachmistrz z czerwoną, opaloną twarzą, podsunął się bliżej i z całą uwagą wsłuchiwał się w słowa mówiącego, aby nic nie uronić z treści wiersza. Wodził wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych i zdawał się badać skryte w nich myśli.

Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu...

Bolek skończył mówić i rozległy się oklaski, ale niepokój wzrastał, tym bardziej, że wachmistrz podjechał tuż do siedzących nad wgłębieniem i z siodła zawołał: — A wy tu wiece urządzacie w lesie, ha! Buntowszczyki! I do carskiej żandarmerii wy strzelali, ha! Niemiły wam car i jego obrońcy, to ich kulą zza krzaka, ha! Ale my żywiom, żywiom i wyuczim was lubit' caria. Sam Boh caria chranit', a my toże, toże!

Oskarżenie brzmiało groźnie, mogło znaczyć uwięzienie. Gajowy Karolak postanowił działać. Liczył trochę na swój mundur gajowego, w każdym bądź razie i on był jakąś urzędową osobą, przynajmniej tu, w lesie. Wysunął się zza pniaka, skąd słuchał Bolkowej deklamacji, uchylił przed wachmistrzem czapki. — Wasze błagarodie, to nie oni strzelali i z czegoż by to, z kijów?

Zaskoczony tym wachmistrz zmarszczył rudawą, odstającą brew. — Gajowy, ha! Razem z tymi buntowszczykami. Nie strzelali, powiadasz, a możeś tak sam, ha? Pokaži rużjo!

— Wasze błagarodie — zaprotestował z oburzeniem Karolak — ja sam na służbie cara, więc i po co bym strzelał. Spił się pewnikiem ten Szymek z drugiego rewiru, on zawsze tak na niedzielę i teraz strzela na wiwat, hycel, proch po próżnicy marnuje!

Wachmistrz uważnie obejrzał dwururkę Karolaka i oddał ją zawiedziony.

— Nu, nie ty. Tak kto?

— Nikt inny, tylko Szymek, Wasze błagarodie! To z jego fuzji, znam ten głos. Z karabinu inaczej huka, wasze błagarodie!

Karolak uwziął się przekonywać, ale wachmistrz nie raczył nawet słuchać. Uważnie rozglądał się wokoło. Przy wozach powstał właśnie ruch, gdyż furmani widząc na co się zanosi, spędzili konie i zaczęli zakładać je do orczyków. Śpieszyli się i ten ich pośpiech nie uszedł uwagi żandarmów. Wachmistrz zagrzmiał na cały głos:

— Ach, wy czortowo siemja. Czewo staicie kak duraki. Obyskat' tielegi i kusty!

Zgromieni podkomendni rzucili się do rewizji. Snopki pokłuli szablami i dla pewności rozrzucili słomę na wszystkie strony. Niczego jednak nie znaleźli, popędzili więc natychmiast w pobliskie krzaki tnąc znów szablami zarośla. Aż dudniło w lesie od galopu koni.

Zwracając się do Bolka wachmistrz pytał: — Czto eto za tielegi?

— Najęliśmy je na wycieczkę. Z miasta jest prawie dwie mile, a są wśród nas kobiety.

Wachmistrz złośliwie popatrzył na dziewczęta, pogardliwie wydął grube, czerwone wargi.

— Kobiety, panie, damy! A wot i pójdą pieszkom. Hej, tam! — krzyknął w stronę furmanów — poszoł won i nie daj Boh, abym spotkał was jeszcze po drodze!

Furmani byli już do jazdy gotowi, ruszyli kłusem, a puste wozy wysoko podskakiwały na korzeniach drzew. Po chwili zniknęli w dukcie. Wrócili natomiast żandarmi i zameldowali:

— Nikawo nie naszli!

— Płocho iskali! czorty!

Wachmistrz był zły, jednak po chwili namysłu poweselał.

— Charaszo, kak nikawo nie naszli, znaczit ani sami strielali. Dalej w pachod!

Żandarmi uformowali wycieczkowiczów w długą kolumnę, dwóch z nich jechało przodem, dwóch od tyłu, reszta cwałowała po bokach. Karolak szedł kilka kroków za aresztantami, ale później podbiegł do wachmistrza.

— Wasze błagarodie, wasze błagarodie — wołał — oni nie strzelali!

Wachmistrz zniecierpliwił się uporem starego, machnął mu przed twarzą nahajką.

— Małczi, swołocz, a to i tiebia, sobaka, zabieriom w tiurmu!

Gajowy przystanął pod drzewem, zacisnął zęby, kurczowo chwycił za dwururkę, ale opanował się i tylko syknął: — Sam parszywa sobaka: — Poszedł wreszcie w las wygrażając: — Jeśli to Szymek, pokażę pijanicy!

Aresztowani wyszli już z lasu i zaraz opadł ich na polu skwar pełnego dnia letniego. Szli szybko, ledwie dążyli za konnymi, wygodnie rozsiadłymi w kulbakach.

Wesoły zawsze Wacek szedł w głębokim milczeniu, ponury, nagle ociężały. Stracił rezon nawet Edek, najdowcipniejszy z całej gromady. Tylko Józio Dominko znosił tę nieprzewidzianą sytuację z filozoficznym spokojem. Jadwisia oglądała się na Bolka — wierzyła, że on znajdzie wyjście z sytuacji. Na jej czoło wystąpiły już grube krople potu. Coraz częściej zaczęła się potykać, wreszcie zaszlochała.

Wachmistrz nie był tym zdziwiony, nie zmniejszał tempa marszu, odwrócił się tylko na siodle i z nieukrywaną pogardą zawołał: — Nie wydzierżała gołubka!

Żandarm Wiśniewski podjechał do wachmistrza.

— Delikatne to wszystko, bo wódki nie piją, bywałem u nich w towarzystwie „Przyszłość", nigdy ani krzty alkoholu.

Wachmistrza zainteresowała ta wiadomość. Śmiał się głośno, tak go to bawiło.

Bolek uważnie wsłuchiwał się w ton głosu wachmistrza; w głosie tym tajała poprzednia zawziętość, uznał tedy, że nastąpił odpowiedni moment. Podszedł bliżej.

— Panie wachmistrzu, przecież pan dobrze wie: to nie myśmy strzelali. Zresztą nie było przecież z czego.

— Acha, nie było z czego, a gdyby było, to byście strzelali, nawet w cara. Ja was znaju, wsie buntowszczyki!

— Kak twoja familia? — wachmistrz rozpoczął inkwizycję.

— Bolesław Bierut.

Wachmistrz zastanawiał się głośno: — Bierut, Bierut gdzie ja etu familiu słyszał?

— Ty poeta, wiersze składasz, ha?

— Nie, to był Farys Mickiewicza.

— Kto? — Wachmistrz posłyszał nowe nazwisko, zrodziło się w nim podejrzenie. — To on strielał, ten Farys?

Bolek ledwie powstrzymał uśmiech.

— To ten wiersz nazywał się Farys, a napisał go Mickiewicz.

Wachmistrz nie zmieszał się ani na moment, był tylko po prostu zawiedziony.

— Ach tak, tak, Mickiewicz. Tak mówisz, nie strzelaliście?

— A nie.

— Nu, nu, czto z wami diełat'?

— Puścić wolno, panie wachmistrzu.

Wachmistrz surowo spojrzał w oczy Bolka, zdawało się, że chce przejrzeć go na wylot. Bolek wytrzymał to spojrzenie z całym spokojem i rosnącą pewnością. Wyczuł, że wachmistrz się waha, że traci pewność siebie. — Tylko będzie kram — powiedział śmiało — nikt nam strzelania nie udowodni i po co to wszystko. Zawiadomimy adwokata, po co tyle kłopotów?

— Bierut, Bierut, gdzie ja etu familiu słyszał? — W dalszym ciągu zastanawiał się żandarm. — Kłopot, mówisz, będzie!

Zegar kościelny wybił w Lublinie godzinę dwunastą. Słuchali bicia tych godzin w ciszy nic nie mówiąc. Wachmistrz nie spuszczał wzroku z Bieruta.

Zdecydował się nagle, niespodziewanie pewnie i dla samego siebie.

— Smatritie, drugoj raz nie popadajties! Za mnoj, rebiata!

Zandarmi ruszyli tak gwałtownie, że zakrył ich tuman kurzu. Nawet nie obejrzeli się za siebie. Ot, pozbyli się kłopotu.

Widać już było Zamek i zręby pierwszych kamienic, pobladłe w silnym świetle słońca. Na niebie ani jednej chmurki, pogoda była prześliczna, tylko myśli Bolka były niewesołe. Zastanawiał się, ile jeszcze może upłynąć czasu, zanim lud rosyjski rzuci z siebie jarzmo caratu. Polsce przyniosłoby to wolność.

Był rok 1914.

Tadeusz Sarnecki

Z teki graficznej pt. „Bolesław Bierut", która ukaże się wkrótce nakładem „Czytelnika".

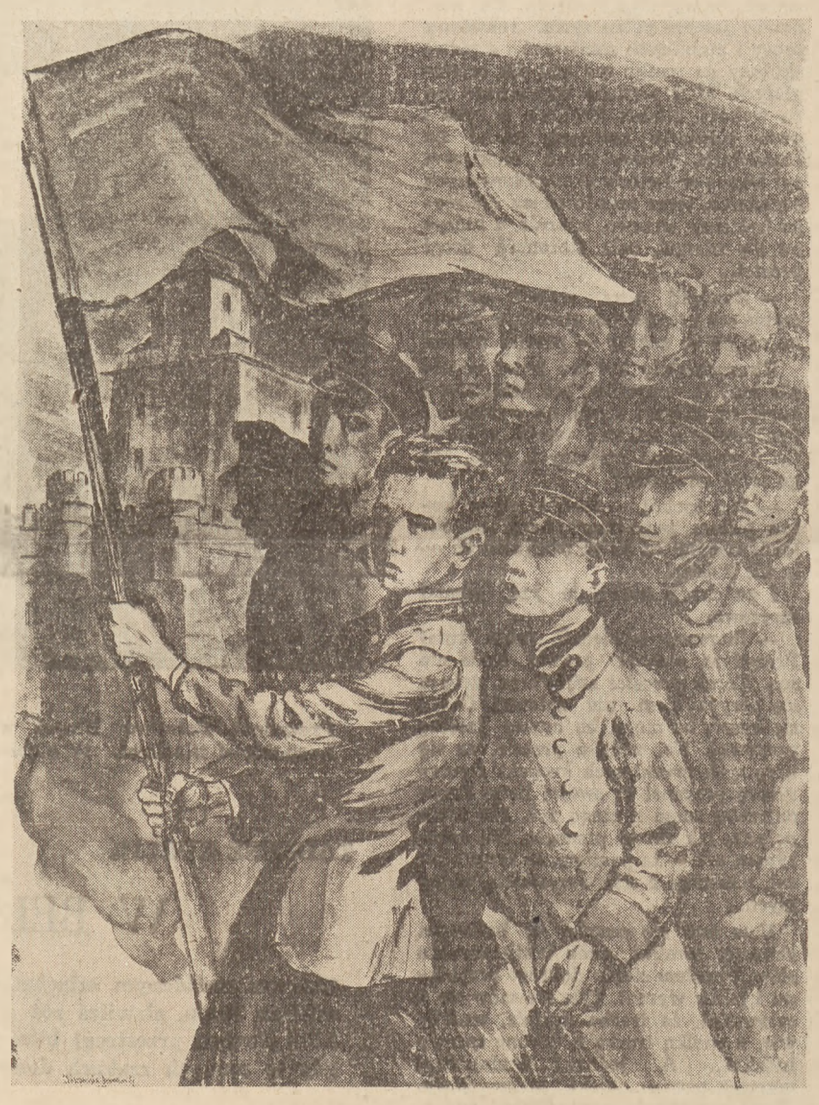

Rys. Maria Hiszpańska-Neuman

Strajk szkolny w roku 1905 w Lublinie.

Z teki graficznej pt. „Bolesław Bierut", która ukaże się wkrótce nakładem „Czytelnika"

Rys. Leonia Janecka

Towarzysz Bierut w drukarni w r. 1913.

WANDA GRODZIEŃSKA

WIELKOŚĆ

Gdy zecer rzędy czarnych czcionek
Na linotypie nocą składa,
Czasem to będzie pieśń, co gromem
Wiek nowy ludziom zapowiada,

Czasem poemat, który w cieple
Kaszt długo rośnie i dojrzewa,
Zanim w gotowy kształt okrzepnie,
Nim ludzką mową się rozśpiewa.

A czasem pod zecera dłonią
Myśl wielka się obleka w ciało,
Myśl, co przetapia świat milionom
W formę jedynie doskonałą.

Myśl, co jak zboża kłos zakwita,
By w ziarno dojrzeć w nowym prawie
I wiosnę — wiosna ludu wita,
Przydając sławy dawnej sławie.

W kolumnach druku tętni życiem,
Krzywdy wiekowych ustaw ściera.
Zgłębiając wielkość jej — ujrzycie
Twarz towarzysza, dłoń zecera.

Bolesław Bierut mówi:

Zwalczanie kosmopolityzmu jako ideologii rezygnacji z praw i potrzeb własnego narodu oraz kapitulanctwa wobec imperializmu łączy się z walką o pokój i niepodległość. [...].

W dziedzinie kultury kosmopolityzm wyraża się u nas w niedocenianiu narodowego dorobku kulturalnego, w wyrzekaniu się własnych postępowych tradycji, w czołobitności wobec schyłkowej kultury kapitalistycznej i wszelkich jej wynaturzeń, w pozbawionym często godności padaniu plackiem przed amerykańską sztuką, literaturą i nauką niezależnie od istotnych ich wartości. W Ameryce kosmopolityzm jest supernacjonalizmem, w krajach marshallowskich przybiera postać kapitulanctwa i zdrady narodowej. U nas walka z kosmopolityzmem, narodowym kapitulanctwem i nihilizmem narodowym łączy się z walką z nacjonalizmem i szowinizmem, które dotychczas były główną postacią antyproletariackiej ideologii. [...]

Partia nasza kosmopolityzmowi i nacjonalizmowi przeciwstawia prawdziwy patriotyzm i proletariacki internacjonalizm. W tym świetle szczególnego znaczenia nabiera krytyczne opracowanie naszej spuścizny kulturalnej, odsłonięcie i spopularyzowanie całego bogactwa naszego dorobku narodowego, naszego wkładu do kultury ogólnoludzkiej, naszych walk rewolucyjnych i naszych najnowszych osiągnięć. [...]

Ideologia suwerenności i patriotyzmu ludowego i socjalistycznego, opartego na proletariackim internacjonalizmie, prowadzi do maksymalnego rozwoju sił wytwórczych, do upowszechnienia i rozkwitu kultury narodowej, do wszechstronnego rozwoju wszystkich twórczych sił narodu. W tym przeciwieństwie tkwi istota walki ideologicznej o pokój przeciw zaborczości i agresji imperialistycznej.

(z referatu na II Plenum KC PZPR, kwiecień, 1949 r.).

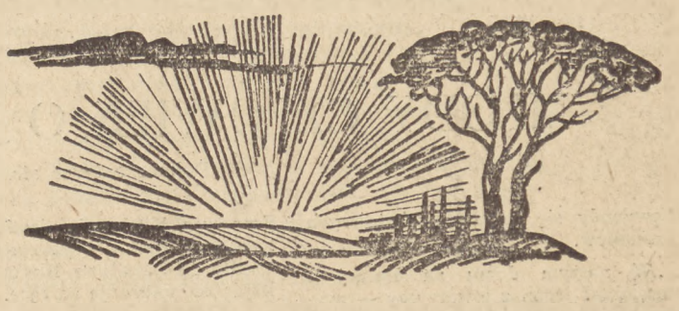

Doświadczenia ruchu robotniczego uczą nas, że nacjonalizm jest niebezpiecznym, bo zamaskowanym wrogiem dążeń wyzwoleńczych ludu i narzędziem rozbijania zwartości i jedności klasy robotniczej. Nacjonalizm jest przeciwieństwem rzeczywistego i głębokiego patriotyzmu. Patriotyzm — to gorące, szczere, pełne ofiarności uczucie społeczne, uczucie przywiązania do postępowych dziejów narodu, do jego kultury, do ziemi ojczystej, to duma z najlepszych jego tradycji, to poczucie odpowiedzialności za zaszczytny współudział ojczystego kraju w postępowych dziejach ludzkości. Patriotyzm proletariacki to walka rewolucyjna o lepszy i sprawiedliwszy ustrój społeczny, to gorąca troska o przodujący udział swego kraju w światowym ruchu rewolucyjnym.

Patriotyzm proletariacki — [...] to oddawanie wszystkich sił dla zwycięstwa socjalizmu we własnym kraju, dla przyśpieszenia zwycięstwa socjalizmu na całym świecie. Patriotyzm proletariacki — to najgłębszy rewolucyjny internacjonalizm. Nie ma sprzeczności między patriotyzmem i internacjonalizmem. Przeciwnie, patriotyzm jest tylko wówczas szczery, prawdziwy i istotny, kiedy jest internacjonalistyczny. Nie można kochać szczerze i gorąco ojczyzny, gdy się nie walczy o wolność i postęp ogólnoludzki. Nacjonalizm — to symbol ciasnoty, egoizmu i zdziczenia, to uczucie antyspołeczne, to — jak wykazało doświadczenie ostatnich lat — w ostatecznym rachunku rezygnacja z suwerenności, zaprzaństwo narodowe.

Za parawanem nacjonalizmu ukrywali się zawsze ci, którzy zdradzali swój kraj. Nacjonalizm — to sztandar Arciszewskich, Zarembów, Mikołajczyków, Andersów, Borów-Komorowskich itp. ludzi, którzy zawodowo za judaszowe dolary szkalują Polskę przed światem.

Zatracenie czujności wobec tendencji nacjonalistycznych, przenoszonych do ruchu robotniczego przez nacisk otoczenia drobno-mieszczańskiego — to wielkie niebezpieczeństwo, zaciemniające świadomość klasową.

(z referatu na Kongresie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, grudzień, 1948 r.).

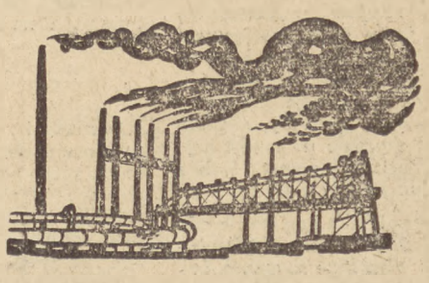

Cóż warta byłaby twórczość artystyczna, cóż warta byłaby sztuka czy literatura, która by nie dostrzegała, nie pojmowała, nie czerpała natchnienia z tych głęboko rewolucyjnych przemian i zjawisk, które się dokonywują, które nurtują w umysłach, które wstrząsają podświadomie psychiką milionów prostych ludzi.

Upowszechnienie i uwspółcześnienie twórczości kulturalnej we wszystkich jej różnorodnych przejawach i dziedzinach — oto zadanie, które wkłada na barki obecnego pokolenia twórców i na barki całego narodu nowy okres historyczny, okres demokracji ludowej.

Upowszechnienie — to znaczy ogarnięcie atmosferą i pragnieniem wiedzy, samokształcenia, upodobań kulturalnych i artystycznych milionowych mas młodzieży robotniczej i chłopskiej i przyswojenie sobie przez te masy wiedzy i upodobań artystycznych, obudzenia zainteresowań kulturalnych w milionowych rzeszach ludu pracującego i ich zaspakajanie.

Uwspółcześnienie twórczości kulturalnej, to znaczy wyzwolenie jej ze starych przesądów, to znaczy tworzenie nowych wartości kulturalnych, wyrastających z nowych form społecznych, z nowej rzeczywistości, lecz nawiązujących do najcenniejszych walorów naszej spuścizny kulturalnej.

(z przemówienia na otwarciu radiostacji wrocławskiej, listopad, 1947 r.).

JERZY PIÓRKOWSKI

Młody człowiek o wielkim sercu

I

Ciężki, okrutny był rok 1919 dla górników i hutników Zagłębia Dąbrowskiego. Radosny, pączkujący interwencyjną wojną, amerykańskim smalcem i demobilem, spekulacją i hossą — dla polskiej burżuazji. Poszedł już na przechowanie, mocno skropiony defensywiacką naftaliną „socjalistyczny premier" — imć pan „towarzysz" Jędrzej Moraczewski. Jeszcze kilka miesięcy temu krzyczał on gromko a rubasznie do swoich kamratów, mających jakieś resztki wątpliwości, kiedy Piłsudski wysiadał z magdeburskiego pociągu:

— „Cóż to, jak Boga kocham, Ziukowi nie wierzycie?"

Wierzyli, a jakże. Stukali zgodnie i karnie beselerowskimi ostrogami, puczyli się owi legionowi oficerowie z łaski jego królewsko-cesarskiej, apostolskiej mości austriackiej, krew waliła im z pychy młotem w skroniach, węszyły już wokół czujne, niespokojne oczy. I było czego węszyć, strzyc niespokojnie oczami. Cały kraj, jak pożar, ogarniał bunt. Napływały fale uchodźców wojennych, powracających ze wschodu. Przynosiły niespokojne wieści o robotnikach i chłopach rosyjskich, co to rozprawili się ze swoimi generalskimi i czynowniczymi pasożytami. Pękała moc okupacyjnych armii austriackiej i pruskiej... — Żołnierz niemiecki oglądał się za domem, w którym aż piszczał głód. Bratał się więc w okopach, wśród zasieków, z oddziałami czerwonych partyzantów, czerwonych marynarzy. Jak długa i szeroka gniewnie powstawała i dudniła buntem milionów — Polska. Nie pragnęła ona bynajmniej, jak pisał o niej kułacki poeta: „chleba, wódki, cybucha"..., ale przede wszystkim — władzy robotniczo-chłopskiej, ludowej. W Tarnobrzeskiem chłopi puszczali czerwonego koguta obszarniczym dworom. Górnicy i hutnicy w Zagłębiu Dąbrowskim rozbrajali garnizony niemieckie i austriackie, uzbrojeni sadowili się przy kopalniach i hutach sosnowieckich. Tak to awangarda polskiego proletariatu przechodziła od rewolucyjnych słów do rewolucyjnych czynów.

Nic więc dziwnego, iż febra lęku trzęsła tą beselerowską radą regencyjną: purpurat kardynalski Kakowski i purpurat książęcy Lubomirski porwali wprost z pociągu nieco ogłupiałego tym wszystkim „Komendanta" do swoich apartamentów. I oto „Ziuk", który — jak opowiada w swoich wspomnieniach towarzyszący mu oficer pruski, udawał się do kraju mocno niespokojny, ze względu na swoją kolaborancką przeszłość — wyszedł z magnackich salonów pełen dawnego wigoru i tupetu. Przed starym agentem H. K-Stelle otwierały się nowe, zawrotne perspektywy. Kardynał Kakowski zanosił już za niego modły dziękczynne jako za niebieskiego męża opatrznościowego. Lubomirski z uznaniem patrzył, jak „Ziuk" wysiadał grzecznie na „niepodległościowym przystanku", znajdującym się w jego przedpokojach. Ale sam „Ziuk" wkrótce znowu tęgo najadł się strachu: oto otumanione mieszczuchy warszawskie w dwa dni później przyciągnęły Tamką pod Zamek, chcąc zawiesić wreszcie ów czerwony sztandar, o którym tak dużo i pięknie mówił i „Komendant", i jego karni premierzy. Z Zamku na spotkanie wyszedł więc skulony i zaniepokojony. Widział oto pokaźny, nieznajomy tłum, widział rozchwiane czerwone sztandary — nic więc dziwnego, iż on, który — jak wielokrotnie o tym mówił — polskim tłumem pogardzał, poczuł się bardzo nieswojo. Ale oto z tłumu wyszedł Jedko-Narkiewicz, swój chłop. Ochłonął więc nieco i spytał przyciszonym głosem: — Co wy tutaj, na miłość boską, robicie, czego chcecie?"

Jodko służbiście trzasnął obcasami i wyrecytował energicznym głosem: — „Komendancie, chcemy zawiesić czerwony sztandar na Zamku".

Piłsudski był i zdumiony i wściekły jednocześnie, ale musiał się pohamować: — „Zawieście, abyście go tylko mogli tam utrzymać".

Słowa „Ziuka" okazały się zaiste prorocze. W dwa tygodnie później, kiedy miał już wokół siebie dość beselerowskich żołdaków z „polskiego Wehrmachtu", kiedy Ententa poczęła mu się przyglądać oczyma swoich podrzędnych agentów, czerwony sztandar na rozkaz Sosnkowskiego cichcem ściągnięto z zamkowej wieży. Niedługo po fałszywym sztandarze ściągnięto z premierowskiego stolca i fałszywego pana Jędrzeja.

Ale prawdziwy czerwony sztandar łopoce nad buntowniczym Zagłębiem. Górnicy i hutnicy Zagłębia Dąbrowskiego, jedni z pierwszych, pokazali polskiej burżuazji ciężką, uzbrojoną pięść proletariatu. W tym samym niemalże dniu, w którym Piłsudski przybywa do Warszawy, ginie od kul polskich żołdaków pierwszy polski robotnik: Furman. Sprawdziły się słowa esdekapelowca Jagozdy z „Róży", który z lękiem myślał w celi X. Pawilonu Cytadeli Warszawskiej o mogącej przyjść straszliwej „dyktaturze sołdata, z białymi orłami na kaszkietach". Wkrótce podjudzany, pijany patrol morduje bestialsko bezbronnego rębacza z kopalni „Renard" — Dylonga.

Piłsudski w Warszawie beztrosko ściąga chorągiew z zamkowej wieży. Ale do Zagłębia, aby zdusić opór czerwonych proletariuszy, musi przysłać pułki piechoty uzbrojonej po zęby. Rada Zagłębiowska Delegatów Robotniczych, wspaniała Rada, pełna bojowego ducha, najbardziej energiczna i sprawna w działaniu, musi w końcu ulec żołdackiej przemocy. Ostatnich delegatów wywożą do Piotrkowa — tam więżą długie miesiące. Po ulicach Sosnowca, Będzina, Dąbrowy — hula biały terror: przy lada okazji huczą strzały, patrole żołdackie biją napotykanych robotników, demolują ich mieszkania.

Klęska? Nie, przegrana tylko. Czy na długo? Najbliższa przyszłość pokaże. Jedno jest pewne: trzeba będzie teraz inaczej prowadzić walkę, gromadzić siły, ucząc się na popełnionych błędach. Trzeba myśleć nie tylko o dniu, tygodniu, miesiącu następnym — ale i o tym, co będzie za rok, dwa i pięć. Burżuazja mocno usiadła w siodle. Walka będzie długa, zażarta. Potrzeba proletariatowi podciągnąć i przygotować do tej walki jak najwięcej rezerw. Potrzeba wychować kadry ludzkie: odważnych, wiernych sprawie ludzi.

Wówczas to przybywa do Zagłębia młody, szczupły człowiek o migotliwych ciemnych oczach i poważnej, spokojnej twarzy. Jest to Bolesław Bierut. Przybywa on z Lublina z polecenia Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, aby postawić na nogi zagłębiarską robotniczą spółdzielczość. Partia ten odcinek roboty słusznie traktowała podówczas jako jeden z najważniejszych. Trzeba było bowiem jak najskuteczniej przeniknąć do klasy robotniczej. Trzeba było również stworzyć legalną bazę organizacyjną, bazę ekonomiczną, będącą oparciem partii w jej dalszej, rewolucyjnej walce. Ów młody wysłannik partyjny zatrzymał się na robotniczym przedmieściu Sosnowca, w Milowicach, przy ulicy Monuszki pod numerem pierwszym — u towarzysza Piotra Supernaka.

II

Jeśli Sosnowiec jest proletariacką twierdzą Zagłębia, to kopalnię „Renard" śmiało można nazwać owej twierdzy — czytadelą. Tutaj to w „Renardzie" mieścił się sztab Czerwonej Gwardii. Młodzi górnicy hurmem poszli służyć do tego pierwszego wojskowego oddziału proletariatu. Do ostatka dumnie chodzili z nowiutkimi mauzerkami na patrole, coraz sprawniej strzelali i maszerowali za kopalnianymi haldami, na pobliskich łąkach.

Rozbroić się nie dali. Z odbezpieczonymi granatami przeszli przez warty beselerczyków, zakopali broń, rozeszli się do domów.

Ale oto wkrótce na „Renardzie" znowu zaczerniało morze robotniczych głów — jak w tamte pamiętne dni, kiedy to załoga wybierała swoich delegatów do Rady. Górnicy bacznie w milczeniu przyglądali się sublokatorowi Piotra Supernaka, kiedy ten podchodził do stołu i zaczynał mówić. Robotnik polski nie tak łatwo nabiera zaufania: przypatruje się nieznajomym uważnie, ostrożnie. I tak właśnie przysłuchiwali się słowom Bieruta górnicy w trakcie swego pierwszego spotkania. Młody towarzysz tymczasem wzywał ich do zakładania robotniczych spółdzielni. Mówił do nich prosto, bez frazesów, uczciwie: że powinni już zawczasu nauczyć się gospodarzyć sami troszczyć się i dbać o swoje potrzeby życiowe, pomyśleć o tym, aby coraz więcej umieć i wiedzieć. Słów tych górnicy wysłuchali uważnie: i ci, szpakowaci już mocno weterani rewolucyjni, towarzysze walki Feliksa Dzierżyńskiego z 1905 roku, i młodsi, zapalczywi, jeszcze niewystygli do reszty — czerwonogwardziści. Przemyśliwali rzecz całą szczegółowo i głęboko, dorozumiewali się bystro tego wszystkiego, czego i mówca powiedzieć wyraźnie nie mógł. Dali mu, kiedy skończył, krótkie, ale huczne brawa. Jednocześnie uchwalono założenie spółdzielni. Rozwiązały się, jakże chude, proletariackie kieszenie. Już w dwa miesiące później, we wrześniu, otwarto ze spółdzielczych udziałów pierwszy sklep. Po roku tych sklepów w Zagłębiu było już trzynaście. Niecodzienne to były sklepy. Przy każdym z nich znajdowała się robotnicza świetlica. Duszno, gwarno było w tych robotniczych świetlicach. Schodzili się tutaj coraz tłumniej ludzie, czytali gazety, słuchali pogadanek i odczytów. Prelegentem był i ów młody mówca — Bolesław Bierut, i Antonina Sokolicz, i Danieluk, i Sempołowska. Przy sklepach, jak powszechnie wiadomo, zdarzają się często i pokoiki kancelaryjne, i magazyny. Sporo było w owych pokoikach lokatorów. Często się oni tylko, rzecz nieco dziwna, zmieniali. Nocowali tutaj emisariusze partyjni, ukrywali się ci, którym defensywa deptała po piętach.

Byli wśród nich i ludzie niecodzienni, których robotnicy zagłębiowscy strzegli jak źrenicy oka, a wśród nich Marceli Nowotko, za którym szczególnie zaciekle węszyła sfora szpicli. Wszyscy oni, znani i nieznani, znajdowali przytulisko i pomoc w owej robotniczej spółdzielni, w jej pokoikach i zakamarkach, magazynach i sklepach, a nade wszystko w sercach skupionego tutaj roboczego ludu. A przecież w owych dzielnicach robotniczych, na Sielcach, Milowicach, Ksawerze, rodziła się i raczkowała polska rewolucja, w warunkach rozpaczliwej robotniczej nędzy. Tutaj to wśród rynsztoków wy-

(Dokończenie na str. 6-ej)

Rodzina Bierutów (1905): od lewej: Bolesław, matka Marianna, brat Andrzej, ojciec Wojciech z wnukiem

Bolesław Bierut w latach 1922-24.

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI

Echo kroków Prezydenta

Koniec marca, śnieżysty i mokry, zastał mnie w Zagłębiu, gdzie szukałem — jak mogłoby się wydać na pozór — rzeczy nietypowych i należących tylko do przeszłości. Nie dopytując się bowiem o stutysięczne Tychy i omijając świeżutkie fabryki włóczyłem się po sieniach, które w swej kwaśnej wilgoci sprawiały wrażenie beczek na ogórki, lub wystawałem zamyślony opodal kamieniczek z porowatej polnej cegły, od półwiecza bez mała nieużywanej w budownictwie, wyglądem zaś przypominającej kromki razowca. Spędziwszy szereg dni w Sosnowcu zaniedbałem spaceru na ulicę Rudną, gdzie mógłbym przyjrzeć się stawianiu górniczych bloków mieszkalnych, przekładając nadeń przechadzkę po krzywej jak sierp uliczce Dolnej, w której woda deszczowa opłukawszy sąsiednie wzgórza zbiera się niczym w korycie. Pachnie tam hubą drzewną, myszami, kompostem, a także czymś, co przywodzi na myśl garnek po serwatce. Ściany przykucniętych domeczków, często niezamieszkałych, stoją niepewnie: woda wylizuje spod nich ziemię, osiadają więc nierówno, pokrywając się suchym bluszczem pęknięć i szczelin. W okolicy można gdzieniegdzie znaleźć ruiny i zawaliska; w powietrzu wiszą łachmany tapet, jakiś piec na pierwszym piętrze, pęknięta futryna, resztka sufitu. To nie ślady bombardowań, choć także ślady walki klasowej. Domy tak budowano, że obsuwają się same. Przy Sieleckiej, Dolnej, Kuźnickiej, Barbary czy ulicy Wawel kapitalizm poupychał siłę najemną, którą stąd o glinianym świcie wywoływały syreny i którą tam o zmroku zaganiały.

Tu mieszkali komuniści.

Po raz pierwszy uliczkami Sielca oprowadził mnie pewien sztygar, którego osoba nie ma dla tego, co piszę, szczególnego znaczenia — tym bardziej, że nie on dał mi odczuć żywą i wciąż promieniującą siłę tych miejsc. Wskazawszy mi na przykład czerwoną kamieniczkę przy ulicy Sieleckiej 27, zwaną domem Warkocza, powiedział wprawdzie: „Tu pracował towarzysz Bierut", ale w jego ustach wiadomość ta miała posmak na wskroś historyczny. W ten sposób mówimy o pamiątkach z wojen przeciw Szwedom lub Tatarom, które niegdyś wywarły wpływ na losy narodu, lecz dziś już bezpośrednio na nasze kroki nie oddziaływują.

Na przełomie lat 1926-27.

Sztygarowi temu, od dziecka zamieszkałemu w Sosnowcu, nie przyszło nigdy do głowy, by wśród zapleśniałych podwórek ulicy Dolnej odnaleźć ślady pewnej piekarni, która kiedyś była w rękach zagłębiackiego proletariatu bronią niemniej ważną, niż poprzednio karabiny i granaty czerwonogwardzistów z „Renarda". Wspomnienie o tym, że „Robotnik" — bo tak brzmiała nazwa piekarni — mieścił się pod numerem ósmym, wystarczało mu, i chociaż sam był jednym z ludzi, którzy w osiemnastym roku zbrojnie stawali w obronie Rad Delegatów, to przecież nie czuł teraz, po latach, potrzeby szukania tam jakiegoś echa, jakiejś wiecznie aktualnej nauki.

Przechodził z nami obok sklepików prowadzonych ongiś przez tak zwaną R. S. S., czyli Robotniczą Spółdzielnię Spożywców, i odnajdywał ich wspomnienie za wychłostanymi przez deszcze zielonymi okiennicami i spaczonymi deskami drzwi mówiąc, że tworzył te punkty towarzysz Bierut przed trzydziestu laty. Lecz nie przyszło mu nigdy na myśl, by wejść, zapytać, obejrzeć, z kogo składa się dzisiaj personel placówki Spółdzielni Spożywców, Sklep nr 42 przy Mierosławskiego, w narożnym budynku, gdzie towarzysz Bierut walczył o świadomość proletariacką sosnowiaków.

Żeby zrozumieć, co mogą znaczyć dla człowieka te ciasne mury i biedniuchne podwóreczka — naturalnie muzeum spraw rewolucyjnych, kapepowskich — trzeba mi było odwiedzić starego znajomka, Józefa Szulca, nadgórnika, którego można śmiało nazwać chlubą kopalni im. Stalina, chlubą miasta Sosnowca.

W roku 1905 w gminie Racławice, gdzie prawnukom kosynierów dziedzic wybijał zęby tak, jak kiedyś i kosynierom samym, przyszedł na świat dzieciak, który nie krzyczał, jakkolwiek poruszał otwartymi usteczkami. Był zbyt słaby. Nazwano go Józkiem.

Nieco później czarny buhaj z giebutowskiego folwarku jaśniepanów braci Dzianotów zabił fornala, wyszarpnąwszy mu garść jelit. Dzianotowie nie ponosili tu bezpośredniej winy — fornal nie zdążył umknąć za ogrodzenie. Dzianotowie głodzili go długo, od dawna: nogi miał koncpiane, mięciutkie — na takich nogach przed bykiem nie uciekniesz. To był ojciec Szulca.

Kończył się właśnie siódmy dzień od wypadku, a czwarty od pogrzebu, kiedy w czworakach zamknęła oczy kobieta wycieńczona chorobami i pracą. Nie zapisano nigdzie i już się tego nie dowiemy, czy miała gruźlicę, czy raka. Czerni parobczańskiej lekarze nie doglądali. To była matka Szulca.

A w roku 1945 dzikawy górnik-analfabeta Józef Szulc, zachrypły od nienawiści, gdziekolwiek przydybał faszystę, wyjmował z kieszeni gumę grubą na cztery palce i prał po tyłku, bo mu się wydawało, że tym sposobem wymierza dziejową sprawiedliwość i bilansuje wszystkie krzywdy.

W pięć lat potem pewien człowiek otrzymał Nagrodę Państwową za poważne usprawnienie sposobu przekładania przenośników zgrzebłowych, za usprawnienie, które było znacznym ogniwem w łańcuchu poczynań, rewolucjonizujących polskie górnictwo. System ów wszedł do naszej technologii pod nazwą metody Szulca.

No, ale trudno powiedzieć, żeby to był ten sam Józek Szulc.

— Ciemnego łatwo ocyganić — mówi Szulc — a ja byłem ciemny. Od małego mówili „nie trza w ul dmuchać". Albo „nie pchaj rzeki, sama płynie". Inni uczyli się z książek, a ja tylko, ot, co ucho chwyci, głowa zapamięta. Tyle było mojego rozumu. Później zobaczyłem, że tacy, co „rzekę pchali", mieli rację: szybciej poszła ta nasza robociarska rzeka. Ale kiedy to zrozumiałem? Dopiero jak oni już tę władzę ludową budowali. Przed wojną myślałem o komunistach, że chcą księżyc zębami ukąsić. Taki byłem. A kilka lat temu pokazali mi towarzysze sklepik w domu Warkocza na Sieleckiej. — Tutaj — powiadają — była spółdzielnia, a założył ją Bierut. — Jak to — mówię — ten nasz prezydent sklepiki zakładał? — Ach, ciemny chłopie! — śmieli się koledzy i od tego zaczęła się moja nauka historii ruchu robotniczego. Dzisiaj, jakby mnie kto o te sklepiki zapytał, to tak bym odpowiedział: kiedy ja chcę w kopalni na dole strzelać węgiel, muszę najpierw dziur naborować i napchać karbonitu. Śmiesznie pomyśleć, że tycia dziurka i karbonitu na dwa palce, a węgiel się posypie tonami! A przecież tak jest. Towarzysz Bierut te sklepiki borował w Zagłębiu jak dziury w węglu. A pchał w nie, niby ten karbonit, ideologię leninowską. I kiedy przyszedł czas — wybuchło. Z tego między innymi jest Polska Ludowa. Czasem ciężko tu przy robocie. Już się człowiekowi wydaje, że nie ruszy. Wróg, sabotaż... To ja wtedy, nic nikomu nie mówiąc, idę na przechadzkę po Dolnej, gdzie była piekarnia „Robotnik", po Sieleckiej, albo zajrzę do Niwki, czy do Będzina, albo znów do Milowic, stanę gdzie w kąciku podwórza i jakbym tamto wszystko widział na swoje własne oczy: biedniutka izbeczka, świetliczka, pomęczeni górnicy uczą się walczyć o tę władzę robotniczą, a towarzysz Bierut wykłada cichutko, żeby szpicle pana komisarza Strzeleckiego nie podsłuchiwali. A tu już areszt na karku, już kajdankami dzwonią... I myślę sobie: towarzyszowi Bierutowi też musiało być nie lekko, ale diabła zjedli, a on nie ustał, nie dał się; taki to był człowiek, co to jak w piosence: ucz cię w głodzie, chłodzie, ucz cię w niewygodzie bolszewikiem być... I ja też się uczę, co rok więcej, co rok jestem bardziej zły na siebie, co rok większe kroki uczę się stawiać, żeby się nauczyć — jak w piosence: bolszewikiem być.

Nie takie to jeszcze dawne czasy, kiedy Szulca, pilnego górnika, nie opuszczała ani na chwilę myśl o zarobkach, dla których gotów był przeskakiwać normy i podejmować zobowiązania.

Kiedy przeszła mu ta łapczywość, ta chciwość fornalskiego dziecka-niedojadka, zaczął walczyć o rekordy, żeby ludzi drażnić, żeby trącali się nieznajomi na ulicy szepcząc z zazdrością: „widzisz, to Szulc, najlepszy górnik w Sosnowcu".

Leżał nocami z oczyma otwartymi, pełnymi wieńców i dyplomów.

Na „barburce" u schyłku roku 1949 spotkał się oko w oko z towarzyszem Bierutem, który wręczał mu upominek, zegar w korpusie ze szklistego orzecha.

Szulcowi oczy migotały jak po wódce i czuło się, że najchętniej zwołałby cały Sielec, aby nikt nie uronił szczegółów tego spotkania: dzielny, nadzwyczaj dzielny górnik Szulc zamienia uścisk dłoni z Prezydentem!

I zamienili ten uścisk.

Tylko, że w tym momencie Szulc — jakby zeń zdjęto galowy uniform, jakby go odkryto i zdemaskowano — zadrżał. Towarzysz Bierut w i e d z i a ł. Patrzył mu w oczy poważnie i z troską.

Prezydent się martwił.

Dzisiaj Szulc jest w rzeczy samej najlepszym górnikiem swojej kopalni i zarobkami swymi mógłby przed niejednym się chełpić. Ale Szulc, dając ze siebie wszystko według sił i możliwości, od dawna już nie robi tego dla pieniędzy ani dla rozgłosu i nie przeszkadza mu w tym świadomość, że daleki jest jeszcze dzień, kiedy otrzyma wszystko, co dla pełnego zaspokojenia ludzkich potrzeb jest konieczne.

Gdy inni zaciągali zobowiązania, które miały dać wyraz ich miłości i szacunku dla pierwszego obywatela kraju, brygada Szulca zgłosiła sto trzydzieści procent normy miesięcznej. Świeżo zmieniono brygadzie ścianę, transport szwankuje, niedawno mieli kilkudniową awarię, wiedzieli więc, przyjmując ten dobrowolny obowiązek, że spełnienie go będzie leżało niemal u szczytu ich obecnych możliwości. Ale Szulc rozmawia ze swoimi ludźmi dużo i często o tym, czego nauczył się z życiorysu towarzysza Bieruta. Nauczył się sporo. Jego ludzie także.

Późnym wieczorem kończymy naszą rozmowę. W stronie Będzina, górą, pod ostrym światełkiem gwiazdy polarnej, układa się prostokąt Wielkiej Niedźwiedzicy.

Niżej na prawo jak drobny łańcuch ciągnie się gwiazdozbiór Smoka. Pod nim rozchlapana Mleczna Droga, a na niej białe grudki gwiazdek Kasjopei.

Szulc mówi:

— Kiedy towarzysz Bierut przyjechał tu w dwudziestym trzecim, we wrześniu, też mu było nie łatwo. I gwiazdy stały takie same.

Przytakuję, choć to po części nieprawda. We wrześniu gwiazdy mają inne położenie.

Aleksander Ścibor-Rylski

MŁODY CZŁOWIEK O WIELKIM SERCU

(Dokończenie ze str. 5-ej)

chowywały się chmary robotniczych dzieciaków.

„W naszym domu na Dolnej — wspominał jeden z towarzyszy — małym przecie, jednopiętrowym, tylko że z przybudówkami, chowało się dwieście pięćdziesiąt sześcioro dzieci. Gdzie to się gnieździło, gdzie spało — to sam dzisiaj zachodzę w głowę".

A ulica Dolna, zagubiona, kręta uliczka robotniczego przedmieścia — to znowu serce rewolucyjne całych Sielc.

Stąd corocznie wyruszał pierwszomajowy pochód, tutaj to mieściły się górnicze partyjne sztaby. Na Dolnej też robotnicy spółdzielcy, gdy obrośli nieco w piórka, kupili piekarnię, aby piec chleb. Pieniądz wówczas z dnia na dzień tracił na wartości. Piłsudski rozpoczynał wyprzedaż Polski. Banknoty więc na kupno owej piekarni trzeba było mocno upakować w dwa worki. Do rejenta Rajkowskiego w Sosnowcu Bierut z Wiltosińskim musieli dorożką zawieźć owe wypchane zdewaluowanym pieniądzem worki.

Ciężko było wówczas wiązać koniec z końcem. Policyjne szpicle węszyły coraz natarczywiej. Nie podobał im się własny, robotniczy chleb, nie podobała jeszcze bardziej — mądra książka w robotniczych rękach. Zwłaszcza od owego czasu, kiedy Bolesław Bierut z polecenia Komitetu Centralnego Partii przeniósł się na stałe, z rodziną, do Zagłębia, aby jeszcze szerzej rozwinąć, śmielej pchnąć naprzód robotę gospodarczą partii, robotę kulturalno-oświatową wśród robotników.

Już po kilku miesiącach następuje aresztowanie, osadzenie w będzińskim więzieniu. Mówią, że tylko w ciężkich dniach próby można prawdziwie ocenić charakter i wartość człowieka. Najgroźniejszym wrogiem więzionego człowieka jest bezczynność.

A więc na pierwszym planie — nauka i jeszcze raz nauka. W celi, gdzie siedział młody komunista, oskarżony o „działalność komunistyczną w świetlicach, o podburzanie i namawianie robotników do strajku", rozpoczęła się robota nie na żarty. Rychło wciągnięto do niej i sąsiednie cele. Bierut kierował swą więzienną uczelnią. Sam wykładał język polski i arytmetykę. Zawsze zrównoważony, spokojny, akuratny — potrafił zapędzić do nauki największych leniuchów, nawet tych z posrebrzoną już gęsto czupryną.

Po nauce — potrzeba koniecznie odświeżyć zwiotczałe mięśnie, zażyć nieco ruchu. Cele więzienne są ciasne, ponure. W celi — dwunastu ludzi. Jakżeż myśleć tutaj o ruchu, odprężeniu?

Jest. Oto młody nauczyciel przypomina sobie dawne dziecinne lata. Ustawia wszystkich towarzyszy niedoli w koło. Puszcza między nich spory guzik. Wędruje on niepostrzeżenie z rąk do rąk, podczas gdy stojący w środku koła mocno się poci, aby go odnaleźć. A tymczasem nasi starzy wyjadacze radośni, pogodni (a o to przecież przede wszystkim chodzi) za swoim nauczycielem podśpiewują:

— Talarek tu, talarek tam,
talarek chodzi sam...

I talarek chodził niezmordowanie wśród wybuchów śmiechu i powszechnej uciechy.

Owa radość, owa uciecha była nie byle jaką siłą, opancerzającą więźniów przed zwątpieniem, przed załamaniem. Ale i więzienie sanacyjne dawało znać o sobie: bezlitośnie, okrutnie niekiedy... Oto po czterech dniach wywołują Bolesława Bieruta, wraz z towarzyszem, do kancelarii więziennej.

Tam czeka już na nich dwóch uzbrojonych policjantów. Mają ich oni eskortować do sędziego śledczego, do Sosnowca. Kiedy więźniowie weszli do kancelarii, jeden z policjantów podchodzi do Bolesława Bieruta, wyciąga kajdanki, wskazuje na ręce.

— Podajcie — mówi. Bierut stoi nieruchomo, spokojnie, ani jeden mięsień nie drga na twarzy; jakby nie dosłyszał. Policjant zniecierpliwiony powtarza rozkaz.

— Nie macie prawa — odpowiada Bierut głośno, bardzo głośno.

Więźniowie mają czujne uszy. Posłyszeli krzyk w więziennej kancelarii. Przez cele będzińskie przechodzi rumor, krzyk, łomot. Więźniowie w kancelarii krzyczą do wściekłych, oszołomionych policjantów o ich bezprawiu — krzyczą ze wzbierającą w piersiach radością. Stojący naprzeciw ludzie, uzbrojeni po zęby, są bezradni. Oto cela po celi poczyna coraz głośniej śpiewać „Międzynarodówkę". Tak to dzięki stanowczości i odwadze młodego więźnia jeszcze jedna policyjna prowokacja spaliła na panewce. Nie zakuto więc ani Bolesława Bieruta, ani jego towarzysza. Za to wzmocniono eskortę. Czterech uzbrojonych ludzi prowadziło do Sosnowca dwóch bezbronnych więźniów. Taka to była policyjna odwaga — nawet wobec bezbronnych komunistów. Wkrótce i sędzia śledczy Sokołowski „złamał swoje pióro" — z powodu braku dowodów winy.

I znowu rozpoczęły się dni, tygodnie, miesiące wypełnione ciężką, do późnych godzin nocnych często trwającą pracą.

Mnożyły się potrzeby — a środki były tak w stosunku do nich szczupłe! A przecież każdy strajk w zagłębiowskiej fabryce czy kopalni widział furgony wyładowane spółdzielczym chlebem, przeznaczonym dla walczących.

Każdy więzień polityczny z Mysłowic korzystał z „wałówek" sporządzanych w robotniczej spółdzielni. Spod sklepu nr 6 przy ulicy Racławickiej co tygodnia ruszał o świcie furgon wyładowany tymi wiktuałami. Tak to półlegalnie, półtajnie, ale zawsze konsekwentnie realizował Bolesław Bierut linię partii na swoim odcinku pracy.

III

Szanowali go robociarze, słuchali uważnie, zawsze bowiem można się było od niego wiele dowiedzieć, sporo nauczyć. W słowach jego była wielka jasność, żelazna logika myśli, siła przekonywania słuchaczy. Kochał poezję, literaturę — i kiedy ukazało się „Przedwiośnie" Żeromskiego na temat tej książki toczył z najbliższymi towarzyszami długie dysputy. Osądzili zgodnie, iż książka ta daje rzeczywiście — przedwiośnie, przedsmak rewolucji.

Ale najwięcej kochali go ludzie za jego serce. W tym to byli do siebie kubek w kubek z Nowotką podobni. Tamten miał kredyt wielki w każdej znajomej robotniczej rodzinie, w każdej robotniczej chałupie. Ale z kieszenią Nowotki, zazwyczaj chudą, było wówczas jeszcze gorzej.

Często, zmieszany mocno, mówił do towarzysza:

— Pożycz, jak możesz, na obiad. Tam gdzie spałem dzisiaj — straszliwa bieda. Musiałem więc choć parę groszy na chleb dla dzieci zostawić...

Na nędzę zagłębiowskich dzieciaków nie mógł patrzyć spokojnie i Bierut. Pewnego dnia do milowickiego sklepu spółdzielczego przyszła wynędzniała kobieta z dzieckiem na ręku. Mąż jej był aresztowany, dziecko — nagie i bose.

Bierut, który akurat zaszedł do sklepu, wytrząsnął całą resztkę pieniędzy, wziął kilka bułek, wsunął do koszyka matce.

— A mnie wówczas — mówi ówczesna sklepowa — aż coś w gardle stanęło. Bo przecież dużo u nas było nędzy, ale i dużo dobrego ludzkiego serca.

Owo serce kazało mu troszczyć się o ludzi, pomagać im w ich niełatwej doli. To serce kazało mu poznawać cały kraj, budzić niestrudzenie ludzkie umysły, sumienia, uczyło coraz żarliwszej miłości do upośledzonych, coraz gorętszej nienawiści do ciemiężycieli.

W owych zagłębiackich latach potrafił zawsze — w ciężkich chwilach zwątpienia, niepowodzeń — jasną myślą, gorącym słowem przyjść z pomocą robociarzom. Wlać otuchę w serca, wiarę we własne siły. Cierpliwym, wytrwałym budowniczym, prawdziwym mistrzem rewolucyjnej roboty był już wówczas w zagłębiowskich latach.

Przyszło jeszcze nowe więzienie, przyszedł rok 1924, kiedy terror defensywy bez osłonek położył swoją łapę na bohaterskim Zagłębiu. Aresztowano 38 kazetempowców z towarzyszem Zenonem Nowakiem na czele, wzięto 32 towarzyszy z Dąbrowy, 21 z Sosnowca. W Partię bił cios za ciosem. Bolesław Bierut, dzięki temu, iż w owych dniach przebywał w Warszawie, uniknął aresztowania. Rozpoczął następny długi okres życia — życia rewolucjonisty. Wypełniony latami walki bezustannej, tułaczki, więzienia, nauki. Z młodego człowieka o wielkim sercu wyrósł dojrzały przywódca klasy, którą poprowadził do zwycięskiej walki o rząd robotniczo-chłopski, o robotniczą ojczyznę.

(Na podstawie opowiadań i odpowiedzi tow. tow. Wiltosińskiego, Flaka, Bucholca, Bilskiej, Koperczaka i innych).

Jerzy Piórkowski

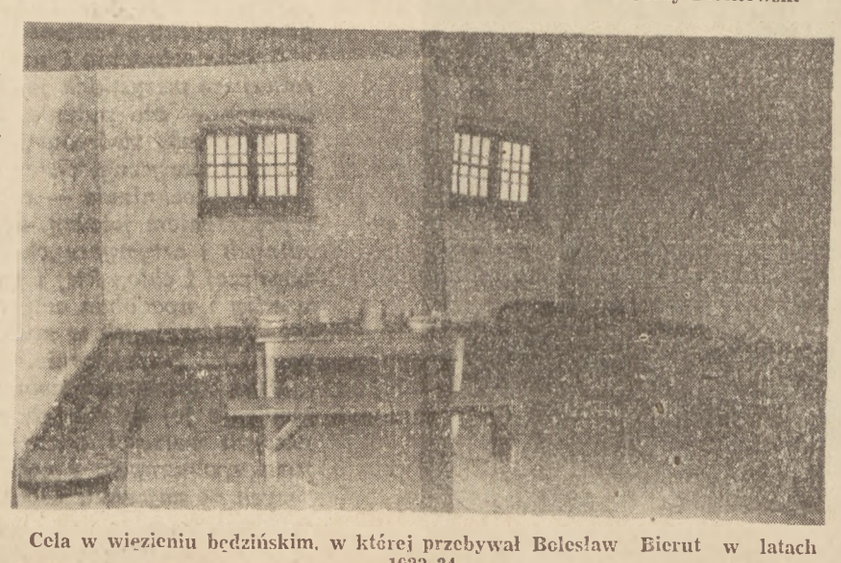

Cela w więzieniu będzińskim, w której przebywał Bolesław Bierut w latach 1923-24.

MOJE KONTAKTY Z PREZYDENTEM

(Dokończenie ze str. 3-ej)

— Toć w gminie dłużej trwa!

Czy dziw, że we Włocławku, ledwo się rozeszła wiadomość o uchwale rządu w sprawie skrupulatnego i powszechnego badania skarg ludności, usłyszałem od robotników Celulozy:

— O to, bądźcie pewni, już się postarał tow. Bierut.

To mi się widocznie udzieliło, bo dowiedziawszy się później, że istotnie inicjatywa tej akcji wyszła od tow Bieruta, przyjąłem to jako rzecz naturalną i od dawna znaną.

Zastanawiałem się, czym się żywi dlaczego rośnie ta popularność i zaufanie, ta — powiedziałbym — dobra legenda, jaka otacza tow. Bieruta? Wydaje mi się, że ze wszystkich walorów i zalet, dwie cechy — odwaga i sprawiedliwość — najmocniej przemawiają do naszej wyobraźni i serca.

Chciałbym jeszcze powiedzieć o jednym kontakcie — o tradycyjnym kontakcie noworocznym.

Otóż Nowy Rok witamy zawsze u siebie, we troje — żona, ja i syn (znów wypadnie kameralnie, cóż kiedy ta więź biegnie przeważnie poprzez osoby i sprawy najbliższe).

— Nasza mama — mówi Jarek, — jest jeszcze jednostką nieuświadomioną.

Rzeczywiście, jeżeli co umie z abecadła pol.-wych., to tylko dzięki ofiarnej i cierpliwej pomocy syna. Poza tym okropnie boi się wojny. Wybaczamy to jej rozumiejąc, że zbyt wiele przeżyła i że nie o siebie się boi. Zresztą mimo strachu potrafi być dzielna. Ma nawet duży medal z czasów okupacji. W końcu — żeby już wytknąć co należy — nie lubi przemówień i po godzinie dwudziestej drugiej jest do niczego. Wieczorem, po całodziennej pracy w teatrze i w domu, chce spać jak małe dziecko.

Ale jest jedna noc, kiedy gotowa nie spać, jedno przemówienie, na które czeka.

Czeka przy głośniku, regulując gałką odbiór najczystszy, a gdy się rozlega dobrze znany głos, słucha w napięciu, co się zrobiło i z czym idziemy w Nowy Rok.

— Nie — powiada potem — niemożliwe, żeby była wojna. To są wielkie rzeczy, wszyscy muszą to w końcu zrozumieć.

Odchodzi wypogodzona, niczego się już nie bojąc, i ufnie patrzy w przyszłość.

Mam wrażenie, że — nie tylko „nasza mama". Wiele matek pogodniej patrzy w przyszłość i zapewne wielu ludzi ma te same co ja kontakty z tow. Bierutem, chociaż się go nigdy nie widziało, chyba na dodatku filmowym, i słyszało się tylko przez radio.

Igor Newerly

Ilustrował ANTONI UNIECHOWSKI

MIECZYSŁAW JASTRUN

POEMAT O MOWIE POLSKIEJ

Człowiek ze swoją mową zrośnięty jest ciaśniej
Niż drzewo z ziemią. Jakże więc nie kochać baśni
Twego dzieciństwa, mowo, nad której kołyską
Szumiały wieki księgą lasów Świętokrzyską,
Gdzie słowa formowały się, zdźwięczały głoski,
Rdzeń wyrazów obrastał w zielone odrostki,
I ten język szlachecki, mieszczański i chłopski
Twardą korą okrywał się, oblekał w dzieje —
I długo pracowali prości kołodzieje
I stroiciele luteń w gwarze gospodarstwa
Słowotwórczego, zanim dźwięk sztuka drukarska
Przełożyła na znaki odciśniętych liter.
Tak rósł potoczny język Rzeczypospolitej,
Tak ustalał akcenty, znaczeniami błyskał,
W aktach grodzkich, duchownych, w sądowych zapiskach
Bił się o swoje prawo z kościelną łaciną,
Pod jej marmurowymi płytami nie zginął.
Wyszedł na rynki miejskie, ambon nie oszczędził,
Piosenką wiejską zatrzepotał, załabędził,
Wśród niemieckiego gwaru kupców i kramarzy
Wyrósł niby białodrzew. Z łacińskich cmentarzy
Zerwał tablice, spójrz! Na drukarnie naciera
Unglera i Hallera i Szarffenbergera —
Aż zaczęły odbijać Żywoty i Pieśni,
Statuty i Psałterze w mowie dotąd leśnej.
Przed biskupim, królewskim dworem czoła nie zgiął,
Lecz Commune Poloniae Regni Privilegium
Wydał w brzmieniu ojczystym, co się sobą szczyci.
Na pokoje wawelskie z łacińskich oficyn,
Na frontony kamienic, na szyldy drukarni
Wszedł, jak pasterz gdy wchodzi do swojej owczarni.

Kto czarną farbą mazał ręce swe, kto tłocznie
Naoliwiał? kto zwoził, przenosił ciężary?
Kto ducha brał polskiego dosłownie na bary?
To on — milion, wyrobnik, on w piwnice mroczne
Zepchnięty, nie księgarzy kilku, przedsiębiorców,
O których wie historia. Milion — od podworców,
Oficyn — wchodził w życie. On bronił i żywił
Sam bezbronny, niedożywiony, nieszczęśliwy.

Popatrz! obraca żarna młyńskie, zamiast koni
Chodzi w kieracie, młotem o kowadło dzwoni,
Przy ognisku pasterskim, wiosną, w dłonie chucha
Zmarznięte... Widzisz palców prześwietlony rubin ?
Konie rżą na pastwisku, wokół puszcza głucha.
I nagle lato! żniwa, konopie i łubin,
Bat ekonomski — resztę wiesz, więc nie dopowiem.

On truje płuca siarką, cynkiem i ołowiem,
On — wszędzie, ale o nim szczelnie milczą dzieje.
Tylko czasem piosenka zaśpiewa nadzieję,
Spod kurnej chaty wyszła, wnuczka starych pieśni,
Które księża w bezrybnych utopili stawach
Wraz z bałwanami (płakał lud, gdy szczątki nieśli).
Tylko po nich została wieść, baba koślawa,
Kosturem stuka, idzie od gminy do gminy,
Naprasza się zwiędłymi wargami gościny.
Zamknięte dla niej białe parafie łaciny.

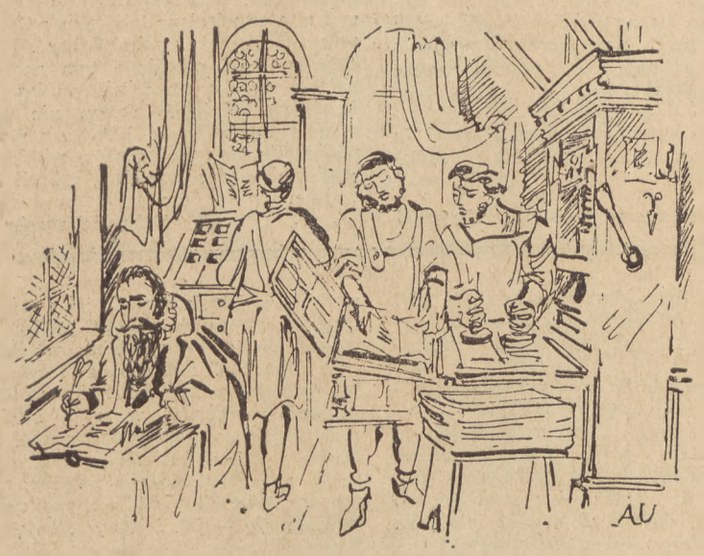

Wcześniej niż w mowie, w drzewie przemówił lipowym
Wiek jagielloński. Oto jego pyszne głowy!
Rozzłaca się, strojami pstrymi rozpanosza.
Ja widzę w rzeźbie stu postaci Wita Stwosza
Całą Polskę w promieniach pierwszej naszej jutrzni,
Od bucika, rzemienia do żołnierskiej włóczni.
Inaczej mowa. Język Świętokrzyskich kazań
I Gnieźnieńskich wykuty jakby w szorstkich głazach,
Biblia królowej Zofii wysłowiona piękniej
W kaplicy jej imienia, jeszcze zgrzyta dźwięk jej.

Jak kamień młyński, który w ciągu lat szlifuje
Woda, żłobiąc w nim swoje świszczące sylaby,
Tak urabiał się język — zanim go buchsztaby
Z metalu utwierdziły. Ile pracy czułej!
Ile nocy bezsennych! zanim mógł poeta
Powiedzieć w toku polskich zdań: „Non omnis moriar",
I to: „Ronsardum vidi", nim Wisła, nie Leta
Przetkała srebrem rymy, nim zagrzmiał memoriał
Modrzewskiego w tej mowie, nim druki kacerskie
Seklucjan rozwiózł w wozach namiotami krytych,
Nim pisma arian wryły się w sczerniałe płyty,
Nim się zadomowiły w uszach napół wiejskie,
Na poły horacjańskie miary czarnoleskie.
Nie tak daleko do Czarnolasu z Nagłowic,
A jednak, jak daleko! Mowo polska, powiedz!

Niejeden po tym czasie rymopis królewski
Był jak ów szewczyk z bajki, co szył piękne buty
Dla psów myśliwskich. Mądry monarcha i pieski
Byli zadowoleni z niego... aż... dopóty...

Trzymał między zębami język czarnoleski.
Zły czas przyszedł na książki: ognia i konfiskat.
W pustych dworach ariańskich nocą wicher świstał.
Wtedy ileż drukarni deskami zabito!
Współczesny świadczy: „Bo by drukarza zabito".
Ale ty się oparłaś stosom, czarnym jadom
Jezuitów, do piwnic zeszłaś znanym śladem.
Czarne znaki gryzmoli białe pióro gęsie,
Dźwięk wydają Bojanów długowąsych gęśle.
I przetrwałaś czas nocny, aby wyjść z lamusa
I świeżego powietrza znów zaczerpnąć w płuca.
Oświecenie — lecz nie dla jaśnieoświeconych,
Oświecenie — dla ciemnych i wydziedziczonych.
Bajki — lecz dla dorosłych drani, nie dla dzieci.
Brylant księdza biskupa blask rozumu nieci.
Trembecki wyjrzy ze swych strzyżonych ogrodów,
Jak z ram portretu, i u pałacowych schodów
Zobaczy tłum, co własną krwią zlepia marmury
I alabastry, ciemny, obdarty, ponury.
Hej! zatrzymać karetę! Niech blask Oświecenia
Sięga dalej niż kładą się światła jej latarń!
Niech paszkwil Zabłockiego serca rozpłomienia,
Niech Jasiński wyzwanie rzuci władcom świata!
Nocą zabrzęczą szyby, pistolet wystrzeli,
Podskoczy „Jeszcze Polska"... w takt bębnów rebelii!
I jakże tu nie głosić twej wesołej chwały
Mowo ludu, przed którą pałace zadrżały!

To cóż, że innym świata narodom nieznana,
Jeśliś w kwiatach wiosennych łąk wykołysana!
W tobie tylko naprawdę można myśleć, marzyć,
Gminna, dziecinna i doświadczona jak starzec.

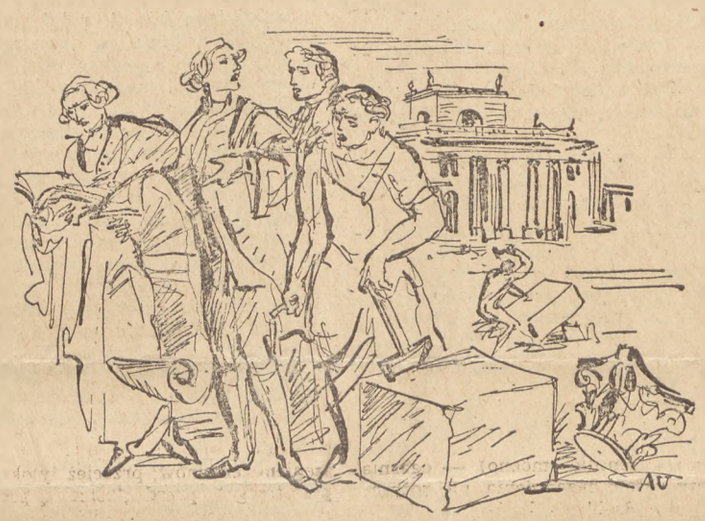

Ty słuchasz dzisiaj gwaru ulicy stołecznej,
Jak klnie szofer i monter, przez piąte, dziesiąte
Chwytasz nowe wyrazy... Wspomnij dzień słoneczny,
Gdy na ziemi litewskiej, jak kanonier lontem,
Mową, po której echo jeszcze gra, zagadał.
Od pieśni jego Polska zadrżała w posadach.
Tysiąc lat leci w chmurze — kiedy ręką skinie.
Tysiąc lat, gdy zawoła, przepada w głębinie.
Góry podniebne zmieniał na morskie przepaście,
A przepaście podźwigał w góry. Patrzcie! patrzcie!
Zawisnął tam, jak obłok — a nam się wciąż zdaje,
Że to głos jego powtarzają lasy, gaje,
Ptaki w leszczynach, usta ludzi i ruczaje.
Gdy zechce — bosa stopa nastąpi na żmiję
Bez szkody, jeleń w zgodzie z lwem u źródła pije.
Gdy zechce — to koguty pieją jak prorocy,
I słońce wschodzi we łzach radości po nocy.

A przy nim blisko zasnął ten najukochańszy.
Motyle nad nim lecą, tysiąc pyłków tańczy.
Dziecko obłoków, sam się przezwał Eolionem.
Zniknął, jakby się cały okrył nieboskłonem.
On jeden się odważył lekkością zaciężyć
Polskiemu męstwu, aby za grobem zwyciężyć.

O sobie myśląc pisał to swym pawim piórem
Teofil Lenartowicz do Norwida, który
Wiersz ma ryty w kamieniu, a gdy wezwie chóry,
To one płaczą myślą, skarżą się ironią,
I są jak cień od świecy zasłoniętej dłonią.
On w krzesłach senatorskich swą nieobecnością
Błyszczy (jakby powiedział Tacyt) nad zmiennością
Losów ludzkich i dziejów, których zbrodnia nie schnie,
Zamyślony milczeniem, co trwa nieobecnie.

Szlachecki naród, który nie lubi negacji,
Jak rzekł chwalca starzyzny, Pol, bardzo się spóźnił
W dziejach, jak pociąg ciężki, gdy zdąża do stacji
Wśród zasp śniegowych. Światu zostaliśmy dłużni.
Proza nasza nie łatwo wyszła spod opieki
Dworów, ziemian i panów. I później jej rzeki
Nie były czyste, często wpadały do morza
Obcego, przepływały jałowe bezdroża.
Nie mówię tu o Prusie ani Orzeszkowej...
Lecz wiersz mój wpada w styl już nazbyt wykładowy,
Nie rozświetlony żadnym wyobraźni błyskiem.

. . . . . .

Sprawy dalekie, a tak jeszcze sercu bliskie!
Czy nie drżały ci ręce, kiedy w bibliotece
Brałeś odezwy, zblakłe niby w świetle świecy,
Gromady Grudziąż — o porównaniu kondycyj
Socjalnych? zżółkłe kartki zamierzchłych edycyj,
Dzieje Proletariatu, nieostygłe dotąd.
Więcej to warte niźli wytłaczane złoto
Ksiąg, co noszą znak krzyża, orła lub koronę.
Ulotki nielegalne KPP, taszczone
Do fabryk, biciem serca ogrzane, rozdarte
Bagnetem policjanta — których każdą kartę
Zatłuścił palec szpicla i prokuratora.
Patrzysz, i pod powieką jak łzę czujesz: wczoraj.

Wieki ucisku musisz unieść na swym grzbiecie,
Twardym, jak stół, który sto ciężkich tomów gniecie.
Wyjdź na wolne powietrze, nagłym zwrotem błyskaj!
Z kurzu bibliotek zblakłe otrzepię nazwiska,
Wskrzeszę stare volumina i inkunabuły,
Surowy będę i do łez z dzieciństwa czuły.
Ileż was, stare druki, rękopisy, księgi
Zginęło niepowrotnie w pożarze Warszawy!
Pożarły was płomienie niszczącej potęgi,
Popioły wasze rozwiał wiatr w tym roku krwawym.
Zbiorze Krasińskich, Rapperswilski, Battignolski,
Biblioteko Załuskich, mowo dawnej Polski!
Wzlatywałaś na skrzydłach płomieni ku niebu,
Na dymach całopalnych czarnego pogrzebu —
Zdawało się, że słychać w jęku murów, w trzasku
Szyb okiennych — twój jęk ostatni. Anioł śmierci
Przelatywał w szumiących kłębach, w ognia blasku,
Wzbijał czarną kurzawę, źrenicami świecił,
Ryczał trąbą powietrzną, rozwiewał popioły
Ludzi i ksiąg — i płacz ich chwytał w płaszcza poły.

Cóżeś uczynił, łotrze, barbarzyńco głupi?
Zostawiłeś po sobie swąd i zaduch trupi,
Kiedy do wnętrza ziemi wgniotły twe pociski
Gruzy naszej Biblioteki Aleksandryjskiej.

. . . . . .

Ręka, która wyjmuje tom ze szczelnej półki,
Nie drży... bo duch jest lekki, i jedynie waży
Oprawa, papier. Chłopiec jasnowłosy utkwił
Wzrok w górnym rzędzie. Zachwyt nie schodzi mu z twarzy.

Pośród książek, co stoją w ściśniętych szeregach,
W różnych barwach okładek, spokojnie i czujnie,
Jest książka nieczytana o nietkniętych brzegach,
Która czeka na chwilę, aby żyć podwójnie.

Czyje palce jej dotkną, i źrenice czyje,
Powoli najpierw i z ciekawością oszczędną,
A później prędzej, jak ptak co ze źródła pije,
Podnosząc się i opuszczając pić z niej będą ?
Jeszcze takich: od roli, maszyn i warsztatów
Czytelników nie znała stara biblioteka,
Jak matka siwa, która zasiadła wśród kwiatów,
By święcić narodziny nowego człowieka.

Pośród książek, przetartych we wielu źrenicach,
(Nawet sto lat świeżości ich kartom nie ujmie)
Jest książka nowa o nierozciętych stronicach,
Która czeka na chwilę, aby żyć podwójnie.

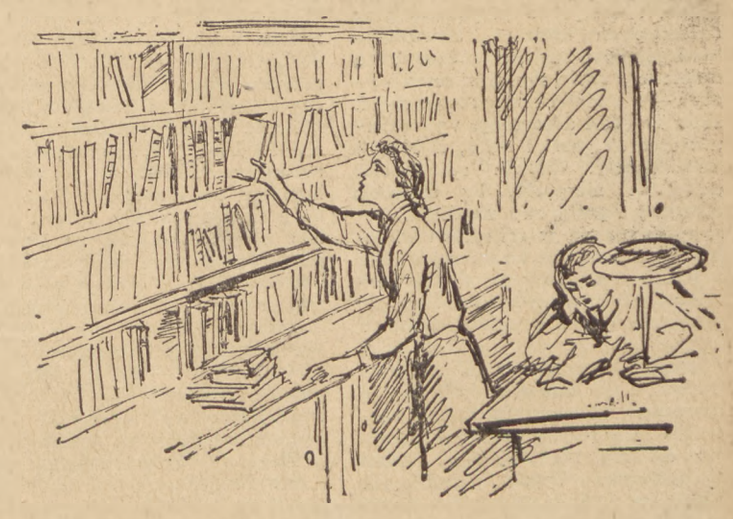

Wejdzie w nią jak przez wrota bez żadnej zawory
Ten, który świń doglądał, bydło pasał w lecie,
I przy bladym kaganku w zimowe wieczory
Narodzi się na nowo w pięknym przyszłym świecie.
Młoda dziewczyna w swetrze, co wbiega z ulicy,
Wpuszczając kłąb śnieżnego powietrza do sali,
Ruchem rumianej gracji albo tanecznicy
Bierze drugi tom, by się dowiedzieć, co dalej?
Co dalej? To nie tylko czy się oni w końcu
Pobiorą? czy szczęśliwi? To jest przedłużenie
Słowa w dzieje. I nagle staje cała w słońcu
Biblioteka...

ZOFIA NAŁKOWSKA

DNI MINIONE

PRZEWODNICZĄCEMU KOMISJI KONSTYTUCYJNEJ

(Z drugiego tomu „Węzłów Życia")

Pory jedzenia gromadziły przy stole te różne osoby, rozmieszczone po kątach domu, mało poza tym widzialne.

Ostatni żyjący jeszcze stryj Romana, całe dnie zaszyty na plecionym fotelu w kącie ogrodu, powtarzał zwykle parę dawnych swych sów o niewątpliwym postępie świata ku dobru oraz o związku paneuropejskim, w którego nadejście wierzył. Przy tym najniewinniejsze objawy tego postępu zarówno jak związku uważał za podejrzane. Ten miał całe osiemdziesiąt lat, był chudy, bardzo wysoki i gdy stał, trzymał się prosto.

Niewiele od niego młodsi państwo Stokłoscy mieszkali od dawna w Łaskawicy jako bliscy krewni nieboszczyka Eustachego Targańca, pani Stokłoska była jego siostrą przyrodnią. Wkrótce po przyjeździe Agaty zapragnęła pójść z nią na przechadzkę w stronę lasu, by sobie swobodnie pogawędzić. Naprzód mówiła o tym, jak wdzięczna jest bratowej za tyle dobroci i ofiarności, i że gdyby nie Janusia, nie wiadomo, co by z nią i jej mężem było. Ale to załatwiwszy, przez całe dalsze półtora kilometra powolnej drogi między polami rozważała bez żadnego wytchnienia jej niedoświadczenie gospodarskie, jej brak taktu w postępowaniu z ludźmi, który aż może niekiedy wydawać się brakiem serca, wreszcie, że nie da sobie niczego powiedzieć i że jest skąpa. Prosiła Agatę serdecznie, by czasem nie pomyślała, że oni oboje z mężem korzystają z tej gościnności bezpłatnie, że Janusię wyzyskują. Przeciwnie, dokładają się tyle, na ile ich stać, a nawet więcej. W drodze powrotnej mówiła już tylko, że kuchnia w Łaskawicy jest prowadzona niehigienicznie, że służba nic nie robi, a goście muszą nieraz sami przynosić sobie wody do mycia. A także, że wszędzie są brudy.

Gdy przechodziły część drogi miastem, mówić przestała. Wstępowały do sklepików, by coś kupić, a pani Stokłoska dostała dobrych ziółek w aptece. Już blisko furtki do ogrodu znów gorąco prosiła Agatę, by czasem sobie nie pomyślała, że ona się na coś uskarza lub jest z czegokolwiek niezadowolona. Ona bowiem przeciwnie, z całego serca wdzięczna jest bratowej... I tu powtórzyła o jej dobroci i ofiarności ściśle w tym samym miejscu i dosłownie to samo, co na początku przechadzki.

Agata zawróciła jeszcze od furtki, by wstąpić na pocztę. Chciała zatelefonować do Sonki, chciała ją tu przyciągnąć. Czekając daremnie połączenia, patrzyła przez okno na znajomy nieregularny plac z kamieniami bruku i piekielnym hałasem jakiejś jednej przejeżdżającej bryki. Z boku stały dwa wozy wiejskie, przy nich w dyszlach konie z płowymi, związanymi na węzeł ogonami.

Wokół placu widziała te same zawsze domy różnej wielkości z cegły nietynkowanej, pośrodku dwie samotne akacje skweru. Naokoło wyschłej pod nimi trawy od dawna pamiętany drut, przewleczony przez niewysokie słupki, zielonkawe od farby, zmytej i skruszałej w słońcu.

Zrezygnowała z telefonu i zeszła ze schodków budynku pocztowego na ten plac. Naprzeciwko dworca siedział na ziemi brudny i wytarty człowiek. Był wprawdzie młody, ale bardzo chudy. I w to ciepłe wrześniowe popołudnie miał na sobie kożuch barani, który nosi się tylko zimą. Od dworca przeszła drobna paniusia, ubrana po miejsku, w cienkiej płóciennej torbie niosąca włoszczyznę i bochenek chleba. Stanęła i przyjrzała się biednemu. Mała bezradna jej twarz przybrała wyraz surowy. Zrobiła się groźna. Ale nikt się tym nie przeraził. A później zapytała ostro, co mu jest, że taki młody, a już żebrze.

— Ja nie żebrzę, tylko jestem chory — powiedział powoli, niby obudzony ze snu. — Wypisali mnie ze szpitala.

Twarz miał pogodną i rumianą, choć bardzo chudą. Ale głos tak słaby, że gdy mówił, to jakby za każdym słowem wydawał ostatnie tchnienie.

— Jak kto jest chory, to się powinien iść położyć, a nie tu siedzieć na ludzkim widoku — powiedziała.

— Gdzie ja wrócę?

— A gdzieżeście pracowali? — znów ostro spytała.

Nie odpowiedział, tylko powolnym ruchem ręki ukazał poza tor, w stronę, gdzie daleko, poza piaszczystymi pagórkami i ciemnymi smugami przyziemnych lasków sosnowych — jeszcze za widzialną zewsząd wieżą wiadomego starego kościoła, słynnego odpustami — stała wąziutko na niebie strzelista rura komina wielkiej przędzalni w Łankach. Uczepiony u jego wierzchołka tkwił nieruchomo dymek mały stąd, jak puch pisklęcia.

— U Biggsów — powiedział wreszcie słabym głosem.

Od dziecka słyszał tu każdy to nazwisko fabrykantów, chociaż nikt ich nigdy nie widział na oczy. Siedzieli daleko w swojej Anglii. A równie im nieznani ludzie tutejsi z całej okolicy dla nich pracowali.

I dodał:

— Mam tu siostrę starszą w Czarnicy za mężem, ale że szwagier jest niedobry. Szwagier jest bezrobotny. A rodzice to już dawno nie żyją.

Paniusia postała i zakłopotana wyciągnęła spiesznie dwa złote z torebki, rozejrzała się, czy kto nie widzi i ze zmieszaniem podała biednemu. Nie wziął ich, więc położyła je przy nim na piasku. To uczyniwszy poszła ze swoją torebką w głąb wąskiej ulicy.

Agata oglądała od tej strony miasto małe i ponad wszelkie słowo żałosne. Starsi ludzie pamiętali na tym miejscu rosnące w piasku żyto i kartofle. Podobno naprzeciw stacji nic nie było, tylko jedna murowanka kolejowa, a dalej przy drodze nieduża murowana karczma i obok apteka. I dwa jeszcze dalej drewniane domki należące do dworu i wynajmowane letnikom pozostały z tamtych czasów.

Oprócz przędzalni Biggsów była tu jeszcze bliżej już nieczynna cegielnia, po której został komin, tkwiący głęboko w niebie, i cztery piękne prostokątne stawy pod lasem. A bliżej, z drugiej strony miasta — huta szklana, która w czasie bezrobocia, a potem strajków, też została zamknięta.

Wieś leżała dalej i droga prowadziła do niej przez morze lotnego piasku. Drogę wysadzono krzakami kolącego, dzikiego agrestu i rzędem wierzb, które poprzez zwały piachu wynalazły sobie w głębi wilgoć. Czasami ktoś zasiewał tam łubin, a czasami przez całe lato piasek leżał nagi i szary w słońcu.

Teraz to wszystko zamieniło się w ciasne i ubogie miasto. Murowane domy jednopiętrowe przytulały dziwny świat malutkich kapitalistów. Tapicer, który się dorobił, albo zdun, kolejarz, szewc albo cieśla z Warszawy — każdy tu sobie kupił od starego Wysokolskiego kawałek gruntu i coś wybudował na starość. Domów nikt nie tynkował, stały czerwone i brzydkie. Jeżeli miały balkony, to z drzewa.

Przy Agacie zatrzymała się patrząc w tę stronę znajoma dziewczyna. Powiedziała, że służy teraz gdzieś w domach pod lasem, ale co dzień musi być w mieście na targu.

— Miała też komu dawać — mruknęła patrząc za odchodzącą kobietą.

Agata się zdziwiła.

— Dlaczego? Może go znasz? Co to za jeden?

Nie od razu odpowiedziała. Agata przyjrzała jej się i zobaczyła złość na jej młodziutkiej, okrągłej twarzy.

— E, taki tam chłopak od Walików z Czarnicy.

— Ale on jest chory.

— No to co?

— Wypuścili go ze szpitala w takim stanie!

— Ale! Ze szpitala!

— To nieprawda?

— Pewno że nie. On był we więzieniu, jeszcze w jesieni go zamknęli za jedną tam taką rzecz.

— Za jaką rzecz?

— Ludzi namawiał! — objaśniła z dąsem, jakby to rozumiało się samo przez się.

Na Agatę powiało światem jej małej Sonki, która została tam, która nie chciała tu z nią przyjechać. I pomyślała swoje: „czy jestem naprawdę kimś innym, niż myślę, czy się sama sobie tylko wydaję. Bo dlaczego właśnie Sonka, ta najbliższa, jest taka daleka i taka obca?"

Odprowadziła do domu czekającą przy furtce starą Stokłoską i udała się na dłuższą rozmowę do Janusi. Nie poszło tak całkiem łatwo, ale udało się jednak. Z pomocą Błazy przeprowadzili chorego więźnia do oszalowanej pustej werandy przy starym czworaku. Tu pod opieką Agaty i Błaziny przeżył jakoś ostatnie dwa dni swego dziwnego życia i umarł bez sprzeciwu i bez zdziwienia na trzeci dzień przed południem. Ostatniej nocy czuwała nad nim odnaleziona ta siostra z Czernicy, której mąż „nie był dobry". Płakała bardzo i mówiła o tym na tak krótko odzyskanym młodszym bracie, że zawsze był jakiś dziwny, nie jak drudzy. I mówiła, że jest teraz sama na świecie, bo tego jej męża, z którym brat nie mógł się zgodzić, zabrali do wojska.

Zofia Nałkowska

HELENA BOGUSZEWSKA i JERZY KORNACKI

Fragment nowej powieści

Miesiąc już minął, z okładem, od tamtego dnia, gdy na widok Manifestu na parkanie Rosłoniów podniosły się zwolna w górę czarne, sute brwi dziedzica Witayskiego. Jakby miały już tak zostać nad starością powiek, nad wyblakłym, zużytym, łzawiącym spojrzeniem oczu jasnych a mętnych. Odchylony w bok, z ręką wspartą na lasce, długo się przyglądał tamtym słowom śród liter, przenikał widoki, w słowach zaklęte. Inaczej rozumiał, niż Kościelec, Piguła, Fluksa i Majdrowski, którzy razem czytali. Jak stał, tak poszedł dalej, milcząc.

Od tamtego dnia zmieniał porę i drogę codziennych spacerów, chociaż cel, więc kierunek, pozostał ten sam — młode zagaje na pagórach piasku, w drugim końcu osiedla. Bocznymi ścieżkami, tyłami parcel szedł w zachodnie światło, gęsto, mocno i złoto jakby wymieszane z przezroczystym powietrzem. Migotało każdą drżącą pajęczyną w chwastach nisko pod płotem, gorzało rozwieszone czerwienią na każdej sośnie.

Wreszcie gubiły się tutaj, zostawały w tyle nawet gromkie odgłosy żołnierskiego życia z pobliskich kwaterunków. Gdzieś tam jeszcze dygocą motory w maszynach, gotowych do odjazdu. Siekiera stuknęła, ledwie, jakby ptak sfrunął... I chowają się za drzewa, wsiąkają pod ziemię wszelkie trzaski, tupoty, gadania i śmiechy. Kończy się nawet ścieżka. Po zboczu pagóra mroczny chłód pada z nieba w zagaje. Zaszedłeś między choinę, a oto stajesz jak w oknie tego samego domu, ale wydanym inaczej, otwartym dla innych głosów. W zacisze tego miejsca trafiają dziwnym sposobem tylko echa najdalsze.

Uchem myśliwego Witayski łowił, chwytał.

Za polami w dole, za cieniami pastwiska, za rzeką, za lasem ciągłe ruchy po szosie. Jednak nie zagłuszą tamtych dalszych, najsłabszych, nikłych jak westchnienie, wybuchów walki. Dzisiaj znowu słychać. Tylko znowu nie wiadomo, czy jeden po drugim, siedem drgnień, krótkich, nagłych, od strony Warszawy, doniosły tu ze sobą fizyka i chemia, wszędobylskie w powietrzu? Bo może nadzieja, w każdej trwodze obecna, póki żywie człowiek?

Więc jeszcze stał i czekał.

Zbrojny ciąg po szosie... Samochody. Pod Wyszków...

Teraz? Chyba nie... A teraz?

— Także słyszysz? — dopiero po chwili spytał, i już zwyczajnie.

Teresa także słyszała.

*

Czy jednak można chociaż trochę polegać na tej małej Teresie?

Gorliwie godzi się na wszystko. Strzelają, nie strzelają... A przy tym zdrowo kłamie! Już od kilku dni wybiega tuż za dziadkiem. Ale niewidoczna przez całą drogę, gdy obejrzysz się znienacka a straszą. W końcu zapominasz. Właśnie wtedy, przekornie odgadując chwilę, stoi przy tobie blisko. Jakby nigdy nic. Patrzy na kwiatek w palcach, kręci ciemną głową, w zamyśleniu tak jakoś składa świeże usta, że na jednym policzku, zawsze na tym lewym, pokazuje się i znika zabawny dołeczek, lekki jak przywidzenie.

Skąd Teresa wie, że jej dziadek nieodparcie, kiedyś, ubóstwiał takie dołeczki?

Dziadek sięga do kieszeni, wyjmuje pudełko z ostatkami tytoniu.

— Komu ja mówiłem? Mówiłem, że nie wychodź!

— Cóż takiego! Ja przecież tylko na spotkanie, dziadziu, jak będziesz wracał...

— Na spotkanie! Aż tutaj?

— Ojej! Także chciałam posłuchać, jak tam w Warszawie strzelają...

Więc słuchali teraz razem. Pachniała choina. Gdy siedli na krawędzi niemieckiego okopu, pogrążył się razem z nimi i przepadł w zagajach rozległy widok świata z polami, z pastwiskiem i z łąkami przy rzece. Wszystko jeszcze w słońcu. Ale tutaj jest najlepiej.

Znowu, jeszcze dwa, i jeszcze cztery razy ktoś szepnął, ktoś westchnął, ktoś daleko zza szosy.

— Warszawa?

— Warszawa!

— Dziadziu, a już mówili...

— Ale przecież słyszysz?

— Jeszcze jak, dziadziu!

— Już dziewiąty tydzień...

Uśmiechnęli się trwożnie. Bali się roześmiać? Jak szczęście czuli w palcach, Witayski fajeczkę, Teresa kwiatek. Zawsze była zgodna. Od maleństwa lubiła gorliwie, uległe zgadywać czyjeś myśli... Dobrze być tak razem z Teresą w oczach. Zapatrzył się na nią. Potem poszedł za jej wzrokiem i zobaczył niebo, jakby pierwszy raz w życiu.

Znów kończył się dzień. W pogodzie nieustannej całe niebo rosło, ogromniało ciemniejąc, coraz dalej, wyżej nad ich głowami. Z tym niebem jakby, zda się, odchodziła także niecierpliwość i bojaźń. Dookoła nóg i rąk, i twarzy zostawało tylko zacisze tego miejsca. Zwyczajne jest wszystko tutaj na piasku w sosnach...

Mimo że hen za rzeką cała szosa śpiewa wojskiem i marszem. I że jeszcze słychać dudniące w śpiewie tanki. Więcej nic nie słychać. Od Warszawy wysokimi przelotami w zmierzchu tylko cisza podąża.

*

Mała Teresa pierwsza dojrzała go na zakręcie, przy drutach Stankiewiczów.

— Nasz pan Majdrowski tam idzie! — powiedziała śpiesznie. — Nie widzisz, dziadziu?

— To niech sobie idzie! — z przyciskiem, nadto głośno rzucił pan Witayski. — On idzie sobie, my idziemy sobie...

I jeszcze dodał ostro, jak małemu dziecku:

— Nawet na wąskich ścieżkach ludzie się mijają! Cóż dopiero na takiej...

Jakież inne ścieżki mógł mieć na myśli? Bo właśnie w tym miejscu, między rowem a płotem szli gęsiego w chwastach, i musieli uważać.

Jakby nigdy nic, nauczyciel Majdrowski ukłonił się czapką, przystanął. W szarym zmierzchu ostatnie jaskrawe poblaski wybrały sobie, zda się, jego wielką twarz, bo tylko ona jedna świeciła ogniście, mokra od potu, zgrzana. Aż parowała z czerwieni. Krzywo mrużąc oczy, uśmiechała się w szczecinie niegolonych policzków jakąś dobrocią odświętną, zadowoleniem, wzruszeniem...

— Czyżby złe wiadomości? — znów przemknęło trwogą w głowie dziedzica. Przystanął opodal. Jednak skrzętnie udawał, że szuka czegoś w kieszeniach.

— Nasz pan Majdrowski? Proszę! Dobry wieczór panu... — zagadnął pierwszy, grzecznie.

Właśnie, chciał najgrzeczniej! Ale na białym czole sute czarne brwi podniosły się, na przekór.

— Stary czarny diabeł! Ty stary czarny diable! — do tych samych brwi krzyczał ten sam Majdrowski, wtedy przed miesiącem, ledwie Sowieci weszli. Przy Niemcach piał cicho... Czyżby jak w kartach nowa zmiana atu?

— Dobry wieczór! — teraz lekko dygnęła Teresa. Niestosownie, bo w stronę osin za drutami, przy tym patrząc na dziadka. Trzeba będzie kiedyś pomówić na ten temat, nawet trochę dłużej... Dziecko powinno umieć maskować awersję!

I jakby chcąc dać przykład, Witayski postąpił jeszcze dwa kroki, z wyciągniętą ręką. Przytrzymał dłoń tamtego, chociaż była przykrze gorąca, mokra, lepka.

— Bój się Boga, człowieku! Chodziło o życie? Jeszcze zdążysz... Jakże można, bez opamiętania! Wyścigi robiliście? Chyba nie z Kościelcem?

— O ciężarówkę się rozchodzi...

— Przepadasz, człowieku! Wróciłeś w poniedziałek, teraz znowu ruszasz... Za wojskiem? Proszę, proszę!

Teresę przodem puścili i szli teraz za nią, okryci lekkim cieniem nawisłych nad ścieżką gałęzi akacjowych. Witayski przeciągle rozglądał się, przystawał. Przez chwilę milczeli.

— Żarty żartami... Ale tak naprawdę? Pańska żona wczoraj wieczór coś mi wspominała...

— Tak jest, z całą rodziną!

— Wszyscy? O tym nie wiem... Więc tak samo jak Kościelec? Dobrze powiedziałem, że wyścigi robicie!

— On sobie, ja sobie...

— Kościelec jeszcze głupiej! Nie musiał uciekać...

— A ja muszę uciekać?

— Zabolało go? Dobrze, inaczej powiem: chcecie stąd się cofać razem z Czerwoną Armią!

— Panu wciąż się marzy, ale to tak nie będzie!

— Przecież już tak jest...

Znowu się zatrzymali. Skąd Teresie przyszło, żeby nagle jak ta głupia, albo jak grzeczna dziewczynka, zbierać kamyki w piasku? Kręci się i schyla, kuca i klęka w samym środku ścieżki, zupełnie naumyślnie! Oczywista rzecz, że Majdrowski chciałby prędzej, do domu się śpieszy, a nie wie jak to zrobić...

— Mój panie Majdrowski, z tym Kościelcem to było zupełnie inaczej! Człowiek spokojny, grzeczny, podobno robotnik, weber łódzki, a może nawet się ukrywał... Tego przecież nie wiemy. Teraz, Boże miły, każdy do swoich wraca! Powiedział otwarcie, że przeczeka w tym Lublinie... W każdym razie wierzył, bo tak mu tam nagadali, że front dalej ruszy i że go wtedy puszczą do tej jego Łodzi, zaraz za wojskiem... Ale wy, Majdrowski?

— Ja także do Lublina! Już byłem, widziałem, ma się rozumieć...

— I w Lublinie byliście? Mówili, że w Tłuszczu.

— Bieruta to widziałem tak, jak pana teraz, bo on stał jakby tutaj, a ja jakby tutaj... Siedemnastego września było! Wszystkie dzieci szkolne maszerowały przed nim...

— No, to do widzenia!

— Do widzenia, panie starszy! Ja tu jeszcze zajrzę... Jeszcze się zobaczymy!

Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki

EDWARD SZUSTER

ŁÓDZKI WRZESIEŃ

1

Wbrew pierwotnym przypuszczeniom, przyznał wreszcie inż. Wojtkiewicz, że tegoroczny urlop udał mu się zupełnie dobrze. Oczywiście, byłoby lepiej odpoczywać w lipcu, ale i sierpień okazał się znośny. Pogody były piękne, żona i dzieci zdrowe, towarzystwo przyjemne przy cowieczornych bridżach. Słowem — wstyd byłoby narzekać. Jednego tylko zamiaru nie udało się inżynierowi wykonać — nie zdołał odseparować się od świata i spędzić dorocznego wypoczynku z dala od gazet i radia, w błogiej nieświadomości nowin ze świata. Ostatecznie niesposób, by człowiek kulturalny i postępowy nie śledził tego, co działo się w sąsiednich Niemczech, gdzie z urny wyborczej weszła do Reichstagu jako najsilniejsza partia, partia tego pomyleńca Hitlera.

Tak więc gdzieś w połowie sierpnia Wojtkiewicz przeprosił się z gazetami i codziennie je przerzucał. W bałaganie niemieckim nie można się było jeszcze zorientować, natomiast interesująco zapowiadał się międzynarodowy Challenge lotniczy. Dwaj nieznani piloci polscy, Żwirko i Wigura, potrafili, jak dotąd, utrzymać się na czele konkursu. Te wiadomości mile podniecały dumę narodową inż. Wojtkiewicza; cieszyły go także, z innych nieco względów, notatki prasowe, donoszące o strajku w zakładach Kruschego i Endera. Strajk to sprawa trudna i dla strajkujących tragiczna, inżynier nie potrafił jednak oprzeć się uczuciu zadowolenia, że ów strajk wybuchnął nie w jego obwodzie. Był bowiem inżynier Wojtkiewicz inspektorem pracy, którego kompetencji podlegały fabryki położone w południowo-wschodniej części Łodzi.

Jak się więc rzekło, lektura gazet nie psuła inżynierowi urlopu, przeciwnie — dostarczała przyjemnych emocji. Można też było żywiej włączyć się do dyskusji przy bridżu, który teraz, ze względu na wieczorne chłody, przeniósł się z werandy do pensjonatowego salonu. I właśnie podczas jednej z takich dyskusji, kiedy to inżynier z ferworem rozważał, kto zostanie premierem Rzeszy Niemieckiej, do pensjonatu przybył listonosz z telegramem. Depesza była adresowana do inż. Wojtkiewicza i wzywała go do przerwania urlopu i szybkiego przyjazdu do Łodzi, gdyż w Widzewskiej Manufakturze trwa od dni kilku zatarg między robotnikami i Zarządem firmy.

Tegoż jeszcze wieczora jechał inżynier do Łodzi przysłanym po niego samochodem. Jechał w nienajlepszym humorze, raz dlatego, że nieoczekiwane przerwanie miłego urlopu nie należy do przyjemności, po drugie zaś, gdyż zdawał sobie sprawę z kłopotów i trudności, jakie czekają go w Łodzi. Inżynier wiedział z doświadczenia, że likwidacja zatargów na Widzewskiej Manufakturze jest szczególnie trudna ze względu na — co tu ukrywać — położenie robotników tej fabryki. Inż. Wojtkiewicz nie aprobował metod wprowadzonych przez prezesa Markusa Kona, a w kołach swych przyjaciół i kolegów dał parę razy wyraz swym poglądom. Jakże bowiem w cywilizowanym kraju stosować tego rodzaju kolonialne metody, jak to czynił prezes Kon! Robotnicy Widzewskiej Manufaktury otrzymywali wynagrodzenie za pracę nie w pieniądzu, a w kwitkach honorowanych tylko przez Konsum przyfabryczny. Mogli tam co prawda otrzymać wszystkie konieczne towary, ale wyzysk był posunięty zbyt daleko; prezes Kon nie powinien tak łapczywie napychać sobie kieszeni robotniczymi pieniędzmi.

2

Na tydzień przed niespodziewanym powrotem inż. Wojtkiewicza do Łodzi Zarząd „Widzewskiej Manufaktury" oznajmił robotnikom pracującym na „egipskiej" przędzalni, że zmuszony jest obniżyć płace o 20%. Zarząd wyjaśniał, że taka właśnie obniżka została niedawno przeprowadzona w firmie „Krusche i Ender" i fakt ten uniemożliwia „Wimie" konkurencję z produktami enderowskiej fabryki. „Zarząd firmy stanął przed alternatywą: zamknąć przędzalnię „Egipską" — co byłoby katastrofą dla firmy i dla robotników, którzy w tym wypadku znaleźliby się na bruku, albo — obniżyć pensje. Wybrano tę drugą.

W praktyce decyzja Zarządu oznaczała, że pracownicy „egipskiej" przędzalni zarabiać będą w miejsce dotychczasowych 10 — 14 złotych tygodniowo — 7,5 do 10, tydzień pracy w Wimie składał się bowiem z dwóch dni roboczych. Decyzja Zarządu poruszyła robotników „egipskiej" przędzalni i wywołała silne wrażenie w fabryce.

Tekla Borowiakowa, odpowiedzialny delegat Dzielnicy KPP „Widzew" na Widzewską Manufakturę, niezwłocznie uruchomiła akcję. We wszystkich oddziałach fabryki komuniści wyjaśniali towarzyszom pracy, że decyzja Zarządu nie dotyczy tylko „egipskiej" przędzalni. Coraz powszechniejsza stawała się świadomość, iż fabrykanci prowadzą zorganizowany atak na umowę zbiorową z 1928 roku. Po fajrancie, na górce koło przyfabrycznego boiska sportowego odbyła się masówka, na której zdecydowano strajk. Zawiadomiona o masówce konna policja przybyła za późno; ludzie zdążyli się już rozejść.

Po dwóch dniach cała fabryka stanęła, reszta załogi przyłączyła się do strajkujących. Sześć tysięcy ludzi czekało na wynik pertraktacji swych delegatów z Zarządem. Markus Kon nie ustępował, chodziły słuchy, że ma zamiar przyjąć na miejsce strajkujących nowych pracowników. W gnębionej bezrobociem Łodzi nie było to niemożliwe; dlatego też po porozumieniu się z Dzielnicą KPP, Komitet strajkowy rzucił w dniu 24 sierpnia hasło strajku okupacyjnego.

3

Pod wieczór dnia 30 sierpnia delegaci strajkujących wrócili do fabryki po nieudanej konferencji u inspektora pracy. Przedstawiciele Zarządu fabryki odmówili wzięcia w niej udziału stwierdzając, że nie podejmą żadnych rozmów, dopóki robotnicy nie opuszczą fabryki. Takie były dyspozycje udzielone Zarządowi przez prezesa Kona, który wkrótce po rozpoczęciu strajku opuścił Łódź i w ten sposób znakomicie utrudniał pertraktacje.

Pięć dni trwała już okupacja fabryki. Kilka tysięcy ludzi od pięciu dni nie opuszczało wielkiego podwórza nocując pod gołym niebem, gdyż z rozkazu Zarządu fabryczna straż ogniowa pozamykała wszystkie budynki. Te noce były właśnie najtrudniejsze, chłodne, sierpniowe noce. Z polecenia prezesa Kona straż przyfabryczna urządzała pożarowe alarmy przerywając ciszę świdrującym w uszach wyciem syreny pożarowej. Prezes Kon polecił także, by co jakiś czas polewano hydrantami rozległe trawniki podwórca, aby uniemożliwić strajkującym biwakowanie i zmusić ich do spania na bruku. Kiedy po raz pierwszy strumienie wody spadły na rozlokowanych do snu ludzi, omal nie doszło do awantury. Rozgniewani robotnicy już, już szykowali się wedrzeć do gmachu Zarządu i sprawić strażakom łaźnię; na szczęście udało się Borowiakowej i towarzyszom powstrzymać ludzi od odpowiedzi na prowokację, której tylko oczekiwała policja.

Dokuczały chłody nocne, dokuczała bezsenność, dokuczała przede wszystkim rozłąka z rodziną. Dlatego też powracający z nieudanej konferencji delegaci byli zatroskani i niezbyt uważnie słuchali perory towarzyszącego im działacza Związku Klasowego, Golińskiego. Od chwili spotkania z delegatami Goliński nie przestawał robić im wymówek, że strajk został podjęty bez porozumienia z kierownictwem Związku.

— Towarzyszu — odezwał się wreszcie Benedyczak. — Na co ta mowa? Ludzie wszyscy chcieli, to kogo jeszcze trza było pytać?

— A dyscyplina związkowa to nic? — irytował się Goliński. — Bez dyscypliny i organizacji niczego nie zrobicie.

— Nie tak źle u nas z tą dyscypliną — uśmiechnął się Siciński. — Zobaczycie. Dyscyplina i organizacja jest, a że nie taka jakby się wam podobała, to już inna sprawa. Niedobrze jest, rozumiecie, jak się kierownictwo związku odrywa od mas, bo wtedy na nic masom takie kierownictwo.

— Demagogię schowajcie dla siebie, dobrze? — odpowiedział zgryźliwie Goliński i zamilkł. Dochodzili właśnie do wejścia do fabryki, obok którego stało kilku strażaków, młodych i silnych drabów. Po przeciwnej stronie ulicy kręcili się parami policjanci w hełmach bojowych.

W portierni strażacy przeglądali gazetę i zastanawiali się głośno, kto to jest ów Goering, nowy premier niemiecki. W portierni też czekał na delegatów Bednarek, przewodniczący Komitetu strajkowego. Zagarnął ramieniem Sicińskiego i poszli razem szukać Borowiakowej.

— Widziałem się z sekretarzem Dzielnicy. Ważna wiadomość, bardzo ważna — szeptał towarzyszowi Bednarek. — Inne fabryki nas poprą. Towarzysz Wacek *) tak zdecydował — rozumiecie.

Ich sprawa, sprawa przędzalni „egipskiej", przestała być odosobnionym wypadkiem, ryzykancką próbą obrony na niepewne. Staje się sprawą całej Łodzi, wszystkich jej robotników. Z chwilą gdy tak zdecydował „towarzysz Wacek" — znany Sicińskiemu tylko ze słyszenia — pod tym pseudonimem ukrywał się sekretarz okręgowy KPP — akcja „Wi-My" przeradza się w planową walkę, przygotowaną, przemyślaną, wspólną.

Towarzysz „Wacek" decydując ich poprzeć, musiał rozważyć sytuację wszechstronnie — miał on wiadomości, jakich Siciński znać nie mógł, i widać położenie robotników łódzkich było takie, że należało wystąpić stanowczo. Tu u nich był tylko fragment walki — w istocie musiało iść o całość sprawy, właściciele fabryk przygotowywali się by unicestwić umowę pracy z roku 1928, i towarzysz „Wacek" tak położenie ocenił Siciński rozumiał, że akcja przechodzi w ręce sztabu przewidującego i zorganizowanego, że tkacze z Wi-My już nie są sami, że mają za sobą oparcie potężne, nie oportunistyczne i tchórzliwe, podkopujące ich siłę — jak żałosny „Związek Klasowy"...

Siciński pokiwał głową. Rozumiał.

Z Borowiakową zdążyli zamienić tylko parę słów, gdy przy budynku Zarządu, w grupie zebranych tam ludzi powstał hałas. Siciński pobiegł szybko w kierunku tumultu. W mdłym świetle latarni ujrzał Golińskiego, który stał na podwyższeniu i gestykulując, gwałtownie perorował.

— Nie sztuka łudzić klasę robotniczą obiecankami o niebieskich migdałach, tumanić ludziom w głowach. Sztuka, towarzysze, myśleć i widzieć realnie, stawiać przed klasą robotniczą, przed robotnikiem polskim zadanie osiągalne.

— A co może osiągnąć klasa robotnicza w ustroju sanacyjnym? — krzyknął Siciński.

— Towarzysze — wrzeszczał mówca, usiłując go zagłuszyć. — W imieniu Związku Klasowego, w imieniu PPS, jedynej reprezentantki interesów polskiego proletariatu, zapytuję was: do czego ma prowadzić wasz strajk? Po co tu siedzicie? Przecież dopóki nie opuścicie fabryki, Zarząd firmy nie zgodzi się na żadne pertraktacje. Pomyślcie o swoich rodzinach...

Siciński nie widział dokładnie co się stało, ale Goliński nagle zatrzepotał ramionami i zniknął w ciżbie. Zakotłowało się tam i kiedy Siciński przecisnął się przez tłum, krzykacz stał w kręgu otaczających go robotników, otrzepywał marynarkę i rozglądał się niepewnie.

— Ty żółty gnojku — wykrzykiwała stara robotnica grożąc mu pięścią. — Rodzinę mi będziesz przypominał. A dla kogo ja już piątą noc tu siedzę? Dla kogo, co? Ładny towarzysz!

*) Pseudonim Bolesława Bieruta.

Z teki graficznej pt. „Bolesław Bierut", która ukaże się wkrótce nakładem „Czytelnika".

Rys. Jan Marcin Szancer

Powrót

ARTUR MIĘDZYRZECKI

NOC NOWOROCZNA

W noc sylwestrową 1943 — 44 odbyło się w Warszawie pierwsze zebranie Krajowej Rady Narodowej. Historycznemu zebraniu przewodniczył Bolesław Bierut.

U nóg twych byli i wdowieństwo twoje
Słodziła wierność. A nad głową mieli
Gwiazdy ojczyste. I poszli na boje,
I kwiat rzucili na stok cytadeli.
Wolna Warszawo, pamiętaj o nocy,
W której ich jasne świeciły się oczy!

Hasło mówili, gdy pukali do drzwi,
Śnieg na ulicy ślad zasypał po nich;
Nad czujnym miastem wiatr północny chłodził
Grudniowe niebo łun rozpłomienionych.
Wolna Warszawo, wizjo nowoczesna,
Oni wieścili cię w czynach i pieśniach !

Nie szli do ciebie z romantycznej chmury,
Lecz z głodnych przedmieść, z ubogiego pola,
A na ich czele syn tej ziemi, który
Z towarzyszami do ludu zawołał;
A lud połączył ramiona swe mocne
I słuchał głosów nocy noworocznej.

Był skrzyp szubienic. Ogień palił domy.
Zdrajca zza węgła mierzył w twoje serce.
Ale tyś wstała w zgliszczach wyzwolonych,
Gdy łuna lśniła na chłodnej manierce
Z wodą wiślaną. Stolico nad Wisłą,
Noc noworoczna zwiastowała przyszłość!

POLA GOJAWICZYŃSKA

* * *

W czterdziestym piątym roku pewien mieszkaniec Warszawy wrócił — jeden z pierwszych — na ruiny. Zastał dom rozbity, lecz jedna izba dała się jeszcze uratować. Zakasał rękawy i zabrał się do remontu. Znalazł w w gruzach potrzebny ku temu materiał, załatał ściany i ulepił rodzaj paleniska; lecz gdy doszło do okna, natknął się na trudności nie do pokonania. Nie było wówczas szyb. Z kawałków, ze skrawków i obrzynków oszklił małe okienko, aby dawało nieco światła, a drugi otwór, otwór frontowego okna zabił dyktą. Po czym, dając wyraz swej radości z powrotu i ulegając tej nieodpartej wewnętrznej potrzebie, która każe robić człowiekowi rzeczy na pozór niekonieczne, namalował na dykcie ciemnobłękitne tło, zupełnie jak jest o zmierzchu w prawdziwym oknia, a na tym tle białe, tiulowe firanki z falbankami i doniczkę z kwiatkiem.

Zrobił to, gdy brak jeszcze było jednej całej ściany, drzwi, podłogi. Nie było wody, światła, ognia, chleba.

To okno w wielkiej pustce, a nieopodal traktu, ogłosiło stan wszelkich możliwości, stało się wyrazem niewypowiedzianej nadziei i otuchy dla wędrowców, wracających tędy do miasta. Weszła samotna kobieta i na widok osiadłej już rodziny warszawskiej wzniosła ramiona do góry, wołając: Ląd! Ląd! Ludzie, ludzie! — i zniknęła w otworze drzwi, nie mówiąc nic więcej... Przychodzili ludzie zrozpaczeni, i ludzie zapobiegliwi, ludzie zupełnie bezradni i ludzie pełni energii. Niektórzy zostawali tu przed zmierzchem, bojąc się min i nocy. Z odpadków drzewa podtrzymywano suty ogień. Przechodnie zjawiali się w kręgu tego ognia, wyciągali sztywno ręce ku płomieniowi, a czerwony brzask słabo oświetlał ich twarze. Przepływali, zatrzymywali się, mijali. Niektórzy wstępowali w drodze powrotnej: nie znaleźli nikogo i nic ze swego. Wszyscy zadawali sobie to jedno pytanie: Czy Warszawa zostanie odbudowana?... Czy za naszego życia?... Czy zobaczymy jeszcze znane ulice i miejsca, które tak kochaliśmy?... Wątpili. Nikt nie miał nadziei. Pod tym względem piękne fałszywe okno niewiele pomogło. Działało tylko na pierwszą chwilę.

A potem zrobiła się, jakoś sama, ulica Marszałkowska. Patrzyliśmy z osłupieniem na partery — partery — partery, gdzie na miejscach kupionych za złoto, za szybami kupionymi za złoto, leżało jadło, jedwab, wino i biżuteria i nowiutkie, dopiero co wyprodukowane wełny i płótna. Korespondenci zagraniczni przesyłali do swych pism sensacyjne reportaże o blond bestiach gnieżdżących się w ruinach śródmieścia, o kanonadzie, strzałach, potyczkach i rabunkach nie pozwalających im o zmierzchu wydalać się poza „Polonię". A nawet w *Odrodzeniu* ukazał się artykuł któregoś z młodszych pisarzy, mówiący, że na dobrą sprawę Stare Miasto należałoby ogrodzić drutem kolczastym i zostawić tak, a może tylko pobudować wokół gospody i kawiarnie, aby zwiedzający cudzoziemcy, za opłatą...

Odgruzowanie miasta trwało długo, pochłaniało wszystek czas i środki. Wokół widziało się tylko pochylone grzbiety, a biały pył rozsadzanych murów szedł przez Warszawę. Ludzie zdawali się grzęznąć beznadziejnie w gruzach, wlec utrudzonym krokiem przez wąskie ścieżki uprzątanych ulic, zanim od pierwszego ważnego dokonanego dzieła, od mostu Poniatowskiego, odbudowa nie poszła skokami.

Trzeciego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, otwierając Plenum Komitetu Warszawskiego PZPR Prezydent Bolesław Bierut powiedział: „Rozpoczynamy obrady od sprawy odbudowy Warszawy". Ten prosty i skromny wstęp określał dalej nie tylko materialny kształt stolicy Państwa, lecz dawał wyraz przemianom historycznym, które czyniły Warszawę miastem socjalistycznym. Mieliśmy już wówczas Mariensztat na wykończeniu, a na uroczystym otwarciu Trasy W — Z okrzyki wiwatów biły już w załogę powstającego Muranowa. Pierwsze rodziny robotnicze osiadły w małych kamieniczkach, robotnicy czynili honory domu zwiedzającym.

Przez ten czas, niejako niedostrzegalnie, zanikała powojenna parterowa ulica Marszałkowska. Zacierał się, nikł i przemijał pewien typowy styl naszego życia, stworzony przez pieniądz i oparty na posiadaniu pieniądza. Blond bestie zagranicznego dziennikarza ustąpiły miejsca kobiecie polskiej, która — ubrana w roboczy kombinezon — weszła na rusztowania. Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa rośnie w wielkich blokach, bije w górę wieloma piętrami, i daje mieszkańcom coraz więcej mieszkań. Ich obsada, ich rozdział nada temu centrum charakter, wprowadzi klasę robotniczą w centrum Warszawy.

Raz tylko widziałam Prezydenta. Było to w Radzie Państwa, gdy dekorowano zasłużonych orderami Sztandaru Pracy. Po tej oficjalnej uroczystości ludzie nauki, sztuki, budowniczowie i artyści, przybyli z różnych stron Polski, zgrupowali się w rozmowach bardziej osobistych. Prezydent stał pośrodku sali, otoczony robotnikami. Tkaczki łódzkie i warszawscy murarze dziękowali Mu za odznaczenia, i — dziękując — mówili o swych osiągnięciach, o swej roli w Ojczyźnie, o tym co zawdzięczają swemu robotniczemu Prezydentowi. Ten obraz i te słowa poczynały się wiązać w moich oczach z jakimś trudnym, pełnym pytań obrazem mojego własnego życia, aż stały się kartką książki, ongiś, dawno już napisanej: — „Interes państwa?... Ale dlaczego — myślała — nie odczuwało się nigdy sensu tych słów, a łączyło zawsze a zawsze z interesem klasy posiadaczy, z wielkim przemysłem, z wielką własnością rolną, z wielkim handlem, aż to niemal stało się jednoznaczne? Dla niej, najoczywiściej interes państwa leżał właśnie w tych najszerszych, pracowniczych masach narodu, tu tkwiła jego obronność, jego rozkwit, jak i największy, nie związany z zyskami kapitał miłości..."

— Gdyby nie nasz robotniczy Prezydent — rzekła starsza, strudzona robotnica łódzka... — Gdyby nie nasz robotniczy Prezydent — odezwały się głosy ze wszystkich stron. Prezydent odpowiadał niezmiennie, dobitnie, z tą mądrością wychowacy, znającego cechy charakteru swojej klasy, odsuwanej zawsze od zasług, nie powoływanej nigdy do roli twórców: — To wy, towarzyszu... To wy, obywatelu, dajecie Polsce wszystkie siły odbudowy. To wasz wysiłek dźwiga kraj z ruin... To wy dajecie mi te możliwości gospodarowania...

Pola Gojawiczyńska

TADEUSZ BREZA

WSPOMNIENIA Z PIERWSZYCH DNI

Biorę do ręki pierwszy numer „Dziennika Krakowskiego", pierwszego pisma polskiego, które się ukazało po wyzwoleniu. Początkowe słowa artykułu wstępnego w tym piśmie brzmią: „Czekaliśmy na to od lat, cieszyliśmy się, że chwila ta przyjdzie. A jednak kiedy tydzień temu spadły nagle straszliwe, ociekające krwią okowy, zdawało się nam w pierwszych godzinach, że to sen jakiś, daleki od prawdy, zbyt wiele przecierpieliśmy, aby móc od razu uwierzyć, że oto runął cały potworny gmach zbrodni i kłamstwa, że znowu jesteśmy wolni."

Odkładam na bok numer pisma i myślę o tych dniach. O tym potężnym poczuciu ulgi, które przyniosły, ale zarazem o tym uczuciu jakiegoś oszołomienia, którego doznaliśmy i którego echem pobrzmiewają przytoczone wyżej zdania. Zwyciężała nasza sprawa. Słuszność brała górę nad krzywdą. Świt promieniał.

Naprzód szła Armia Czerwona a u jej boku nasza. Coraz jaśniej robiło się na świecie, coraz szerzej. Ale kto dobrze te dni pamięta, przypomni sobie i to, że piliśmy radość pełnymi haustami, ale wciąż z domieszką goryczy.

Ulicami waliły wojska. Śpiewne, hałaśliwe, wesołe. Dzwoniły koła, chrzęściły gąsienice, biły o bruk kopyta. Nawiązywały się rozmowy. A raczej — krzyżowały się okrzyki. Tempo tych wojsk, które wtedy przelatywały przez Kraków, było oszałamiające. Potężne jednostki artylerii, oddziały czołgów, moździerzy, tocząc się ulicami, wprawiały w drżenie domy. Ukazywały się i nikły. Ukazywały się i nikły. W tumulcie, w pędzie, we wrzawie. Po naszej stronie była ta olbrzymia siła. Myśmy stanowili jej część. O nas i dla nas dudniła ona i grzmiała tak po bruku odgarniając z naszej ziemi najbardziej potworne plugastwo, jakie kiedykolwiek się na nią zwaliło. Czułem to, jak każdy, całą siłą swego jestestwa. Ale kiedy te obrazy wspaniałej i zwycięskiej oraz szczęśliwej ze swego zwycięstwa mocy nikły sprzed moich oczu, widziałem już co innego. Kraków wówczas począł się napełniać ludźmi z lagrów. Z koncentracyjnych obozów. Z obozów zniszczenia. Zwycięska Armia dążyła naprzód spieszna, niecierpliwa. Niosąc wyzwolenie miastom, wsiom, osiedlom. Przynosząc im wolność i życie. Kiedy patrzyło się na tych ludzi o których wspominam, ludzi w pasiakach, ludzi w takiej postaci w jakiej przez cały ciąg historii nigdy jeszcze nie oglądało się żywych, zaczynało się myśleć, że mocą swoją odczarowuje ta olbrzymia, porywająca, tocząca się na Zachód Armia nie tylko wsie i miasta, ale i cmentarze.

Tak nie było! Armia Czerwona i nasza przy jej boku na swoich bagnetach milionom niosły życie, wolność, wyzwolenie, swobodę. Ale nie przynosiły, nie mogły przynieść rewizji tej nieskończonej ilości zgonów. Ani cierpień nie przekreślały, ani upokorzeń, ani ohydy przeszłych dni, ani ich hańby ani ich potworności. Postaci w pasiakach snuły się przez Kraków, snuły się ulicami, a po głowie snuły się tysiące dręczących wspomnień. Tysiące mroźnych refleksji. Na nutę jedną właściwie, którą tak genialnie oddano w *motto* do małej książeczki powstającej właśnie w tym okresie, *motto* mówiącym, że to „człowiek człowiekowi zgotował ten los". Człowiek, dziedzic tysiącletniej kultury!

W przedziwny sposób tej właśnie refleksji wyszły naprzeciw i zmierzyły się z nią słowa, które wtedy usłyszałem. Słowa wypowiedziane przez kogoś, kogo sześćdziesięciolecie obchodzimy teraz. Prezydent przyjechał do Krakowa w poniedziałek 19 stycznia. Na wieczór zaprosił do Hotelu Francuskiego przedstawicieli inteligencji miasta Krakowa. Grupę profesorów, pisarzy, architektów, dziennikarzy, aktorów, malarzy, muzyków. Zasiedliśmy przy wielkim stole. Było nas nie więcej niż pół setki osób. Już czynnych, już organizujących, już pracowicie zajętych. Nie z tych, którym oszołomienie o jakim wspomniałem na początku przeszkodziłoby działać. Byliśmy wszyscy — żywi! A jednak kiedy Prezydent Krajowej Rady Narodowej wstał i zaczął mówić, poczułem że ożywia się we mnie coś, co było dotąd jak gdyby zmartwiałe. Poczułem, że Człowiek, który do nas mówi, jak gdyby wie od nas więcej o nas samych i więcej wie od nas o kulturze, ufając jej więcej. Słuchaliśmy jego głosu z uwagą. Głosu, który mówił o naszych najbliższych sprawach z takim zrozumieniem i z takim skupieniem. Mobilizował nas i porywał. Wzruszał głęboko każdą myślą, swoim przywiązaniem do wszystkiego co nam było bliskie, szacunkiem do naszych powołań i naszych zawodów. Mówił z ogromną intuicją, przechodząc od jednej wątpliwości, przenikającej tego czy owego z nas, do następnej, od wątpliwości trawiącej mego sąsiada, do wątpliwości która mnie trawiła. Od takiej, której mieliśmy świadomość, do takiej, co do której świadomość nasza nie była pełna. Rosły przed nami perspektywy, poszerzały się. Prezydent mówił o nauce, o sztuce i o kulturze. Rozległe pole otwierając naszym ambicjom, naszemu patriotyzmowi i naszemu umiłowaniu człowieka. Słuchali go profesorowie z Krakowa i słuchali go artyści, którzy tu zbiegli z różnych innych miast. Po czym posypały się odpowiedzi. Posypały się głosy ludzi, z którymi nieraz w ostatnich dniach rozmawiałem. Zmienione były. Żarliwym przybyło żaru. Zmęczeni wojną — zapomnieli o swoim zmęczeniu. Oszołomieni — o swoim oszołomieniu. We wszystkich wystąpieniach dźwięczała jakaś wielka, ludzka, twórcza duma.

Tadeusz Breza

4

Po fajrancie Boćko został jeszcze chwil parę w fabryce i wyszedł dopiero wtedy, gdy pewien był, że nikt się do niego nie przyłączy. Nie miał dziś ochoty na niczyje towarzystwo, wolał być sam, bo czuł się zmęczony po wczorajszej nocnej akcji wywieszenia sztandaru i chciał sobie spokojnie niektóre sprawy przemyśleć. Paląc papierosa szedł powoli Wodną ku Wodnemu Rynkowi i przeglądał „Głos Poranny" zostawiony w ślusarni przez kierownika. Szybko odnalazł notatkę, która go interesowała. Pod komunikatem o wczorajszej konferencji u inspektora pracy w sprawie zatargu na „Wi-Mie" redakcja informowała, że komuniści łódzcy zorganizowali komitet niesienia pomocy strajkującym robotnikom. Donoszono dalej, że „władze są na tropie", że ujęto uczestników jakiegoś zebrania na Chojnach, że 27 osób osadzono dotychczas w więzieniu.

Boćko uśmiechnął się smutno. Nie dlatego, by dziwnym zdawało mu się tropienie komitetu pomocy strajkującym robotnikom; nie, doświadczenie w pracy partyjnej dawno już nauczyło go bez zdziwienia przyjmować takie wiadomości. Uśmiechnął się dlatego, że notatka potwierdziła jego przewidywania o zaostrzeniu się aktywności defensywy wobec trwającego strajku. Należy spodziewać się nowych aresztowań wśród towarzyszy, należy oczekiwać, iż na jego barkach—dzielnicowego sekretarza MOPR — spocznie zwiększony ciężar opieki nad uwięzionymi, nad większą liczbą ich rodzin. Po prawdzie, to ciężar ten spadnie na widzewskich robotników; jemu samemu przybędzie jedynie pracy i kłopotów, a tu, jak na złość, ze zdrowiem nietęgo. Chyba to wczorajsze nocne sztandarowanie przed „Wi-Mą" tak mu się przysłużyło. Nie bagatela stać w chłodną noc przez dwie godziny bez ruchu prawie. Inna rzecz, że dzięki tej cierpliwości czerwony sztandar zawisł na drutach naprzeciw Zarządu i na pewno nie łatwo przyszło go usunąć.

Tak rozmyślając Boćko doszedł do Wodnego Rynku i już zamierzał skręcić w Rokicińską i iść w stronę okupowanej „Wimy", kiedy uwagę jego zwrócił jakiś żywszy niż zazwyczaj ruch przed tkalnią Scheiblera i Grohmana. Na skwerze stały grupki robotników żywo rozmawiających. Boćko podszedł do nich i wkrótce już wiedział o co chodzi; oto w scheiblerowskiej przędzalni na Księżym Młynie wybuchł dziś strajk okupacyjny w tych samych okolicznościach, jakie zdarzyły się już u Kruschego i Endera oraz w Widzewskiej.

Towarzysz „Wacek" spełnił swoje przyrzeczenie — niewidoczny, nieznany, zmobilizował wszystkie siły proletariatu łódzkiego. Po „Krusche i Enderze" — „Wi-Ma"; po „Wi-Mie" — Scheibler i Grohman... Tak narastał wielki strajk obronny, któremu komuniści łódzcy pod przywództwem swego sekretarza okręgowego nadali charakter akcji zorganizowanej, o celach jasno określonych, o formach walki stanowczych i przygotowanych. Teraz było wiadomo, że robotnicy w razie potrzeby potrafią rozegrać każde starcie, nie narażając się niepotrzebnie na chaotyczne demonstracje, mając w swym ręku broń potężną: strajk generalny, który wybuchnie na hasło dane przez towarzysza „Wacka"...

Niedaleko konowskiego pałacu Boćko natknął się na Jarzębowskiego, który miał mu coś do powiedzenia, a że zatrzymywanie się na chodnikach było wzbronione, poszli razem w stronę, w którą dążył Boćko, a skąd Jarzębowski wracał. Starszy robotnik z ożywieniem, choć szeptem, opowiadał Boćce, jak to idąc rano do pracy widział strażaków zajętych zdejmowaniem z drutów telefonicznych zawieszonego tam czerwonego sztandaru.

— A wiecie co — rzekł Boćko po chwili tonem konfidencjonalnym — Luterkowa, ta od sanacyjnego związku i Puterman od endeków już nie są w fabryce. Posiedzieli ze dwa dni i koniec. Ludzie mówią, że coś tam z Zarządem kombinują.

— Możliwe — zgodził się Boćko, bo i rzeczywiście nie oczekiwał, by działacze sanacyjnych, czy endeckich organizacji robotniczych mogli brać rzeczywisty udział w strajku.

— Najpierw ludzie muszą zrozumieć, gdzie prawda; potem dopiero może być jedność — powiedział i w tej chwili usłyszał za sobą wołanie. Odwrócił się. To „Ciotka", specjalistka od organizowania i wysyłania zbiorowych petycji do prokuratora, goniła go szybkim krokiem. Widać było, że jest czymś poruszona.

— Słyszeliście? — Dysząc mocno ze zmęczenia wyrzuciła z siebie to słowo. — Słyszeliście? W tkalni na Wodniaku strajk okupacyjny. Tkacze wywalili bramę i...

— Kiedy? — Boćko mrugał oczyma. — Byłem tam przecież...

— Tylko co — rzuciła „Ciotka". — Tramwajarz mówił.

5

Pod naciskiem fabrykantów, przy poparciu endeckich i sanacyjnych organizacji robotniczych, przy cichej zgodzie kierownictwa Związku Klasowego, władze zdecydowały się na wystąpienie energiczne. Od rana dnia 1-go września na Wodnym Rynku i w okolicy zebrały się znaczne oddziały policyjne, szykując się do opróżnienia siłą okupowanej tkalni. Te same przygotowania widoczne były wokół Wi-My. Wystąpienie policji zostało jednak opóźnione i zdezorganizowane, gdyż KPP zwołała wielką robotniczą demonstrację w drugim końcu miasta, na placu Hallera i tam w pośpiechu przerzucono część policyjnych oddziałów. Tymczasem na Wodnym Rynku także zaczęły gromadzić się tłumy. Zdenerwowany tą sytuacją dowodzący tu oficer policji dał rozkaz opróżnienia tkalni.

Akcja ta nie miała szczególnie drastycznego przebiegu. Tkacze nie stawiali tu mocniejszego oporu, wyszli, ale na Wodniaku połączyli się z tłumem asystującym przy tej operacji i wszyscy razem przenieśli się na teren pobliskiej fabryki Zindermana, gdzie znów przystąpiono do okupacji. Tym razem policja miała zadanie trudniejsze, gdyż dostęp do fabryki zamykała masywna brama, a innego wejścia nie było, jako że teren fabryczny obudowany był domami. Fakt powstania nowego ogniska strajkowej walki okupacyjnej natychmiast po zlikwidowaniu okupacji na scheiblerowskiej tkalni, oraz trudności dotarcia na teren nowego punktu oparcia robotników zaostrzył irytację policjantów. Gdy wreszcie udało się policjantom przez sklepik wedrzeć się na zindermanowską posesję, pacyfikacja przybrała formę brutalną. Padły strzały; jeden z nich zabił robotnicę Wojciechowską.

Śmierć towarzyszki, chamstwo i brutalność policji, obawa o los robotników Wi-My, nad którymi także zawisła groźba pacyfikacji, rzuciły tłum na ulicę Rokicińską i skierowały go ku „Wi-Mie". Byli to już jednak ludzie nie ci sami, co przed godziną na Wodniaku, spokojni i obserwujący. Był to tłum groźny, burzliwy i gniewny, tłum robotników, którzy przed chwilą przekonali się raz jeszcze, że aparat państwowy jest narzędziem obrony fabrykantów. Ludzie szli zdecydowani na walkę, zdecydowani ułatwić okupującym „Wi-Mę" towarzyszom wyjście z pierścienia, w jakim policja zamknęła fabrykę.

Akcją kierowano mądrze. Nie narażano robotników na bezpośrednie starcie z policją oblegającą „Wi-Mę". Tłum ruszył w stronę położonej za torem Niciarni, odciągając od „Wi-My" część policji. Pod Niciarnią szarża konnej policji rozdzieliła zwartą masę robotników, ale ich nie odparła. Część ludzi uliczkami, nad torem między ogródkami przeniosła się pod Konsum, znienawidzony Konsum prezesa Kona. Poszły w ruch „robotnicze bomby" — brukowce i nim policja zdołała zareagować z Konsumu pozostały nagie ściany.

Zmuszony do uganiania się za przybyłymi z Wodniaka ludźmi komisarz Bartel, władca IX-go komisariatu, łapał, skąd się dało, swych granatowych podwładnych, wskutek czego musiał przerwać oblężenie „Wi-My". W fabryce tymczasem komitet strajkowy zdecydował ewakuację tych wszystkich, którzy nie chcieli lub nie powinni znaleźć się w pacyfikacyjnym tumulcie. Przez tylne furtki, przez parkany ludzie opuszczali teren fabryki. Zostali ci, którzy podjęli się reprezentować do końca niezłomną postawę widzewskich robotników, ci, którzy rozumieli, że walka, jaką podjęli, wymaga ofiar, bo ofiary uczą. Zostali przede wszystkim komuniści, a wraz z nimi najbardziej świadomi robotnicy „Wi-My".

Uporawszy się jako tako z niespodziewaną odsieczą, jaką dla obleganych byli ludzie z Wodniaka, komisarz Bartel pchnął swoich ponurych zuchów na „Wi-Mę". Jednym z pierwszych policjantów jacy znaleźli się na podwórzu był przodownik Branicki, znany na Widzewie siłacz i cham. I tak się złożyło, że pierwszym strajkującym, na którego natknął się Branicki, był jego ojciec. Przodownik nie znał na służbie sentymentów rodzinnych. Skopał i zbił ojca wymyślając mu od komunistów, przewrócił go na ziemię. Zagrzani tym przykładem podwładni Branickiego ruszyli naprzód. Rozpoczęło się.

6

Dnia 7 września wieczorem komisarz Bartel siedział w swoim gabinecie i to właśnie, że musiał tu być o tej porze, irytowało go bardzo. Komisarz był służbistą i rozumiał wymogi służby, ale co za dużo, to nie zdrowo. Przecież już tydzień temu, po oczyszczeniu „Wi-My" z tych komunistów wydawało się, że nastanie spokój. A tymczasem ani w jego rejonie spokoju nie było, ani też trudno mówić o nim w Łodzi. W „Wi-Mie" do dziś strajkujący nie dogadali się z Zarządem, nie chcąc się zgodzić na wysuwane przez firmę warunki. Na pewno podtrzymuje ich w oporze fala strajków, jaka ogarnęła Łódź. Szczególnie po pogrzebie Wojciechowskiej, pogrzebie — ogromnej manifestacji 60 tysięcy robotników, przeciw którym policja — komisarz przyznawał to otwarcie — bała się wystąpić, zakotłowało się w mieście. Strajkują ludzie u Allarta i Rousseau, strajkują u Benischa, dziś zastrajkowali u Geyera i Turucza.

Zastukano do gabinetu i po burkliwym „proszę" komisarza wszedł jeden z konfidentów. Nie lubił komisarz tego typa, obleśny był jakiś i niepoważny. Teraz również miał minę, jakby przed chwilą usłyszał bardzo zabawny kawał.

— No i co? — zapytał komisarz oczekując relacji z zebrania, jakie odbyć się dziś miało w Związku Włókniarzy.

— Lipa, panie komisarzu, jak Boga kocham, lipa — zachichotał agent, ale spoważniał, przywołany do porządku surowym spojrzeniem zwierzchnika. Sprawa nie była przyjemna. Kierownictwo związkowe przegrało na całej linii, gdyż wbrew jego stanowisku delegaci fabryk żądali proklamowania strajku generalnego włókniarzy. Nie mając argumentów Szczerkowski, Goliński i Walczak próbowali zerwać zebranie opuszczając salę obrad, zebranie jednak odbyło się bez nich.

Agent co chwila chichotał i krzywił się, co do reszty zirytowało komisarza. Odprawił podwładnego i sięgnął po słuchawkę. W „defie" wiedziano już o przebiegu zebrania.

— Damy my im strajk powszechny — skrzeczał stary znajomy komisarza, kapitan. — Poczekaj tylko, a zobaczysz, jak my pracujemy. Nie to co wy, pałkarze. Cały prawie komitet twojej dzielnicy mamy już rozpracowany.

— Nie bez pomocy moich ludzi — upominał się komisarz.

— Ty byś nam, bracie, „Wacka" pomógł złapać, ot co. Awansik murowany.

— I jeszcze kogo? — zirytował się komiserz i odłożył słuchawkę. Mądrale, myślał, plotki to jeszcze potrafią znaleźć, ale tych najgroźniejszych, tych, którzy prowadzą całą robotę, to już nie.

Westchnął komisarz ciężko i otworzył radio. Nadawano właśnie dziennik i pełnym namaszczenia głosem speaker informował słuchaczy o wizycie w Warszawie szefa sztabu armii Stanów Zjednoczonych, generała MacArthura.

— No, no, — ucieszył się komisarz — rośnie nasze znaczenie. Przy amerykańskiej pomocy nie zginiemy. „Wacki" nic tu nie zrobią.

Edward Szuster

IRENA KRZYWICKA

CZŁOWIEK SOCJALISTYCZNY

W szkicu tym czytelnik znajdzie z pewnością wiele luk historycznych. Nie roszczę sobie jednak pretensji do pisania zarysu biografii naszego Prezydenta pragnę tylko pokazać na podstawie wspomnień różnych osób i tego, co wiem sama, jak kształtowały się cechy charakteru tego prawdziwego komunisty.

Postać średniego wzrostu, głowa mocno osadzona w ramionach, nieco pochylona do przodu. Ruchy spokojne, opanowane, ale bynajmniej nie ociężałe; jest w nich zatajona młodzieńczość i żywość. Twarz... Jeden z pisarzy francuskich powiedział, że po czterdziestym roku życia człowiek odpowiada już za swoją twarz. Jest w tym słuszność: w wieku dojrzałym twarz ludzka wyraża dokładniej niż w młodości życie psychiczne człowieka. Na twarzy Bolesława Bieruta można wyczytać to wszystko, co stanowi jego istotną, ludzką treść: jest to twarz rozumna, o rozległym czole, o uważnym, zamyślonym spojrzeniu. Jest to twarz dobra — gdzie się ta dobroć tai, trudno określić. Może znowu w oczach, może w łagodnym półuśmiechu: bije z niej jakaś ciepła serdeczność, która nie zatraca się nawet na pocztowym znaczku. Jest w niej skromność, może nawet odrobina nieśmiałości a jednocześnie spokojna siła. Nie jest to twarz jakaś szczególnie piękna albo efektowna, ale twarz, na którą patrzy się chętnie, z sympatią i zaufaniem. Twarz mądrego, dobrego człowieka.

*

Kiedy się rozmawia z ludźmi, którzy znają bliżej Prezydenta, określenia „dobry", „mądry" wśród ich słów przewijają się bezustannie. Ale ze wspomnień ludzkich, z całego biegu życia Bolesława Bieruta wynika coś jeszcze: obraz człowieka, rosnącego człowieka, rozwijającego się nieustannie, stojącego wobec coraz to trudniejszych zadań i — umiejącego im sprostać, człowieka, który w coraz większej mierze staje się współtwórcą i kierownikiem wydarzeń, który rośnie wraz z nimi.

W swym życiu Bolesław Bierut z całkowitą konsekwencją trzymał się raz obranej drogi, a obrał ją mając lat 13. Uczestniczył wówczas aktywnie w strajku szkolnym 1905 r. Potem nie wrócił już do szkoły; trzeba było zarabiać na chleb. Młody Bolek wraz z garścią młodzieży robotniczej utworzył kółko, które przy pomocy lektur i dyskusji tworzyło

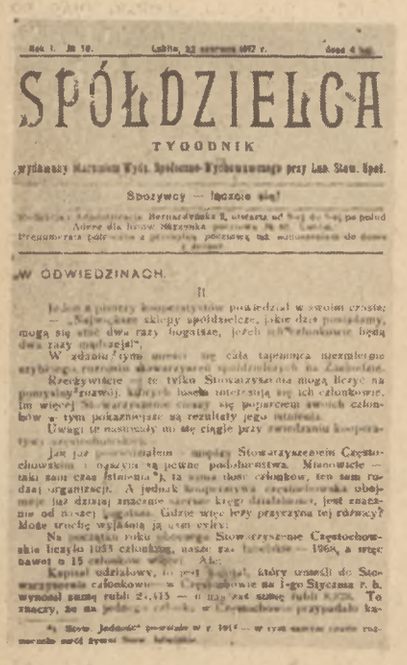

SPÓŁDZIELCA

TYGODNIK

Spożywcy — łączcie się!

„W ODWIEDZINACH.

II

Artykuł tow. Bieruta „W odpowiedziach" zamieszczony w tygodniku „Spółdzielca" z dnia 15.VI.1937 r. Artykuł podpisany pseud. J. B. Bielak.

sobie pogląd na świat i rolę w nim człowieka. Z młodzieżą tą współdziałała grupa inteligentów, wartościowych i postępowych ludzi, ale niosących ze sobą nierzadko liche mody intelektualne owych czasów. Nietzscheanizm, neopogaństwo, wolnomyślicielskie wilie czy święta Kupały, tołstojowskie niesprzeciwianie się złu, cygańskie kokardy i peleryny, młodopolszczyznę. Przy tym szlachetne, radykalne panie, niefałszowany zapał i ofiarność, deklamacje i rewolucyjne pieśni śpiewane przy zamkniętych oknach, książki przyrodnicze oraz pisma Marksa i Engelsa — nie łatwo się było rozeznać w sprzecznych prądach, nie łatwo odrzucić plewę od zdrowego ziarna, nie łatwo utrzymać się na mniej malowniczych, ale za to rzetelnych społecznie i myślowo pozycjach. I wśród całego tego zmącenia, ten młody człowiek od razu zajął właściwą pozycję i już dobrze władając piórem uzasadniał, że życie jest walką: „Nie należy roztkliwiać się nad złem, ale z nim walczyć. Nie można bujać w obłokach, ale trzeba twardo stać na ziemi. Konkretnie, przez walkę, należy zmieniać życie w upragnionym kierunku".

Ci co znali Bolesława Bieruta w owych czasach twierdzą, że ten młody zecer a potem geometra nie wyróżniał się niczym specjalnym, *chyba tylko* pracowitością, trzeźwością myślenia, solidnością.

„Tylko"?...

Być może, iż niechęć do patosu i do blagi, wrodzona skłonność do jasnego, naukowego myślenia, proletariackie doświadczenie i brak chwiejności na raz obranej drodze — wszystko to mogło sprawić, że nie raz zaćmiewali młodego Bolka bardziej efektowni towarzysze i przywódcy ówczesnej radykalnej młodzieży. Ale właśnie cechy te sprawiły, że Bolesław Bierut poszedł dalej, a wielu „błyskotliwych" zostało gdzieś w pół drogi. Cechy te tworzą bowiem socjalistycznego człowieka, prawdziwego komunistę.

Młodość przyszłego Prezydenta Rzeczypospolitej była twarda i twarde było jego późniejsze życie. Okres systematycznej nauki zakończył się dlań rychło. Czas jakiś pracował przy murarzach jako „koźlarz" — dźwigał cegły i wapno. Potem bezpłatna kilkumiesięczna praktyka w drukarni dusznej, niewietrzonej, pełnej ołowianego pyłu. Terminatorzy zmieniali się szybko. Większość wymierała na gruźlicę. Bolesław Bierut przeszedł wszystkie szczeble: był terminatorem, zecerem, metrampażem. Wtedy obudził się w nim człowiek pióra. Bolesław Bierut od bardzo wczesnej młodości stał się pisarzem-publicystą. Zaczął od artykułów w hektografowanym „Wyzwoleniu". Odtąd pisać będzie całe życie. Pisze i dziś. Każde przemówienie. Każdy artykuł jest pisany własną Jego ręką. Jest rezultatem własnej, żmudnej pracy, jak twierdzą ci, którym warsztat pisarski Prezydenta jest dobrze znajomy. Jasność i precyzja myślenia, brzydzącego się frazesem, powściągliwy a żarliwy zapał — oto cechy tego, wysokiej próby, pisarstwa.

Było coś w Bolesławie Bierucie— młodym robociarzu, co mimo „nieefektowności" zewnętrznej, fascynowało i kolegów, i przedstawicieli postępowej inteligencji lubelskiej. „Wszędzie, czy to na zebraniach towarzystwa „Przyszłość", czy w rozmowach słyszało się: „Bolek, Bolek..." — wspomina Jego kolega z tamtych czasów. A inny mówi: „Miał dobre i wnikliwe oczy, które nie tylko patrzyły, lecz bacznie obserwowały. Spokojnie a często bardzo dowcipnie omawiał różne sprawy i rozstrzygał je, wyciągając niespodziewane dla innych wnioski". „Niespodziewane wnioski"! — cóż to innego niż *samodzielność myślenia*, dar jakże rzadki. Oznaczał on już wtedy — wybitną indywidualność!

Marginesowo trzeba jeszcze poinformować o pewnym uzdolnieniu, które umilało tajne zebrania. Bolesław Bierut pięknie deklamował. Z głębokim uczuciem a bez fałszywej emfazy. Nawet kiedyś w miejscowym Kurierku (1912 r.) ukazało się sprawozdanie z wieczoru odbytego w „zdradziecko" opanowanym przez radykalną młodzież, poprzednio klerykalnym towarzystwie „Przyszłość": „W dalszym ciągu wieczoru p. Bierut z werwą i zrozumieniem rzeczy wypowiedział „Farysa" i „Testament mój" Słowackiego".

Te deklamacje, śpiewy, referaty, koncerty w Towarzystwie „Przyszłość" oraz długie i dalekie przechadzki stanowiły ulubioną rozrywkę zapracowanego młodego człowieka, który od lat nie tylko, że sam pracował, ale też pomagał rodzinie, choć był jej (poza siostrą Antoniną Miłkowską, wybitną działaczką, bliską sercu poglądami) coraz bardziej obcy.

Praca samokształceniowa dużo pochłaniała czasu. Czasu nie trwonił. Jego młodość naprawdę była „górna i chmurna" wypełniona po brzegi walką o sprawiedliwość społeczną. W owym okresie zmienia zawód, zostaje geometrą — pracuje „na wsi", wymierza i przemierza pola i łąki, torfowiska i lasy. Niedługo zresztą. Szybko rzuca ten zawód, gdyż „ziemianie" żądają, aby przy pomiarach oszukiwał chłopów, działał na ich korzyść. Mimo zmian zawodów nie było u Bolesława Bieruta chaotycznego przerzucania się od jednej pasji do drugiej, właściwego młodym latom. Pasja pozostaje jedna i trwa przez całe życie, walka o zwycięstwo klasy, z której wyszedł — proletariatu.

Jeszcze w okresie lubelskim Bolesław Bierut pocznie działać na terenie, który zaabsorbuje go na długie lata. Tym terenem będzie spółdzielczość, nie jako cel sam w sobie, ale jako jedna z możliwości wyzyskania, w epoce kapitalistycznego ucisku legalnej placówki dla działalności politycznej, dla mobilizowania i uświadamiania klasy robotniczej. Na tym terenie, w Lublinie i w Warszawie następuje nowy okres wzrostu świadomości politycznej Bolesława Bieruta. Na pozór sprawuje skromne funkcje: jest magazynierem, czy kierownikiem spółdzielni spożywców; a jednocześnie — i to jest najważniejsze — jest płomiennym agitatorem, działaczem proletariackim.

Oto co opowiada jeden z towarzyszy pracy młodego podówczas (1919 r.) kierownika zakupów w Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych: „Aby nie zabierać Bolesławowi Bierutowi zbyt wiele czasu potrzebnego raczej na pracę polityczną, przyjęto mu do pomocy zawodowego handlowca, który wziął się do dzieła z wielkim zapałem, harmidrem i krzykiem.

Wkrótce się jednak okazało, że pan ten, symulując gorliwość, załatwiał jakieś swoje prywatne kombinacje. Trzeba go było usunąć. A-

Foto Stawny

le jak? Chyba z trzaskiem, awanturą. Drażliwą tę i przykrą sprawę wziął na siebie Bolesław Bierut. Wszedł do pokoju gdzie pracował sprytny handlowiec, kontent z tego, że wykiwał głupich społeczników. W pokoiku za sklepem towarzysze, jakże młodego podówczas kierownika, przycichli słuchając jak odbędzie się rozprawa. Tymczasem: chwila ciszy. Chrząknięcie. Potem głos stłumiony tylko i cichszy, niż zazwyczaj, z pauzami, ciężko wypowiadający kilka słów:

— Pan zabierze swoje rzeczy. I wyniesie się pan. Pan wie dlaczego. Krótki rozkaz i cisza. Potem szmer — to tamten zbiera manatki. I wynosi się chyłkiem".

Już w tym okresie widać wyraźnie indywidualność: człowiek, który umie zdobyć wielki autorytet i dawać swoim zachowaniem przykład innym. Umie rozkazać, kiedy potrzeba. „Miał duży posłuch i autorytet, mimo iż nigdy nie stwarzał między sobą a pracownikami dystansu, nie awanturował się, nie pieklił. Dla nowicjuszy był bardzo wyrozumiały, zawsze widać było chęć pouczenia i pomocy, nie formalistycznego zwracania uwagi" — mówi jego towarzysz pracy z Lubelskiego Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych.

Już w tym okresie widać wyraźnie: to będzie prawdziwy przywódca. Nie wystarczy jednak odwołać się tutaj do samych wspomnień — obrazków z życia. Cechy charakteru Bolesława Bieruta wykształciły się tak a nie inaczej dlatego, że powstały na gruncie okrzepłego już marksistowskiego światopoglądu. Autorytet jego wypływał ze zdobytej w zażartym trudzie wiedzy z dzieł klasyków marksizmu, ze znajomości życia. Koledzy lat młodzieńczych widzieli w Bolku nade wszystko „solidność i pracowitość", towarzysze—dostrzegali już młodego mężczyznę o żelaznej woli, wielkich zdolnościach organizacyjnych, umiejętności trafiania do ludzi przede wszystkim drogą przekazywania im własnego mocnego, wewnętrznego przekonania i żywego serdecznego ciepła. Ale potrafi on też gdy trzeba mocno nienawidzić. Nienawidzi z całego serca rozbijaczy ruchu robotniczego. Dlatego też Bolesław Bierut zostaje delegowany do tworzenia Rad Robotniczych, aby walczyć z rozbijacką robotą PPS prawicy.

*

Młody działacz przenosi się z Lublina do Warszawy. Tu zamieszkuje z paroma towarzyszami na Nowym Zjeździe. „Jeden dość duży pokój od góry do dołu zastawiony książkami. Za stoły służą blaty z desek oparte na krzyżakach. Imbryk — jeden większy do wody, drugi mniejszy do herbaty, kubki stojące na taborecie Nędzne żelazne łóżka, nakryte cienkimi kocami". Opowiadają towarzysze, że w pokoju było zimno, ale Bolesław Bierut po powrocie do domu uczył się bezustannie. Za to latem lubił odbywać w niedzielę długie piesze wycieczki wzdłuż Wisły. Wtedy nasycał się powietrzem, przestrzenią, słońcem, wtedy dyskutował z nami, wtedy do tego zwartego, zagęszczonego, doprowadzonego do samej esencji pracy i walki życia wpadało parę kropli młodzieńczej wesołości. Dyskusje z nim były prawdziwą przyjemnością.

*

Po Warszawie — Zagłębie Śląsko-Dąbrowskie. Czeka tam dalsza praca partyjna. Tam zdarzało się — wspominają — że tow Bierut „bywał zmęczony, przepracowany, ale zawsze pogodny". A pogoda to nie tylko jedna z najbardziej uroczych cech ludzkiego charakteru ale również oznaka wewnętrznej siły i mocnej wiary w słuszność własnego życia.

Nadeszły czasy trudne.

Piłsudski, sprzymierzony z zachodnimi imperialistami, gotował zbrojną napaść na kraj młodej rewolucji, kraj co stał się nadzieją mas pracujących całego świata.. Inteligencja postępowa przeżywała gorzkie rozczarowania na widok Polski, która bynajmniej nie ziszczała jej marzeń i, w zniechęceniu, schodziła na pozycje oportunistyczne.

Jednym z pierwszych politycznych posunięć burżuazji polskiej, po odzyskaniu tzw. „drugiej niepodległości" — było zdelegalizowanie KPP. Nieugięci rewolucjoniści, wśród nich Bolesław Bierut, przeszli do konspiracji. I tym mocniejszą zaczęli prowadzić z polskim faszyzmem walkę — z pozycji nielegalnych.

Okres pracy nielegalnej, to bezustanna działalność agitacyjna i strajkowa, to wyślizgiwanie się z policyjnych pułapek, to życie człowieka, któremu nigdzie nie wolno zagrzać miejsca, to wreszcie na ojczystej ziemi więzienia, więzienia, więzienia. Krótki okres pobytu za granicą i znów to samo. W rzadkich okresach wolności i kierowanie MOPRem (Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom) organizacją, mającą na celu pomoc więźniom politycznym.

Tow. Wacek (taki był wówczas pseudonim Bolesława Bieruta) w okresach, kiedy znajdował się na wolności nie zapomniał o tych, którzy zostali za kratami. Zbierał starannie i rozszyfrowywał grypsy, nadsyłane przez więźniów, co było mozolną, żmudną pracą. Często publikował je w nielegalnej prasie partyjnej i odpowiadał na nie. Dawał wytyczne komunom więziennym jak walczyć dalej, w więzieniu, z sanacją. Na czym polegała ta walka? Jedną z form tej walki było np. przeciwstawienie się próbom wprowadzenia nowego regulaminu więziennego dla więźniów politycznych. Regulamin ten miał odebrać więźniom politycznym wszystkie prawa wywalczone głodówkami i innymi akcjami, miał zrównać politycznych ze zwykłymi kryminalistami — wspomina jeden z towarzyszy lat więziennych tow. Bieruta.

W całej tej akcji pomocy więźniom, kiedy trzeba było stykać się po cichu z ludźmi jeszcze nie zjednanymi, szukać „lokali" na zebrania, montować łączność — ważną rolę odegrały walory osobiste tow. Wacka. Po prostu urok, jaki ten człowiek roztaczał. Jeden z jego towarzyszy analizuje tajemnicę tego uroku: „Sympatię ludzi budził (tow. Wacek) przez to, że: 1) znał dokładnie życie robotników i od razu, po kilku słowach, każdy wiedział, że to swój człowiek, 2) w zadziwiający sposób umiał ocenić myśli, kłopoty drugiego człowieka, 3) miał bardzo proste i bezpośrednie podejście do ludzi, 4) w zachowaniu jego wyczuwało się miłość do człowieka, 5) Tow. Wacek, gdy kto był w potrzebie, dzielił się z nim ostatnim groszem".

To suche na pozór wyliczenie jakże wiele zawiera w sobie treści, jak dokładnie charakteryzuje najpiękniejszą cechę ludzkiego charakteru — dobroć. O dobroci znający go ludzie tym więcej mówią, im Bolesław Bierut jest dojrzalszy, jak gdyby ta cecha wraz z nim rosła i dojrzewała.

„Każdemu po krótkiej nawet rozmowie z tow. Wackiem zdawało się: znamy się od dawna! Tow. Wacek potrafił odkryć u człowieka wszystko, z czego on sam nie zdawał sobie jasno sprawy, co miał głęboko utajone I potrafił wyjaśnić. Umiał dopomóc radą, wskazówką, umiał przy tym od pierwszego spojrzenia ocenić człowieka".

Niezmiernie ostrożny w pracy konspiracyjnej dawał towarzyszom... „wielką szkołę pracy partyjnej". Skupiał ludzi — a ryzykował najwięcej sam. Kiedy „wpadł", brał winę na siebie, aby odciążyć towarzyszy.

W 1938 r., kiedy wyszedł z kilkuletniego więzienia, spotyka go jedna z towarzyszek. Uderza ją to, że „ma wygląd zmęczony. Jest jakby spuchnięty, ale jak zwykle pogodny". A przecie najbliższa przyszłość była czarna. Płonący wrzesień, płonąca Warszawa, bezbronny naród, wydany przez zdradziecki rząd na łup hitlerowskiej śmierci.

*

Pierwsze lata okupacji Bolesław Bierut spędza na terenie Związku Radzieckiego. Ale przychodzi czas, kiedy wraca z powrotem do okupowanej, umęczonej Warszawy, wraca ze spokojnym bohaterstwem tu, gdzie śmierć czai się na każdym rogu ulicy, wraca, aby wraz z polskim narodem walczyć z faszyzmem Wraca, aby wskazać właściwą drogę tym, którym faszyzm pod każdą postacią był wrogi i nienawistny, aby poprowadzić proletariat drogą, na której czekało zwycięstwo. Wraca, aby okłamywanym przez „rząd" londyński i trzymanym w politycznej niewiedzy ludziom rozjaśnić w głowach. Wraca, aby mobilizować do nieubłaganej, nie idącej na żadne kompromisy walki z okupantem.

Wytrawny konspirator umie strzec się oczu szpicli i prowokatorów. Nawiązuje kontakty z towarzyszami i — oto jak wspomina jeden z nich, o pierwszym spotkaniu z Bolesławem Bierutem (oczywiście nie znał jego nazwiska) na Grochowie: „Odbyliśmy pierwszą rozmowę w małym, drewnianym domku wdowy po towarzyszu tramwajarzu, jednym z owych sławnych „pięćdziesięciu" zamordowanych przez Gestapo. Dzielna kobieta nie dawała się zastraszyć ani złamać nieszczęściu i udzielała dalej swojego mieszkania na tajne spotkania partyjne". W jej skromnym mieszkanku — przede wszystkim w takich skromnych domach na robotniczych przedmieściach — nawiązywał tow. Tomasz (takie było wówczas jego im.ę) niezbędne kontakty, z takich skromnych domów udzielał dyrektyw dla Partii, organizował sabotaże i partyzantkę.

Budził wiarę w niezwyciężoną siłę Armii Czerwonej, podsycał entuzjazm walki narodowej, wyjaśniał, że jedynie w bratnim sojuszu ze Związkiem Radzieckim czeka Polskę po męczeństwie — zmartwychwstanie i świetność. Siła jego argumentacji była nieodparta.

Umiał przekonywać. To sprawiało, że wokół przyszłego Prezydenta rósł zastęp ludzi, którzy zdecydowani byli wraz z Nim budować Polskę Ludową.

Na pierwszym posiedzeniu KRN Bolesław Bierut powiedział, że oto stanęły pierwsze zręby władzy ludowej. Powiedział to spokojnie, bo entuzjazm Jego zawsze przejawiał się powściągliwie.

Wtedy jednak — opowiadają uczestnicy owego historycznego zebrania — widać było wyraźnie przez ten spokój — jego ogromne szczęście.

Pod koniec okupacji śmierć stanęła blisko Bolesława Bieruta: zabrała najbliższych Jego sercu. Zginęła bohatersko Małgorzata Fornalska. Zginął Finder, Nowotko i Janek Krasicki. To, że niebezpieczeństwo było wspólne i wszystkim groziło jednakowo w niczym nie zmniejszało siły ciosów. Szczególnie, iż im chwila wyzwolenia była bliższa, tym ciężej było myśleć o śmierci tych, co dosłyszeli kroki nadchodzącej wolności, lecz nie zdołali jej ujrzeć.

CZERWONA POMOC

Organ Komitetu Centralnego Czerwonej Pomocy (MOPR) w Polsce

Nr. 8 Warszawa, grudzień 1933 r.

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

DO WALK MASOWYCH, SPOŁECZNYM FRONTEM O UWOLNIENIE WSZYSTKICH REWOLUCYJNYCH WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

Okładka oryginału KC MOPR-u „Czerwona Pomoc" z r. 1933. W tym okresie tow. Bierut był sekretarzem KC MOPR-u, autorem szeregu artykułów i odezw.

*

...I oto znów Bolesław Bierut jest w rodzinnym Lublinie, w wolnym od okupanta i zbudzonym do nowego, oszałamiająco nowego życia, w Lublinie, gdzie otwiera się nowa karta historii Polski, karta, którą zapiszą dłonie robotników i chłopów.

Któż inny ma stanąć na czele rozpoczynającego nowe, wspaniałe, ale i trudne życie państwa, jak nie ten wzorowy komunista, którego myśl, wola i serce wytrzymały wszystkie próby trudnego żywota.

Prezydent Bolesław Bierut jest pierwszym obywatelem naszego państwa, inicjatorem Planu Sześcioletniego, czujnym gospodarzem polskiej ziemi i duszą Partii Czy się zmienił? — I tak, i nie — Nadal umie pracować nad podziw wiele, nadal jest skromny, nie ma w nim śladu pychy. Potrafi w wolnej chwili zatelefonować do któregoś z przyjaciół młodości, zaprosić go i gawędzić po dawnemu, niewymuszenie i serdecznie. A jednocześnie jest w Nim godność, nakazująca powściągliwość i szacunek.

I jeszcze jedno: Wszyscy którzy znali czy znają Prezydenta, mówią o nim nie tylko z uznaniem, szacunkiem, podziwem, ale i miłością. Miłość ludzi to chyba największa nagroda dla komunisty.

Irena Krzywicka

ADAM TARN

WIELKI WZÓR

Czytając życiorysy i studiując dzieła genialnych wodzów ludzkości, Lenina i Stalina, z najgłębszym wzruszeniem myślimy o ofiarności ich życia. Myślimy o tych wielkich ludziach jak o ludziach nam bliskich. Wiemy, czujemy, że od wczesnej młodości byli natchnieni miłością do prostego człowieka, że stąd płynęła ich pasja rewolucyjna. Tą miłością czujemy się ogarnięci.

Bolesław Bierut rozpoczął życie rewolucjonisty, zapałał ogniem serdecznym dla sprawy robotniczej od chwili niemal, gdy zaczął czytać i pisać. Przez pół wieku walczył, agitował, organizował. Był to „jeden z tych wyjątkowych przywódców robotniczych, którzy wyrośli z szarych mas proletariackich, zdobywając przez swój szczególny, budujący optymizm i wiarę, ujmujący sposób bycia, powszechną sympatię i autorytet". Tymi słowy sam Prezydent Bierut wspomina Marcelego Nowotkę, ale tak właśnie wspominają towarzysza Bieruta ci wszyscy, którzy walczyli wespół z nim.

Dzisiaj świętujemy 60-lecie jego urodzin. Widząc jego ujmujący uśmiech, słuchając młodzieńczego głosu towarzysza Bieruta, jego słów budujących, tchnących siłą i wiarą, nie zapominamy ani na chwilę, że to ten sam tow. „Bielak", tow. „Wacek", tow. „Tomasz", którego dzieciństwo upłynęło w wilgotnej piwnicy, młodość w najcięższych warunkach bytu i walki podziemnej, wiek dojrzały w więzieniach i w walce. Mamy przed oczami całe jego życie — ofiarne, ciężkie, piękne. Rozumiemy, skąd czerpał siły. Wiemy, czujemy, że tylko wielka, gorąca miłość do ludu, do prostego człowieka, mogła uczynić z Bolesława Bieruta wodza i nauczyciela naszej ludowej Ojczyzny.

Tysiące z nas podejmuje zobowiązania na jego cześć, zobowiązania wyrażające się w cyfrach i datach. Ale jest zobowiązanie, które trudno wyrazić. Mamy je w sercu, nie na ustach. Nie można go zmierzyć ani obliczyć. Nikt z nas nie wie i nie może przewidzieć, w jakim czasie potrafi wcielić je w czyn. Chcę powiedzieć, że myśląc o pięknym, ofiarnym życiu Bolesława Bieruta, tysiące Polaków postanawia, że wielki ten wzór będzie im przyświecał w walce o pokój i socjalizm.

Adam Tarn

WANDA LEOPOLD i WILHELM MACH

WARSZAWSKIM ŚLADEM

OPIEKUN NASZYCH MARZEŃ

Warszawski temat — powiedział nam jeden z architektów — jest wielką osobistą pasją Prezydenta. Warszawski temat—to także pasja każdego z nas, niezależnie od jego pracy zawodowej. Patrzymy, śledzimy, zachwycamy się, niepokoimy, niecierpliwimy i odmieniamy. Planujemy sami, idąc ulicą. Zżymamy się na nieudałe realizacje, gniewa nas, gdy nie umiemy przewidzieć konkretnego kształtu całości; w ukończonych już częściach szukamy potwierdzenia naszych pragnień.

Tak było przez te wszystkie lata, jest i dziś, i sprawy tematu warszawskiego nie tylko się nie zmniejszają, ale rosną wraz z miastem. Nie konieczne więc było zapewnienie architekta. Bo każdy mieszkaniec miasta, jeśli jest od lat ogarnięty warszawskim tematem, wie śledząc przekształcanie się miasta, wie z przemówień i referatów, z przypadkowych rozmów na budowach, wie od pierwszych chwil powstawania nowej Warszawy, że temat warszawski — to bardzo bliski, bardzo serdeczny temat Prezydenta.

Nic też chyba dziwnego, że wśród własnych wątpliwości, planów i niepokojów dotyczących miasta pojawia się często chęć: dowiedzieć się, co Prezydent na ten temat myśli, jakie jest jego zdanie, które projekty aprobuje, co mu się nie podoba, do jakich dalszych planów dąży, jaką chciałby widzieć przyszłą stolicę. Z tej zrozumiałej dla każdego warszawiaka ciekawości powstał pomysł rozmów z ludźmi, którzy w swej pracy zawodowej przy budowie i planowaniu miasta spotykali się z Prezydentem, słuchali jego uwag, dyskutowali i radzili się.

Ugruntowaliśmy też nurtujące dawno uczucie, że nasze niejasne, nieokreślone często tęsknoty, że pragnienia mas warszawiaków, aby miasto było naszym własnym miastem, by wyrażało swoim kształtem różnorodne a powszechne, ludzkie treści — nabierają jasności, precyzji, konkretności w sądach, dezycjach i wskazówkach Prezydenta. Że on jest tym najczujniejszym opiekunem naszych marzeń, dzięki któremu będziemy o Warszawie mówić zawsze: nasze miasto — i mówić to z dumą.

HISTORYCZNE FAKTY

Przypomnijmy najpierw trochę dat i faktów.

Na pierwszej, wstępnej ich karcie zapisano w lutym 1945 decyzję utrzymania Warszawy jako stolicy kraju i odbudowę miasta. W kilka lat później mówił o tym momencie Prezydent, iż „wola i decyzja wskrzeszenia życia stolicy zapadła w chwili, gdy na opuszczone ruiny miasta wrócili ludzie, dla których życie bez Warszawy było nie do pomyślenia". Ale wiadomo, że tym, który tę wolę przez cały czas posiadał, który się przed decyzją ani na chwilę nie zawahał — był Bolesław Bierut.

Pierwsza niepodległa wiosna zapisała wiele godzin dni i nocy, kiedy się pochylał nad nieśmiałymi jeszcze zarysami przyszłej Warszawy, kreślonymi na Pradze przez grupę architektów. Wtedy już także wśród powodzi fantastycznych często i sprzecznych pomysłów formułował pierwsze wskazówki: pamiętać, że Warszawa jako stolica będzie centrum życia kraju, a więc musi być miastem dużym, zdolnym pomieścić milion, a może i dwa mieszkańców. Nie można jej sztucznie ograniczać do 600 czy 800 tysięcy. Planować śmiało, szeroko, odważnie.

Nie wszystkim starczyło odwagi i wyobraźni. Myśl o odbudowie u niejednego wytrawiała się wśród wahań i zwątpień. Wśród tęsknot za szybką, byle jaką wygodą. Najłatwiejsza decyzja nie jest decyzją najgodniejszą. Małoduszne pomysły zgasły same pod wielkim tchnieniem życia.

Ale drugą ostatecznością byłby projekt miasta giganta bez uwzględnienia doraźnych potrzeb mieszkańców, bez szczegółowego rozłożenia pracy nad odbudową na etapy — w mieście, w którym podówczas nie było wody, światła, gazu, komunikacji. Tak ustalono sprawę długofalowości planu, a jednocześnie — patrząc z Pragi na lewy brzeg Wisły — zdecydowano, iż pierwszą wielką a konieczną dla całości funkcjonowania miasta inwestycją musi być odbudowa mostu Poniatowskiego.

W drugą rocznicę wyzwolenia most zostaje otwarty dla mieszkańców miasta.

Prezydent wierzył bowiem mocno, od pierwszych dni, w prawo życia, rozwoju, rozrostu. Budowanie miasta widział realnie, stadia pracy odmierzał i stopniował podług najpilniejszych potrzeb, lecz zawsze z myślą wycelowaną w dzień jutrzejszy. I nigdy wyczucie aktualnej potrzeby nie podcinało skrzydeł śmiałemu, twórczemu marzeniu.

W tym samym jeszcze roku dojrzewa inna wielka sprawa: projekt Trasy W—Z. Zagadnienie to węzłowe, gdyż u dna ówczesnych sporów leży problem: odbudowa czy przebudowa Warszawy. Rozstrzygnął go Prezydent argumentem, który sformułował później publicznie na — także historycznej — konferencji warszawskiej PZPR, na której w referacie nakreślił zręby 6-letniego Planu Odbudowy i Przebudowy Stolicy: „Nowa Warszawa nie może być poprawionym jedynie powtórzeniem przedwojennego zbiorowiska prywatnych interesów kapitalistycznego społeczeństwa... Nowa Warszawa ma stać się stolicą państwa socjalistycznego..."

Decyzja Prezydenta zatwierdzająca projekt Trasy — nowatorski, przekształcający całą dzielnicę miasta, wbrew projektowi odbudowy wiekowego wiaduktu Pancera, była jednocześnie decyzją budowy nowej Warszawy.

Nowa Warszawa poczynała też wówczas powstawać i w inny sposób: w wieńcu osiedli mieszkaniowych położonych poza centrum miasta. I znów, gdzieś podczas wędrówek po kończącej się budowie Trasy, zrodził się projekt rozstrzygający dalsze sporne problemy. W największym uproszczeniu sprawa wyglądała mniej więcej tak: na czym polega istota miejskiej — w odróżnieniu od innych — zabudowy? Co decyduje, że pewnemu układowi nadajemy nazwę miasta? Te szczególne, ale też konieczne cechy sprowadzają się do tego, iż miasto tworzą wyraźnie wytyczone ulice, a ulice — domy. Miasto nie jest zbieraniną luźno nanizanych osiedli. A taka antyurbanistyczna koncepcja mogła grozić w pewnym momencie Warszawie.

Osiedla robotnicze? — dobrze, lecz nie podług reformistycznej tradycji odwróconych od miasta, peryferyjnych dzielnic. Przeciwnie: osiedla te trzeba związać ze śródmieściem, skierować ku centrum, wkomponować w jeden sprawnie działający organizm. Więc gdy Prezydent doglądał budowy Muranowa, Koła, Mokotowa, badał od razu przyszłe możliwości mieszkańców — gdzie będą sklepy? jaki dojazd i miejsca postoju dla wozów aprowizacyjnych? jaka komunikacja z zakładami pracy, z dworcem kolejowym? Tych szczegółowych pytań było wiele.

Drugie niebezpieczeństwo czyhało w projektach zabudowy samego śródmieścia: przewidywano utworzenie zeń dzielnicy ministerstw, urzędów i wszelkich instytucji publicznych; w tej części miasta domów mieszkalnych miało nie być. A więc — rodzaj kapitalistycznej „city", otoczonej dzielnicami mieszkaniowymi.

Sąd Prezydenta znów ustalił właściwy kierunek prac koncepcyjnych A stwierdzenia te, na pozór tylko proste, brzmiały: 1) Warszawa musi być miastem, w istotnym tego słowa znaczeniu; 2) Warszawa musi być miastem socjalistycznym; 3) Warszawa musi być miastem bliskim sercu wszystkich jego mieszkańców. Ten ostatni punkt wiązał się już z konkretnym miejscem: „Póki nie odbudujemy Marszałkowskiej — powiedział Prezydent w czasie jednej z przechadzek po mieście — przeciętny warszawiak nigdy nie uzna, że Warszawa jest naprawdę odbudowana."

Z tych założeń wyłoniła się pierwsza koncepcja dzisiejszej MDM — nowy wielki krok w dziejach budowy miasta.

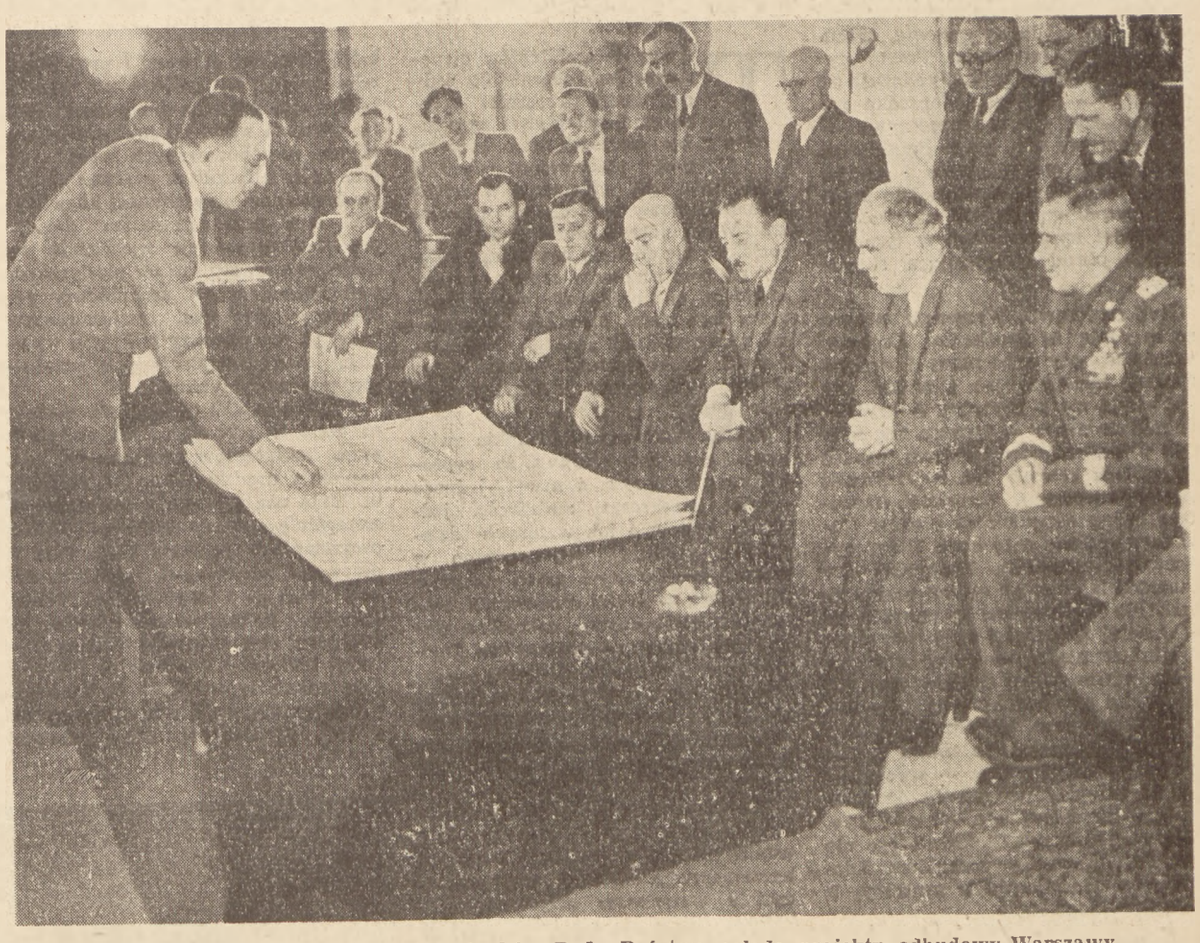

Prezydent Bierut w otoczeniu członków Rady Państwa ogląda projekty odbudowy Warszawy.

Takie są historyczne już dziś fakty. Przyszłe rodzą się nie tylko w pracowniach architektów i na budowach. Słynne już „czwartki" w Belwederze stały się regulującym sprawdzianem i podnietą w pracy. Stała, czujna i wnikliwa troska i uwaga Prezydenta towarzyszy wszystkim projektom. Które z dyskutowanych tam rozwiązań my, mieszkańcy Warszawy, ujrzymy w żywym, skończonym kształcie — które zostaną jako trwały dokument historii miasta — pokażą nam przyszłe lata. Ale belwederskie „czwartki" już są faktem historycznym. Faktem, który każe nam jeszcze głębiej ufać, że wielka Warszawa przyszłości, symbol socjalistycznego narodu, będzie dziełem mądrości i piękna.

LOGIKA I ROMANTYZM

Niejednego poranka niosła się przez budowy wieść: był w nocy, oglądał robotę, rozmawiał z ludźmi. Sam przyszedł, pieszo. Odświętnym powitaniom i oprowadzaniom zapobiegł, nie pozwolił swego przybycia nikomu meldować, zwyczajnego rytmu spraw zamącać. I dopiero o brzasku dowiadywali się ludzie, kto ich odwiedził. Byli dumni. Duma i radość szły w siłę. Lepiej się pracowało.

Niejednego dnia przyjeżdżał na tę czy inną budowę. Nie zadowolił się referatem fachowców, nie wystarczyło mu pobieżne obejrzenie budowy. Badał obiekt po obiekcie dokładnie, szczegółowo. Uważne oczy porównywały plan z realizacją. Zapytywał o zdanie budowniczych. Nie śpieszył się z odjazdem. Wmieszany w tłum uliczny mierzył krokami odległości, oglądał elewacje z rozmaitych punktów, sprawdzał w konkretnej sytuacji, w konkretnym otoczeniu — celowość i wygląd budowy. Wchodził do wnętrz, ciekawy ich urządzenia aż do szczegółów najdrobniejszych. Wnikał w przeżycia i w potrzeby przyszłych mieszkańców — i o wszystkim pamiętał, o przestrzeni dla oddechu i o słońcu dla zdrowia, o potocznych a nieodzownych sprawach gospodarskich, o dziecięcej zabawie, o widoku za oknem. Na ulicach wczuwał się w ruchy i wzrok przechodnia, dbały o jego wygodę i jego prawo do piękna. Tak badał i przepatrywał dom po domu, budowę po budowie, ulicę po ulicy. Tak niedawno przemierzył cierpliwym, niespiesznym krokiem przestrzeń od Placu Unii po Mariensztat.

Urbaniści i architekci wiele mówią o wspólnych z nim naradach, o niezliczonych w ciągu siedmiu lat dyskusjach nad planami nowej Warszawy, nad projektami budów. Wszyscy niezmiennie podkreślają jego szczególne zainteresowanie dla sprawy, jego twórczy współudział w pracy, jego wytrwałą ofiarność. Nie żałuje czasu. Dyskusja czy konferencja, którą uczestnicy obliczali na dwie godziny, trwała sześć-osiem godzin. Każde zagadnienie musiało być prześwietlone do gruntu, skonkretyzowane do ostatniej kreski w planie. W r. 1945 polecił przedkładać sobie sprawozdania miesięczne. Przedkładano je — nie przypuszczając nawet przez czas jakiś, jak uważnie je czytał, jak skrupulatnie analizował, jak dokładnie zapamiętywał. Z tą samą nieznużoną stałością rozpatrywał projekty coraz śmielszych, coraz większych realizacji. Gdy ruszyła budowa MDM — pewnego dnia zaszedł do pracowni architektów i osiem godzin stał przy rajzbrecie omawiając z nimi dom w dom. Podobnie było wcześniej — przy osiedlach robotniczych, przy Trasie W — Z. Tak jest dzisiaj i tak będzie jutro — wiedzą budowniczowie Warszawy, murarze, inżynierowie i architekci, że nie było takiego etapu pracy, którego by nie przemierzyli z nim od pierwszego do ostatniego kroku.

I wszyscy tę naczelną w jego pracy dla Warszawy cechę jednako nazywają. Miłość, pasja, niezłomna wola. Ta postawa, skupiająca w jednej kierowniczej decyzji uczucia i pragnienia narodu, zadecydowała o losie Warszawy: że jest, że rośnie, że jest stolicą.

Jesienią 47 r. — opowiada jeden z inżynierów — zwiedzał Prezydent Dom Społeczny osiedla Rakowiec. — Czas skończyć z odbudową — powiedział wtedy — zabierajmy się do budowy. Ów Dom Społeczny w robotniczym osiedlu zdawał się symbolizować początek nowego twórczego etapu. Zrozumieli Prezydenta robotnicy i urbaniści. Pierwsze dokonania powołały Warszawę do życia. Teraz przyszedł czas, by żywe już miasto powołać do wielkości. I znowu wszyscy, którzy o tym mówią, jednoznacznie nazywają cechy Budowniczego-Prezydenta. Realizm i twórczy romantyzm. Niektórzy określają to — szukając słowa — jeszcze inaczej: celowość i zarazem poetyckość. Jest tak, że od pierwszych dyskusyj na temat Warszawy stanowisko Prezydenta kojarzy nieomylnie wzgląd na praktyczne potrzeby ludzkie z dbałością o urodę miasta, z wyczuciem jego rosnącej wielkości. Coraz szersze inwestycje nie kłócą się z już dokonanymi pracami — bo przewidział on przyszłe, gdy budował dzisiejsze. Zasadę celowości godzi z zasadą piękna. Teorię nieustannie sprawdza praktyką, z praktyki wysnuwa wnioski, korektury, uogólnienia, zadziwiające urbanistów trafnością rzeczowej, dialektycznej oceny, a architektów — tym, co nazywają oni wyczuciem, intuicją, instynktem piękna, harmonii. Walczy z bezdusznością kosmopolityzmu, z obojętną, bezuczuciową drętwotą domów-pudeł i ścian — płaskich ekranów. Umie przeczuć, jak zagra na ścianie słońce i cień o rozmaitej porze dnia, jaką ozdobę stworzy zasadzone obok drzewo. Umie przewidzieć wzajemne dopełnianie się elementów architektonicznych. Dba o kompozycję budowli wśród otoczenia, o dobrą perspektywę. Krytyka jego, jego uwagi i propozycje uderzają odkrywczością i prostotą zarazem. Architektom objawia niekiedy rozwiązania, które później wydaja się jedynymi — bo przecież aż tak bardzo podpowiada je zdrowy rozsądek, logika, zmysł syntezy. I oto specjaliści, raz jeszcze analizując swoje wyjściowe racje, przyznają uczciwie, bez „grzeczności", z pełnym przekonaniem, że ich uczona fachowość przesłoniła im jakiś ważny, istotny moment. Tak czuwa nad ich pracą mądrość dojrzała, przewidująca.

Z LUDŹMI — DLA LUDZI

Społeczne kryterium w planowaniu i w wykonaniu określa zdecydowanie całość prac nad odbudową i przebudową Warszawy. Ustawiczna myśl o człowieku, o obywatelu nowej, socjalistycznej stolicy, wyznacza kierunek wszystkich przedsięwzięć. Podwójna formuła użyteczności i piękna znalazła odbicie również w trudnych sprawach odbudowy dzielnic i ulic zabytkowych. Umiar w stosowaniu „stylu historycznego", „historycznej tradycji", podyktował architektoniczne rozwiązanie osi Belweder—Zamek i jego nowoczesnego, na dużą skalę mierzonego zaplecza. Osiedle mieszkaniowe Mariensztat zespala harmonijnie pamięć o przeszłości z zadaniami dnia dzisiejszego. Zasady stylu modyfikuje życie, które narasta, które się zmienia. Życie rozsadza skostniałe konwencje napływem wciąż nowych mieszkańców. Prezydent o tym pamięta — i jego czujność na żywe prawa ludzkie kształtuje konkretne decyzje. Po tej linii idzie odbudowa Starego Miasta. Przede wszystkim zaś — podług tych ludzkich, socjalistycznych praw dźwiga się w górę MDM — powiedzmy to słowami: Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa. Dzielnica mieszkaniowa — dla ludzi pracy. I ta nowość treści stanowi przede wszystkim o nowości formy.

I ci, których Prezydent odwiedził nocą czy za dnia, i ci, z którymi obraduje w ich pracowniach, w terenie, w Radzie Państwa czy w Belwederze, przejmują na siebie jego miłość dla miasta, jego entuzjazm pracy i upór woli. Wszyscy, którzy się z nim spotkali i spotykają, mówią o sile jego oddziaływania. Jest to wpływ

JÓZEF KUŚMIEREK

PŁASZCZ

Kupiłem ten płaszcz wiosną 44 roku, w marcu. Ciepły marzec wykluczał noszenie futra, akcje zaś były teraz takie, że trzeba było chodzić z automatem. Właśnie niedawno przybyło nam nowe „empi", typ 41 rok — prążkowane. Moja skórzana brązowa kurtka nie nadawała się do noszenia automatu, była za krótka. Musiałem więc kupić długi płaszcz. Z „Agawą" czy z „Karolem" — dziś już nie pamiętam dokładnie — w każdym bądź razie z kimś, kto znał się na „sprawach", poszedłem na Kercelak.

Na ręku jednego z handlarzy, jakich setki kręciło się na ówczesnym placu Kercelego, wisiał niedbale płaszcz, który nam szczególnie odpowiadał. Długi, z brezentowego szarego płótna, sztywny i obszerny.

— Ten będzie dobry — powiedział mi ów towarzyszący kolega.

Nie pamiętam już przemyślnych handlarskich zapewnień z mojej strony — że bardziej zniszczonego łacha nie ma na pewno na placu Kercelego, i — ze strony handlarza — że takiego drugiego nie znajdę w całej Warszawie. Po kilku odchodzeniach, powrotach, kupiłem.

Płaszcz nadawał się wspaniale, nawet nosząc pod nim „empi" mogłem uchodzić za najzgrabniejszego kawalera na Marymoncie. Płaszcz był sztywny, może troszeczkę za długi, ale trudno — jak na mój wzrost „empi" było też trochę za duże. Żaden płaszcz nie krył tak dokładnie i skutecznie automatu, jak ten. Wszystkie inne — płócienne czy eleganckie gabardinowe „wysiadały" wobec mojego brezentowego, który z wierzchu nie wydawał się nawet tak ciężki jak był w istocie. Płaszcz był w wielu akcjach. Wszyscy go pożyczali, oddając chwalili. Aż dopiero „Ola" zwróciła uwagę, że płaszcz jest już za bardzo znany i nie powinienem go nosić bez potrzeby.

Zbliżał się dzień 22 czerwca. Wszystkie dzielnice przygotowywały się do akcji. Nam na Marymoncie przypadło „obmalowanie" Żoliborza hasłami. „Cienki", technik warszawski, przygotował cztery kilo czerwonej farby i dobre włosiane pędzle. Instrukcje otrzymałem od „Ryszarda". Akcja ta, poza malowaniem, miała także inny cel — chodziło o przećwiczenie z chłopakami większej, samodzielnej nocnej roboty. Malowanie nadawało się do tego wspaniale. Akcja spokojna, bez nerwów, można tam było świetnie nauczyć się panowania nad sobą. Ryszard chodził ze mną ulicami: Długą, Kilińskiego, Podwalem, Kapitulną i Miodową, które tworzą krąg i tłumaczył. Przed akcją miałem przeprowadzić szkolenie z automatem. Obeszliśmy cztatni krąg ulicy, Ryszard jeszcze dodał: „Weź marymoncki automat i ten swój płaszcz. Swoją drogą twój płaszcz jest wspaniały. Dowódcą niech będzie Janek „Bida", chłopak był już na kilku akcjach, niech się teraz nauczy dowodzić większą grupą, ty dobierz sobie jakiego chłopaka i stój na obstawie".

Z Jankiem, którego nazwisko Bida uważaliśmy za przezwisko, spotkałem się na pętli „czwórki". Przyprowadził trzech chłopaków i ja trzech. Jednego z nich, Pawła „Rulę", już znałem, tamtych dwóch widziałem po raz pierwszy. Przedstawiliśmy się pseudonimami i gdy jeden z chłopaków podał „Janek"— kazałem mu zmienić ten pseudonim. Dwóch Janków nie mogło być na jednej dzielnicy. Nie wiedziałem, że są to ich własne imiona.

Ten drugi Janek zaprowadził nas do przedszkola, na Suzina, obok kotłowni. W sali pełnej klocków, lalek, zabawek dziecięcych prowadziłem szkolenie.

Tłumaczyłem sposób ładowania magazynka, zabezpieczanie i odbezpieczanie, usuwanie różnych rodzajów zacięć, których niemieckie „empi" miało sporo. Siedmiu chłopaków składało, rozbierało i znów składało broń, wymieniało magazynki, usuwało wyimaginowane zacięcia. Potem przeszliśmy do „ostrego" chodzenia. Sala przedszkola była ulicą, poustawiane na półkach lalki — przechodniami. Każdy z chłopców po kolei zakładał na szyję „empi", a później mój płaszcz i udawał przechodnia. Nagłe „Hände hoch" — bo wszystko trzeba przewidzieć — i teraz należy się lekko schylić, by automat zwisał luźno pod płaszczem, ręce w dół, prawa dłoń na kolbę, lewa na magazynek — i umowne ciach, ciach, ciach! Umowna sztrajfa pada zabita wśród klocków, skakanek i zabawek przedszkola. Trzeba powtórzyć jeszcze raz, bo ręce opadają za wolno, za długo szukają automatu w połach płaszcza, to wszystko nie może trwać dłużej niż pięć sekund.

Po północy — 22 czerwca, trzecia rocznica napadu Hitlera na Związek Radziecki — wyszliśmy na miasto. Janek Bida komenderował, ja z Jankiem drugim stałem na obstawie. Oprócz „empi" miałem „visa" z rozdętą lufą, Janek „mauzera", specjalnie na ten dzień podrzuconego przez Witka „Tramwajarza" z Woli. Obaj mieliśmy po dwa karbowane polskie „obronniaki".

Zaczęliśmy od Marymontu, później przez Mickiewicza do Placu Wilsona. Malowaliśmy hasła, fragmenty komunikatów, tak ważnych i potrzebnych tego lata 1944 roku. Było spokojnie i cicho, gadaliśmy sobie z Jankiem o przeczytanych książkach i o tym, co każdy z nas będzie robił po wojnie.

Nie wiadomo, czy nas ktoś zauważył, czy też przypadkowo przejeżdżała tędy buda feldżandarmerii. Zobaczyliśmy się jednocześnie — my ich, oni nas. Automat, tak sprawnie działający na szkoleniu, zaciął się po trzeciej salwie: jedno z wielu możliwych w tym przeklętym gracie zacięć. „Vis" z rozdętą lufą wywalił trzy magazynki bez zacięcia, lecz nie miałem już więcej amunicji. Leżeliśmy na ulicy jak zabici, Janek też już nie strzelał, reszta chłopaków zdążyła dobiec do Placu Inwalidów. Żandarmi przerwali ogień i spokojnie podchodzili, by nas zabrać, zabitych lub rannych. Mieliśmy jeszcze obronniaki. Najpierw rzucił on, potem ja, potem znów on — a później... Później krętymi uliczkami Żoliborza, za Żoliborzem przez piaszczyste wydmy na Powązki, tam pod jakimś nagrobkiem schowaliśmy broń i pojedynczo rozeszliśmy się do domów. Ja z Jankiem wracałem na Żoliborz.

Dopiero w drodze powrotnej spostrzegliśmy, że mamy popostrzelane ubrania. Ja miałem przestrzelony but, spodnie, płaszcz tylko w jednym miejscu; gorzej było z Jankiem, bo seria automatu odstrzeliła, jak uciął, cały róg jego gabardinowego płaszcza. Janek martwił się: — Gość, który mi pożyczał ten płaszcz, dzisiaj wyjeżdża, a nie ma innego.

— To daj mu na razie mój, tylko mi go potem oddaj, bo będzie potrzebny.

Umówiliśmy się za tydzień. Upłynęło kilka tygodni. Janek Bida zginął w Markach, Janek Drugi poszedł do partyzantki. Ja w czasie powstania byłem na Pradze — przeszedłem front i w Garwolinie spotkałem pierwsze plakaty PKWN. Potem był front, wojskowy płaszcz i niezacinające się pepesze — a potem wróciłem do cywila.

Pracowałem jako dziennikarz w jednej z wojewódzkich gazet. Zrywałem się po nocy, żeby zdążyć na pociąg i nad ranem wracałem z terenu. Normalne powojenne życie i normalne kłopoty. Żona, dzieci, ubranie, zelówki, buty, pensja pierwszego i znów pierwszego.

Zbliżała się wiosna i — jak zwykle wiosną — gospodarskie obrachunki: żonie potrzebne by były pantofle i jakaś letnia sukienka, dla dzieci też coś, a dla mnie spodnie i płaszcz. Janka, moja żona, która znała mnie jeszcze z okresu okupacji, powiedziała:

— Wiesz co, Józef, do tego jeżdżenia świetnie nadawałby się ten twój sztywny płaszcz, no wiesz, który... ten, co go pożyczyłeś.

Prawdę powiedziawszy, zdążyłem o tym płaszczu zapomnieć. A jeśli nawet nie zapomnieć, to w każdym razie nie liczyć go już więcej w inwentarzu. Tym razem przypadek szedł mojej żonie na rękę. — Oto niespodziewanie spotykam na ulicy Janka, też już w cywilnym stroju. Rozmawiamy, wspominamy stare dzieje, i w pewnej chwili Janek pyta:

— A ten płaszcz, wiesz, który — dostałeś?

Machnąłem ręką.

— Nie, nie — zapobiegł kolega mojej zbyt łatwej rezygnacji — to tylko moja wina. Na śmierć zapomniałem podać ojcu twój adres. To się zrobi.

Tak mu się nagle śpieszyło, że ledwo się pożegnał.

Po kilku dniach pod dom zajechało auto i dyrektor Okręgowej Dyrekcji Poczt i Telegrafów osobiście wręczył mi list.

Nadawca: Bolesław Bierut, Belweder. Zdumiałem się. Sprawdziłem adres — jednak do mnie. Podziękowałem okręgowemu dyrektorowi za doręczenie listu. W liście...

„Bardzo przepraszam, nie wiedziałem, gdzie was szukać. Dlaczego nie zgłosiliście się wcześniej. Przesyłam wam przekaz, który — o ile nie wyrówna wartości tamtego płaszcza..."

Kupiłem sobie drugi płaszcz — elegancki, gabardinowy, nie taki sztywny.

Powinienem odpisać i podziękować. Wybaczcie.

Józef Kuśmierek

BOLESŁAW BIERUT

O PARTII

Str. 320 płót. zł 9.—

—

BOLESŁAW BIERUT
ŻYCIE
i DZIAŁALNOŚĆ

Oprac. Józef Kowalczyk

Str. 150, ilustr. 10 płót. zł 5.—

KSIĄŻKA i WIEDZA

twórczy. Dodaje bodźca, mobilizuje ukryte i jeszcze nie wyzyskane rezerwy psychiczne.

Prezydent umie i chce z ludźmi mówić. Każdej wypowiedzi wysłuchuje z uwagą, z życzliwym skupieniem. Pragnie zgłębić do gruntu cudzy sąd o danej sprawie, zrozumieć cudze stanowisko. Potem wypowiada swoje zdanie. Wywiązuje się dyskusja — szczera, nierzadko namiętna czy nawet zapalczywa — gość sam nie wie, kiedy opuściło go początkowe onieśmielenie i skrępowanie. Oto rozmawiają ludzie zrównani wspólnym celem, ukochaniem tej samej sprawy. Jest w tym porządku obrad zadziwiająca skromność.

Budowniczowie Warszawy wysoce sobie cenią te spotkania. Zarówno wtenczas, gdy ich plany i raporty zyskują aprobatę, jak i wtedy, gdy spotykają się z krytyką. A krytyka zdarza się nieraz — szczera, bez osłonek i niedomówień, czasem bardzo ostra, lecz zawsze jak najrzetelniej udokumentowana, pomocna, ukazująca drogę naprawienia błędów. Taka krytyka nie zniechęca. Uczy, wychowuje, wzmacnia. Prezydent dba szczególnie o to, by spraw rozpoczętych nie zaniedbywać w połowie, by w każdej fazie realizacji odpowiedzialni za nią wykonawcy wiedzieli o wszystkim, co jej dotyczy. Sam zaś w każdej sprawie budowy uczestniczy od początku, w sposób jak najbardziej konkretny, to znaczy z planem w ręku, a potem — sprawdzając na miejscu wykonanie. Podkreślają to wszyscy: nie urzęduje. Pracuje. Miano Budowniczego nie jest odświętnym przydomkiem. Zdobył je u warszawskich murarzy, u warszawskiego ludu.

*

Piszemy o Warszawie, piszemy o roli Prezydenta w realizacji planu jej budowy. Lecz obraz byłby mimo wszystko ograniczony, gdyby poprzestać na warszawskiej ramie. Ograniczony w sensie rzeczowym, i w jeszcze istotniejszym sensie, wyrażającym nadrzędną ideę socjalistycznego budownictwa.

Pamiętamy, mówiąc o Warszawie, że spojrzenie jej Budowniczego ogarnia cały kraj, wszystkie jego potrzeby. Stolica jest troską sercu najbliższą. Lecz równolegle z pracami nad jej wzrostem współdziała Prezydent we wznoszeniu innych wielkich budów naszego czasu. Dba, troszczy się o prawidłowy przebieg realizacji Wielkiego Planu. Jego baczna uwaga i pomoc towarzyszy od pierwszych zaczątków budowniczym Nowej Huty. Jego bystre widzenie potrzeb rzeczywistości gwarantuje planową odbudowę Gdańska. A Nowa Huta czy Gdańsk — to tylko przykłady.

Warszawa, Nowa Huta, Gdańsk... Gdyby imiona budowanych miast wielekroć nawet pomnożyć — jeszcze by się nie nazwało, nie ogarnęło najdonioślejszego spełnienia naszej epoki. Techniczne, rzeczowe osiągnięcia dokumentują proces nieznany wiekom minionym — mówią o dojrzewaniu nowego człowieka, o tworzeniu się nowej ludzkiej świadomości, nowych uczuć, nowego stylu życia. Na rusztowaniach Warszawy, w pracowniach, inżynierów, na budowach całego kraju rosną ludzie. Budowanie miast — to budowanie ludzi. Pierwszy Budowniczy kraju jest Pierwszym Wychowawcą jego obywateli.

na podstawie przeprowadzonych wywiadów opracowali

Wanda Leopold i Wilhelm Mach

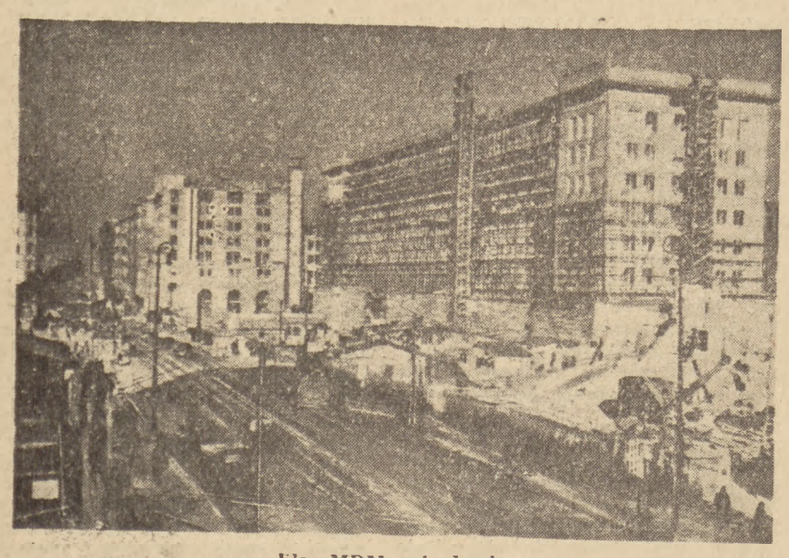

Plac MDM w budowie.

JERZY ANDRZEJEWSKI

PARTIA i TWÓRCZOŚĆ PISARZA

Str. 153 *zł 4.20*

„CZYTELNIK"

DANUTA BIEŃKOWSKA

Uskrzydlone harmonogramy

Twórczość architektów niepodobna jest obecnie do żadnej innej twórczości artystycznej przez swój zespołowy charakter, przez konieczność zbiorowego wysiłku wielu ludzi dla obleczenia w kształt kamienny pomysłu jednego człowieka. W społeczeństwach budujących socjalizm nie chce się nawet myślą sięgać do tych czasów, kiedy to samotny architekt, co najwyżej wspomagany przez paru uczni, biedził się miesiącami nad projektem jednego budynku, a każde usprawnienie, techniczne czy funkcjonalne, zazdrośnie skrywał przed kolegami.

Zakres działalności architekta zwiększył się do tego stopnia, że zaprojektowanie miasta, a nawet jednego osiedla, przekracza możliwości jednostki. Podobnie jak w innych dziedzinach produkcji wprowadzono w biurach projektowych pracę zespołową, opartą na ścisłej specjalizacji. Materiałów niezbędnych urbaniście dostarczają pracownie pomocnicze: fizjograficzna, pomiarowa, drogowa i terenów zielonych. Nad projektem budynku, oprócz architektów, pracują konstruktorzy, elektrycy, instalatorzy, kosztorysowcy, a czasem plastycy i modelarze.

Biuro projektów jest jakby wielką fabryką dokumentacji technicznej o ustalonym planie produkcji i ścisłych harmonogramach. Jest ono równocześnie warsztatem artystycznym, w którym rodzą się nie tylko projekty miast i domów, ale i nowe pojmowanie piękna. Odpowiedzialność twórcy jest tym większa, im trwalsze jest jego dzieło. Schematyczną powieść można pogrzebać w niepamięci, ale brzydki budynek przez długie lata jątrzy do żywego. Książkę pisze się wszakże we względnym spokoju: dokumentację techniczną gwałtują inwestorzy w imieniu tysięcy ludzi czekających na mieszkanie, żaden termin nie wydaje się im dostatecznie krótki. Między koniecznym pośpiechem a dojrzałością artystyczną projektu istnieje pozorna sprzeczność; pozorna, bo w zawrotnym tempie budowy architekci dojrzewają prędzej, dzięki metodom zespołowym, dzięki wskazaniom Partii, dzięki doświadczeniom kolegów radzieckich.

Przed paroma tygodniami pierwsze miejsce w ogólnopolskim współzawodnictwie pracy między biurami projektowymi zajęła pracownia XVI z Miasto projekt ZOR, opracowująca dokumentację architektoniczną i urbanistyczną dla Nowej Huty i Nowych Tych. Osiągnęła ona 221,5% normy, wyróżniła się wielką starannością wykonania projektów pod względem plastycznym i technicznym. Dziełem jej są m. in. prawie całkowicie już wybudowane osiedla w Nowej Hucie — osiedle C i A-zachód — oraz częściowo zrealizowane osiedla w Grabówku i Stalowej Woli, a także komplet projektów domów mieszkalnych i usługowych dla typowego osiedla robotniczego. Pracownia podzielona jest na cztery zespoły, którymi kierują młodzi architekci: Markowicz, Dąbrowski, Wiączek i Rydzik. Inżynier Andrzej Uniejewski prowadzi całość pracowni, zostawiając projektantom dość swobody, aby mogli oni w pełni wykazać swe uzdolnienia i zapewniając im równocześnie pomoc starszego, doświadczonego kolegi. W paru niewielkich pokoikach przy Wierzbowej 9, przy gęsto ustawionych rysownicach powstają rysunki dla pierwszych socjalistycznych miast. Trudno przecisnąć się między rajzbretami, stosami kalki i papieru, szkicami i projektami, żeby czegoś na podłogę nie strącić, żeby kogoś nie szturchnąć mimo woli. Na ścianach wiszą rysunki perspektywiczne nowobudowanych osiedli, odbite na światłoczułym papierze elewacje budynków przy głównej ulicy. Nawet laik pozna, że są one dziełem pracowni szesnastej; wyróżniają się starannym opracowaniem plastycznym, nawiązywaniem do architektury pobliskiego Krakowa, zastosowaniem, bodaj po raz pierwszy w Polsce, wysokich, dwukondygnacjowych prześwitów między budynkami.

Pracownia XVI wysuwa się również na czoło w zobowiązaniach podjętych przez architektów warszawskich dla uczczenia urodzin Prezydenta Bieruta. Mają one w biurach projektowych szczególnie osobisty charakter. Wielu projektantów spotkało się z Nim w pracy nad kluczowymi zagadnieniami, inni znają go z bezpośredniej relacji kolegów. Powszechnie wiadomo, że Prezydent sam ogląda ważniejsze projekty, nierzadko zachodzi na budowę. Jego zdanie w sprawach urbanistyki i architektury ma nie tylko wagę oficjalnej wypowiedzi, ale i autorytet oparty na świetnej znajomości przedmiotu, bezstronności oceny i gospodarskiej trosce o nowe budownictwo.

„Gospodarz — (to słowo mój rozmówca akcentuje mocno) — ogarnia zawsze całość zagadnienia, nie rozprasza się w drobiazgach, które niekiedy przesłaniają projektantowi pole widzenia — opowiada inż. Goldzamt o swojej rozmowie z Prezydentem. — W sądach Jego ogniskują się opinie znacznej części społeczeństwa. Przekonałem się, że budynki znajdujące uznanie Prezydenta szczególnie podobały się mieszkańcom, a wady projektów, na które On zwrócił uwagę, spotykały się z ostrą krytyką w prasie, w listach do redakcji, w wypowiedziach użytkowników. Nie może tu być mowy o oddziaływaniu na opinię publiczną, bo uwagi Prezydenta nie przedostawały się poza krąg zainteresowanych architektów. Świadczy to raczej o tym, że Pierwszy Budowniczy doskonale wyczuwa zarówno zasady kompozycji architektonicznej, jak i upodobania ludzi pracy, nie ulegając sugestiom najbardziej uznanych sław".

Przedstawienie Prezydentowi projektu dzielnicy lub osiedla jest dla pracowni wydarzeniem uroczystym, niespokojnie wyczekiwanym przez cały zespół.

— „Mimo że projekt mój zyskał aprobatę na wielu kolegiach i radach, w których zasiadali najlepsi architekci— zwierza się inżynier J. G. — z niepokojem w sercu rozłożyłem rysunki przed Prezydentem. Zdawało mi się, że wzrok Jego zatrzymał się na tych właśnie punktach, co do których mnie samego trapiły wątpliwości. Chwile wyczekiwania na Jego ocenę były wprost nie do zniesienia. Nie omyliłem się: Prezydent dostrzegł wszystkie usterki projektu, ale mówił o nich po przyjacielsku, podsuwając rozwiązania, które niegdyś odrzuciłem, gdyż wydawały mi się zbyt śmiałe, albo zbyt różniące się od poglądu kolegów".

W warszawskich biurach projektowych zobowiązania podjęto po prostu tak, jakby miały one zrobić przyjemność komuś bliskiemu, kto rozumie się na rzeczy, nie znosi żadnego cygaństwa i cieszy się każdym osiągnięciem architektury polskiej. Najpierw zdecydowano przyspieszyć wykonanie dokumentacji technicznej, o ile się tylko da. I tak dla MDM przyspieszy się dostarczenie rysunków na budowę o 16 dni, dla osiedla Mirów o 14 dni, dla Grochowa o 11 dni, dla Nowego Miasta i Nowego Światu o 10 dni, dla Mokotowa o dni 9. W wyniku tego rodzaju zobowiązań jedno tylko przedsiębiorstwo Miasto projekt Stolica zaoszczędzi około 5 i pół tysiąca dniówek roboczych, co pozwoli na dodatkowe wykonanie w tym roku dokumentacji technicznej dla kubatury 140 000 m³, co odpowiada 12 budynkom czterokondygnacjowym, o 116 izbach mieszkalnych każdy.

Przyśpieszenie takie nie jest łatwe do osiągnięcia przy wciąż ponaglających harmonogramach, wymaga uzgodnienia z pracowniami sprzężonymi, elektryczną, sanitarną, jest wynikiem zwiększonego wysiłku całego zespołu. Czasami wystarczy zwiększenie dyscypliny wewnętrznej, czasem trzeba przedłużyć dzień roboczy, aby wykonać mechaniczną część zadania. Ale przecież nie tylko o rysowanie chodzi, o koncepcję, o ten jedyny pomysł, który w dnie jałowe wcale nie chce przyjść do głowy, a w ogóle podlega fanaberiom, zgoła czasem nieprzystojnym w planowej gospodarce. Kiedy nie pomaga ani czarna kawa, ani mocniejsza od niej herbata, trzeba sięgnąć do fotografii ślicznego Zamościa, Sandomierza, czy Krakowa, albo też podpatrzyć u kolegów radzieckich, w jaki sposób wyrażają odmienność naszych czasów w formach bliskich swemu społeczeństwu. Niekiedy dobrze jest przejść ulicami Warszawy w przedwieczornym świetle, żeby wreszcie wpaść na słuszne rozwiązanie problemu wciąż obecnego w myślach i później długo w noc rysować przy rajzbrecie. W zamęcie dziennych spraw, w gwarze rozmów trudno skupić się w pracowni. Inżynier S. poważnie zadeklarował, że wyzbędzie się gadulstwa, które cały jego zespół naraża na znaczne straty czasu. Deklarację przyjęto żartobliwie, zwłaszcza że inż. S. jest uroczym rozmówcą, ale jest w niej niewątpliwie ziarno słuszności.

Projekt domu mieszkalnego na trasie N—S opracowany jako zobowiązanie ku czci 60-ciolecia urodzin Prezydenta Bieruta.

W zobowiązaniach dla Prezydenta nie zadowolono się jedynie przyspieszeniem terminów; przecież tylokrotnie przestrzegał przed „taśmową produkcją architektury", przed bezdusznym powtarzaniem podobnych do siebie projektów. Wzbogacić ornamentację, polepszyć jakość rysunków roboczych, oto dalsze wskazania zobowiązań, trudnych do przeliczenia na złotówki, ale donioślejszych w skutkach przyśpieszenia rysunków. Spełnienie zobowiązań jakościowych często wymyka się kontroli w pracy projektowej, ale to już sprawa ambicji zespołu, więcej nawet — sprawa honoru.

Pracownia inż. Kossaka ma świeżo w pamięci wszystkie wskazania Prezydenta dla dalszego opracowania trasy N-S w Warszawie. Młodzi inżynierowie przy każdej okazji powtarzają Jego słowa zachęty i uznania dla ich pracy. Znajduje to wyraz w zobowiązaniach wszystkich projektantów. Inż. Gorycki ślęczy nad rysunkami ornamentacji, które ozdobią budynek 30 na trasie N-S. Rysuje je kilkakrotnie w skali 1:20, a szczegóły kamieniarskie nawet w naturalnej wielkości, żeby ułatwić ich wykonanie na budowie. Rysunki takie nie wchodzą w zakres normalnych obowiązków architekta.

W pracowni XVI inż. Uniejewskiego oprawia się dawniej opracowane projekty typowe budynków mieszkalnych, dostosowując je do oszczędniejszych standartów i ulepszając, gdzie się da układy mieszkań. Prowadzi się również próby zużytkowania na małe mieszkania poddaszy w niewysokich domach o stromych dachach, przy czym mieszkanka te posiadałyby własne stropy i pełne wyposażenie, a więc nie ustępowałyby w niczym innym mieszkaniom.

W ramach zobowiązań inż. Malicki z Miasto projektu ZOR wykonuje perspektywiczne rysunki osiedla Mokotów, zgodnie z życzeniami Prezydenta, który chce, aby przedstawiane mu perspektywy wykreślano według teoretycznych zasad, to jest w proporcjach odpowiadających rzeczywistym wymiarom budynku, nie upiększonym fantazją twórcy. Zdarzyło się bowiem kilkakrotnie różnym autorom, że ich rysunki architektoniczne podobnie jak modele w żurnalach nieskończenie idealizowały rzeczywistość i wysmuklały sylwetki. Realizacja przynosiła jedynie zawód. Zamiast szerokich, asfaltowych jezdni, po których suną połyskliwe limuzyny — wąska jezdnia, a tam gdzie zgodnie z rysunkiem powinien znajdować się szczyt domu — błękitne niebo nad niskim budynkiem.

Zobowiązania urodzinowe powzięli niemal wszyscy pracownicy. Miastoprojekt ZOR przybrał odświetny wygląd. Na korytarzach rozwieszono fotografie zabytków architektury polskiej i jej powojennych osiągnięć. Zielone paprocie wnoszą wiosenny nastrój.

Biuro projektów jest wspólnym domem, w którym spędza się najistotniejszą część życia; o urodzinach Prezydenta myśli się jak o święcie kogoś z najbliższej rodziny.

Danuta Bieńkowska

BOGUSŁAW KOGUT

ŻYCIORYS NASZEJ WOLNOŚCI

1

Jest w moim domu miłość. Wieczór, kiedy wiatr
na noc fioletowych obłoków naniesie,
a latarnia uliczna utknie w okiennych szkłach
i cień jej na szybie nieruchomej gnie się.

Z ulicy reflektory kotarę nocy tną,
w firankach plącze się szczebiot rozbawionych dzieci
i krzyk nie grozi z nocą nadchodzącym snom —
i wiem, że tak jest dobrze, że tak jest najlepiej.

Nim nad małym łóżeczkiem opadną powieki lamp
i dziecko sennie rączki wyciągnie na poduszce,
ja myślę o miłości — takiej jaką znam,
miłości łzom odebranej w epoce nieludzkiej.

Bym mógł się spokojnie rozstać z odchodzącym dniem,
w domu, gdzie radość jest dla serca dostępna —
bili się nieugięci, umierali — wiem:
dźwigali krzyk na ustach, łańcuchy na rękach.

2

Sześćdziesiąt lat — to historii niemały rozdział.
Ja gdy myślę o pierwszych pięćdziesięciu,
tamte myśli kłują jak ostre gwoździe
obolałą ranę pamięci.

Mój ojciec, Prezydencie — rówieśnik Wasz —
tej pierwszej pięćdziesiątki nie dożył.
dziś widzę mego ojca twarz,
żółtą jak piach na ugorze.

Widzę — na chałupie walił się dach,
wiatr rozdzierał przegniły okap,
a w oczach mojej matki — w jej łzach
była jesień — szaruga i słota.

Nie ma ich, oni nie dotrwali,
nie donieśli do wolności utrudzonych rąk.
Widzę ich — oboje w ziemię spoglądali,
gdy mówili: — „Musimy cię ze szkoły wziąć".

A miłość? Jakaż ich miłość? Zła
jak całe życie utracone,
jak śmierć, która głodnego oszczędziła dnia —
głodnego dnia w głodnym domu.

Ich nie ma. Oni nie dotrwali.
Dla nich te lata przyszły o jedno życie za późno.
A ja po ścieżkach błędnych długo się wspinałem
i drogi szukałem na próżno.

3

Był kryzys i redukcje, obniżki kruchych płac,
były pałki policji i odpowiedź — strajki.
Był człowiek, który prowadził pierwszą linię walki,
który serca zapalał — wątłym pomagał trwać.

Sądzili go — w togach szkarłatnych wytrawni służalcy,
przysięgłym serca jal gąbki ściskał płaski strach;
wiedzieli, że zamek żelazny u drzwi nie wystarczy,
że komunista walczyć potrafi zza krat.

4

Straszyły kolby żandarmów i piece Majdanka,
zastęp otumanionych z bronią u nogi stał;
wtedy rodziła się Partia, z nią dojrzewała walka —
z rąk peperowca padła pierwsza odpowiedź na gwałt.

W kraju oswobodzonym faszyści kłuli zza węgła,
niepewne drogi wiodły do zasadzki — w las.
Ci co przeżyli Rawicz ginęli w walce klas
i w walce klas krzepła Ludowa — Niepodległa.

Pod okna nieosłonięte skradała się nocą śmierć,
gdy w domu spał po trudzie sekretarz PPR-u.
Był człowiek co umacniał męstwo naszych serc,
człowiek o jasnym czole — towarzysz Bierut.

5

Tych lat sześćdziesiąt — to spory historii szmat.
O tamtych pierwszych pięćdziesięciu,
mały chłopiec — kamieniarz sprzed dwudziestu lat
mógłbym jeszcze powiedzieć więcej.

Ale krytyk surowy wiem już co mi powie,
że w temacie historia piętrzy się — a ja
zgarniając cień wieczoru z okiennego szkła
mniej o szczęściu powszechnym mówię niż o sobie.

Wobec samej historii może to i źle,
lecz wiem: o to co w domach naszych wieczorem się rodzi,
walczyła PPR — a dawniej KPP
i wiem, że Was, Towarzyszu — to wszystko obchodzi

Bo przecież po to więzień sercem o kraty tłukł,
po to Wyście walczących zwycięstwa uczyli,
by dzisiaj każdy ojciec spokojnie patrzeć mógł
w noc, co nad głową dziecka firankę snu pochyli.

A profil bohatera wyrzeźbić nie łatwo,
temu, któremu twarda była ojca pierś,
Kto — jak ja — był za mały by walczyć wraz z Partią,
ten tylko taką prostą może złożyć pieśń.

W tej pieśni bije tętno powszechnej miłości
i walka i niezłomna myśl zza wrogich krat,
Prezydencie, Waszych sześćdziesiąt lat
to życiorys naszej wolności.

WITOLD ZALEWSKI

GOSPODARZE

Siedemnastego września 51-go roku, w Milinie, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Rysiński długo w noc zasiedział się z kilkoma członkami swego zespołu. Było o czym radzić. Gospodarstwo rosło w oczach. Sprawniej i szybciej niż gospodarze indywidualni z sąsiednich gromad, ukończono żniwa. Najlepiej udała się pszenica. Zebrano jej tyle, że ogromna stodoła na zapolu trzeszczała od naporu ubitych snopków, a na ścierniskach jak grzyby po deszczu wyrosły całe kolonie pękatych stert. „Starczy chleba" myśleli milinowscy spółdzielcy. I chociaż w rozmówkach pokątnych wielu wypowiadało jeszcze obawy, czy rząd nie zagarnie całego zbioru, to przecież bogaty plon radował nawet najbardziej nieufnych. Po żniwach przeprowadzono wszędzie podorywki, teraz zarząd spółdzielni sposobił jesienną orkę. Rysiński podniesiony na duchu wzrastającą frekwencją ludzi przy robocie, snuł projekty przestawienia gospodarki na jeszcze bardziej wydajną hodowlę warzywniczą. Warunki w Milinie sprzyjają ogrodownictwu. Obok wsi przebiega autostrada; trzydzieści kilometrów ciężarówka przeleci w ciągu pół godziny i już wielki rynek zbytu — Wrocław. Ziemia w Milinie tłusta, jakby na zamówienie przyroda uformowała ją pod kapustę i kalafiory. „Patron koło Paryża zbierał trzy razy w ciągu roku z jednego pola. Z początku zaraz w lutym siał groch; groch zbierał na zielono koło połowy maja, potem przeorywał nać i szła fasola; fasolę sprzątał też na zielono gdzieś w sierpniu i miał pole pod karotkę. Do listopada wyrosła mu, że podziwiać. U nas klimat trochę ostrzejszy, ale dwa razy jak by nie było da się wydusić. A trzeba nam sobie przyswoić intensywną gospodarkę..." Szesnaście lat uczył się jej Rysiński, jedząc, jak teraz wspomina, nie bardzo smakowity chleb emigrancki: „Bywały lata kiedy się przez cały dzień ciężkiej pracy od wschodu do zachodu słońca zarabiało dwie bułki chleba i nic więcej. Patron potrafił gospodarzyć intensywnie; ale nie sztuka, mając pod samym Paryżem 700 hektarów ogrodów i najważniejsze — ludzi, którzy się prosto mówiąc zabijali o robotę. Zanim jeszcze nie powstało C.G.T., potrafił z roku na rok obniżać wynagrodzenie. Wychodził do robotników i mówił: — Pracujecie czternaście godzin na dobę w sezonie, płacę wam za to sto franków tygodniowo; komu się nie podoba, proszę bardzo, droga szeroka, la route est large..." Rysiński rozumie na czym gruntował wydajność swojej gospodarki francuski farmer. Rozumie to również 17 towarzyszy, którzy razem z nim wrócili do kraju w 46-tym roku i teraz tworzą trzon milinowskiej spółdzielni. Tutaj buduje się gospodarkę na innych zasadach. Nie kapitalistyczny wyzysk, tylko organizacja pracy i wynagrodzenie równe wartości roboty. I żeby każdy wreszcie zrozumiał, że równomiernie ze wzrostem spółdzielczego majątku idzie w górę jego dniówka obrachunkowa. Podstawę gospodarczą mają w Milinie solidną. Sześćset pięćdziesiąt hektarów pszenno-buraczanej ziemi, nie byle jakie zabudowania, wszystko zelektryfikowane, drogi bite i asfaltowe. Przez dwa lata wspólnej gospodarki spółdzielcy przychowali prawie z niczego, obywając się bez krótkoterminowych kredytów, 78 sztuk bydła i 48 świń. Rok 51 jest przełomowy w życiu wspólnoty. Z masy 75 członków już przeszło połowa chodzi regularnie do roboty. Trzeba zaktywizować pozostałych; Rysiński liczy, że: „ostatecznie dokona tego dniówka obrachunkowa, która, wziąwszy pod uwagę nieprzeciętny zbiór pszenicy, powinna przekroczyć 30 złotych. Kiedy ludzie poczują w kieszeni pieniądze, nic ich już nie zawróci z drogi spółdzielczej."

Dopiero po jedenastej odprowadził przewodniczący swoich towarzyszy na podwórko przed domem. Cienki kłos księżyca zapowiadał pogodę odpowiednią do orki. Mimo paru gwiazdek na niebie ciemność gęstą rzęsą okrywała ziemię; w sennej, osiadającej, jak muł na dnie jeziora, ciszy, tonęły odgłosy kroków odchodzących spółdzielców. Rysiński zamknął drzwi od sieni i kiedy szczęknął ciężką zasuwą, wydało mu się, że gdzieś z daleka metaliczne tąpnięcie zawtórowało zgrzytowi żelaza. Właściwie tak to sobie odtworzył dopiero później; wtedy wszedł do pokoju i usiadł przy oknie, żeby uporządkować rozrzucone na stole kwity spółdzielcze. Żona jeszcze nie spała; szydełkowała pod piecem, migając szybko błyszczącymi drutami. Lubiła tę robotę; była to jedyna pożyteczna umiejętność, której kobieta mogła się nauczyć we Francji przez 15 lat pobytu.

Kiedy Rysiński podniósł głowę znad papierów na przeciwległej ścianie tańczył już czerwony blask. Rysińska, stojąc obok przewróconego krzesła, dławiła się uwięzłym w gardle krzykiem. Rysiński zakręcił się jak oślepiony. Za oknem szybciej niż krew z przeciętej gardzieli bydlęcia rozlewała się łuna; cały pokój zajmowała sucha, ognista zorza. Rysiński chwycił siekierę. Kiedy szarpał w sieni zasuwę, rozległy się pierwsze, alarmujące dźwięki blachy strażackiej. Cała wieś zerwała się już na nogi; ze wszystkich stron dolatywały urywane krzyki. Ktoś wrzasnął przecinając drogę: „Szopę podpaliłyyy!"

Wielka spółdzielcza stodoła, mieszcząca główną część zbiorów — pszenicę ze 124 hektarów — była teraz jednym, ogromnym, huczącym płomieniem. Ludzie biegali dookoła w odległości kilkudziesięciu kroków.

Ostry blask oślepił Rysińskiego; osłaniając oczy zgiętym ramieniem rzucił się naprzód. Ktoś chwycił go za rękę. Romanowski w przekrzywionym hełmie, utytłany sadzą, z przerażeniem w oczach, łapczywie chwytał oddech: „Dranie... nie chcą... pali..."

„Maszyna? Co z maszyną?" — ryknął Rysiński.

Romanowski mignął dłonią, jakby odpędzał osę: „Dranie, zwoływałem... teraz za późno... nie podejdzie... Swoich chałup pilnują."

Obok, jak spod ziemi wyrosło jeszcze trzech strażaków w błyszczących kropielnicach. „Ode wsi dmucha... Nie zaprószy..." Wiatr wyszarpnął chmurę iskier z buzującego płomieniska, syczącym rojem wzleciały w górę i przecinając spopielałe, oślepłe niebo, zgasły gdzieś nad ścierniskami.

„Sterty obsadziłeś?..." — krzyknął Rysiński.

Romanowski zamamrotał przecząco.

Rysiński wpadł między stado gęgających bezradnie ludzi. „Wiechcie brać, iskry dusić..." Paru chłopów ruszyło z kopyta. Reszta naparła na przewodniczącego. Suchy, gorączkowy blask prześwietlał twarze, jakby od wewnątrz, jakby wydobywał ze środka, z głębi oczu najbardziej skryte myśli.

„Skończyło się babci sr...e" bryznął ktoś jadem.

„Głupi człowieku, twój chleb palą..." odbił drugi. Gromada zaszemrała aprobująco.

„Stróż... stróż gdzie?"

Stał między ludźmi i plątał w kółko jedno zawikłane zdanie: „Nie spałem, ludzie kochane, póki życia nie spałem... A tu strzał, bodaj go... Z drugiej strony na durch, patrzeć już ogień... buchnęło ino... Nikogo nie widziałem, tylko huk. Ludzie kochane..."

„Spalił... spalił — przeklętnik, żeby mu tak w piekle..."

„Trza ich bić — sukinsynów, kułackie gzy...

„A straż — co zrobiła?... sikawki ręczne..."

„Gdzie motopompa?..." — padło z głębi. Zakipiało...

„Motopompa... Nasze pieniądze na to poszły..."

„Motopompa... Zmarnowałeś Romanowski..."

„Przepił drań..." „Bodaj zdechł sukinsyn..."

„Do ognia z nim... — wrzasnął ktoś przejmująco. Romanowski zadygotał. „Nie wygłupiać się..." huknął Rysiński i wrzawa jak zduszony strumieniem ogień, przygasła. Ogromny, czarny cień przewodniczącego, wydęty na tle krwawego słupa pożaru górował nad gromadą. Trzask pękających belek, wężowy syk ognia, szum, jakby mielenie ton ziarna we młynie, tłumiły kobiecy lament.

„Tyle w tym winy Romanowskiego, co i nas wszystkich..." powiedział ktoś.

„Jeszcze paru do stert..." — Rysiński łowił wzrokiem z gromady. „Gajda, Długokęcki, Pecyniak — do jęczmienia. Dmie jak piorun..."

Pobiegli... Romanowski dreptał krok w krok za przewodniczącym: „Motopompa pomogłaby jak woda święcona umarłemu"... powtarzał szybko; wolał się trzymać Rysińskiego, przy nim czuł się bezpieczniej; powoli odzyskiwał zwykłą zadzierność.

„Pomogła, nie pomogła" zgasił komendanta Rysiński „ale maszynę może by się wyciągnęło...

Tę motopompę kupiono w 1948 roku ze składek wszystkich mieszkańców Milina i kilku sąsiednich wiosek. Była to czteromotorowa prądownica, potężna, jedna z największych na całym Dolnym Śląsku. Ponieważ miała uszkodzone tłoki i brak było kilku drobnych części, za radą wojewódzkiej komendy straży pożarnej oddano ją do prywatnej firmy „Bemar" we Wrocławiu w celu naprawy. Inżynier Bemar przyjął zamówienie, zobowiązując się dokonać reperacji w ciągu trzech miesięcy za wynagrodzeniem 60 tys. zł płatnych z góry. Ochotnicza straż pożarna w Milinie wpłaciła żądaną sumę w tydzień po spisaniu umowy, za co otrzymała kwit z firmy „Bemar". Od tego czasu minęły prawie 4 lata. Kiedy piszę te słowa, jest już kwiecień 1952 roku. Spaliła się, a ściślej mówiąc została spalona stodoła w Milinie, poszły z dymem pegeerowskie sterty i różne budynki w zasięgu działania milinowskiej straży pożarnej, a motopompa wciąż stoi unieruchomiona w zapuszczonym składzie firmy „Bemar". Romanowski na korespondencji z inżynierem „Bemarem" nabrał zawiłego stylu w mowie i w piśmie, a towarzysze twierdzą, że nawet charakter spaczył mu się w podjazdowej walce z redutą prywatnej inicjatywy; interweniowały różne władze, ale inżynier żonglując państwowymi i społecznymi zamówieniami, osłaniał się planem, wykonaniem, terminem, normą, ponadnormą i podobnymi pojęciami; wreszcie przyrzekał natychmiast wziąć się za zaniedbaną robotę i tak od komisji do komisji. Sprawę oddano do prokuratora; prokuratora zmieniono, a motopompę tak jak przedtem pokrywa kurz w rupieciarni prywatnego przedsiębiorcy.

Pożar już się przesilał. Płomień zaczął tęchnąć, najpierw wytrysnął wszystką czerwienią i brudną posoką, a potem oklapł nagle, jak pęknięty wrzód; łuna na niebie zbladła i powoli spełzała do ciągle krwawiącego rdzenia. Ogień nie przeniósł się na sterty spółdzielcze. Ale w sąsiednim odległym od Milina o 3 km PGR-e Kilianów, w pół godziny po wybuchu milińskiego pożaru, zapłonęły 4 sterty z sortowaną, sprowadzoną specjalnie na siew pszenicą. Polowy, który znajdował się wtedy w odległości jakichś 600 metrów od spalonych stogów, zeznawał potem, że widział idących przez rżysko od strony Milina dwóch ludzi; przebiegli obok stert i po chwili wszystkie naraz trysnęły rudym płomieniem.

Ta noc na Dolnym Śląsku kosztowała nas niejedną tonę chleba; ale podpalacz liczył nie tylko na bezpośrednią stratę materialną. W naszym ustroju wszystkie czynniki materialne i moralne wiążą się ze sobą ściśle. Wróg wie o tym. Coraz częściej jednak ten zaoceaniczny inspirator zbrodni przelicza się tam, gdzie w grę wchodzą żywi ludzie.

Po pożarze w milinowskiej spółdzielni pogłębiła się różnica między większością pracującą ofiarnie na wspólnych polach, a tymi, którzy jeszcze niepewnie oglądali się na strony. Między ludźmi poszła gadka, że z dniówki obrachunkowej zostaną teraz nędzne ochłapy. Wieczyści malkontenci, ci co przedtem nie wierzyli, żeby rząd zostawił spółdzielcom tyle pszenicy, nagle zaczęli najgłośniej labiedzić nad stratą wspólnego majątku. Rysiński, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej Sarka i jeszcze paru aktywistów przekuwali w ludziach żal na zawziętość i zapał do pracy. Jesienne roboty wykonano niemal wzorowo. Dzięki przeprowadzonym w porę podorywkom, bronowaniu, starannym obsiewom, milinowskie oziminy skutecznie oparły się złowrogiej suszy i już na przedwiośniu zapowiadały ładny urodzaj. Tymczasem w lutym dokonano rozliczenia za 51-ty rok. Dniówka obrachunkowa wyniosła 23 zł 14 gr. Malkontentom, panikarzom zamurowało usta. Bumelanci i kombinatorzy, spekulujący na postronne zarobki, nadrabiali miną, ale każdy z nich klął po cichu i szukał winnych swojego zaniedbania. Od lutego frekwencja przy pracy objęła prawie wszystkich spółdzielców. Rysiński był wszędzie, planował rozbudowę gospodarki i komentował z ludźmi minione wydarzenia. „Myśmy stracili i nasze państwo przez to samo straciło..." wspominał pożar „ale odszkodowanie wypłacili i dzięki temu dniówka wybiła nienajgorzej... Gdyby nam nie zmarnowali pszenicy, byłoby całkiem dobrze..."

„Trudno — mruczał zawzięty Gajda"... „ale jednego drania mają..."

W marcu tego roku cała siatka organizacji podpalaczy była już zdjęta.

„Polska Rzeczypospolita Walcząca" obejmowała kilka powiatów Dolnego Śląska. Powołano tę „Polskę" z daleka, stamtąd, skąd idą wszystkie rozkazy, zmierzające do zniszczenia życia na naszej ziemi; tym razem chodziło wyłącznie o sabotaż rolnictwa; w statucie organizacji powiedziano nawet wyraźnie: nie zabijaj, nie rabuj. Był to zakon ponurych wykonawców poleceń handlarzy śmierci; mieli za zadanie wszystkimi sposobami przyczyniać się do tego, żeby w Polsce zabrakło chleba. Płacono im za to dobrze w obiegowej walucie podpalaczy, z owej puli „100 milionów dolarów na dywersję i sabotaż". Posługiwali się różnymi sposobami: wprowadzali swoich ludzi do spółdzielni produkcyjnych i próbowali rozsadzić je od wewnątrz, truli konie, krowy i kury, przede wszystkim jednak palili. Używali do tego różnych narzędzi: zapałek i fosforu, pocisków i rakiet. W niektórych wypadkach wysilali się na bardziej wyszukane sposoby. Dziesięć dni przed pożarem milińskim spaliła się stodoła ze zbożem w sąsiedniej spółdzielni produkcyjnej Proszkowice. Powiedziano: wypadek — krótkie spięcie przy elektrycznej młockarni. Dzięki temu dywersanci uśpili czujność sąsiednich zespołów i właśnie dlatego stodoła milinowska nie była specjalnie strzeżona. Wsypa zaczęła się przy jesiennym skupie zboża. Doprowadzony do rozpaczy niesprawiedliwym wymiarem chłop-średniak uderzył w twarz sekretarza proszkowickiej organizacji partyjnej. Za podniesienie ręki na przedstawiciela władzy ludowej dostał przykładowy wyrok. Wtedy zażądał dodatkowego przesłuchania i przed oficerem śledczym złożył oświadczenie w sprawie swojego przeciwnika. Agent organizacji w spółdzielni produkcyjnej i w partii przyznał się do wszystkiego. Stodołę w Proszkowicach spalił za pomocą kabla od elektrycznej młockarni, który przeprowadził przez klepisko pod snopkami; spięcie wywołał w ten sposób, że dał drut nieodizolowany i uszkodzony. Na korki w liczniku zamiast cienkiej spiralki nawinął grubą strunę skrzypcową, zabezpieczając je przed przepaleniem. Po pożarze zdążył jeszcze zamienić kawałki zużytego kabla na cały i dobry. Dzięki temu zmylił śledztwo, wpędzając je w ślepy zaułek.

Teraz na początku kwietnia b.r. milinowscy spółdzielcy mają pełną satysfakcję: podpalacze w więzieniu czekają na wyrok.

Siedzę razem z Gajdą, Romanowskim, Długokęckim i jeszcze paroma innymi w biurze spółdzielni. Za oknem plucha. W nudnej, przenikliwej mżawce, przeplatanej śniegiem, łuszczącym się wielkimi płatami, pod sinym niebem gaśnie przedwiosenny dzień. Gajda, Długokęcki, Różański, zastępca przewodniczącego, po kolei podchodzą do okna i wpatrują się w rozkisłą bryję na polach.

Przygotowania do siewu w spółdzielni ukończono. Podczas kilku dni znośnej pogody w marcu rozsiano już część nawozów, przeprowadzono włókowanie orek zimowych. Gotowe są maszyny, sprzęt, konie, gotowi ludzie. Nie dopisuje jeszcze pogoda. „Ale zmiana musi przyjść i wtedy my w krótkim czasie zrobimy swoje. Zobowiązania nasze dla Bieruta wykonamy..." Jakaś pewność siebie i spokój, twarde poczucie siły jest w słowach Różańskiego i innych. Myślę, jacy byli ci ludzie przedtem, w dwudziestych latach, kiedy głód gnał ich z Polski dosłownie dla kawałka chleba; jacy byli tam, jacy byli w 46-tym roku, kiedy wracali do ojczyzny.

Wszyscy mówią chętnie o Francji i ze słów wszystkich przebija gryząca gorycz. Gajda pochodzi z rzeszowskiego. Ojciec jego był fornalem u jakiegoś „hrabioka". A mnie się nie widziało kłaniać jaśnie panu. Dokoła nie było o co zaczepić rąk do roboty. Mój brat już robił we Francji w 23-tym roku; napisałem do niego, żeby mnie ściągnął, no i się pojechało. Pięć lat hyrałem na katana; ciągle na roli. Dorobiłem się jedynie czyraków. Potem tak się zrobiło, że mi odebrali prawo pobytu we Francji. Przyjechałem do domu. A tutaj po staremu — kapitał rządzi. Pół roku kręciłem się za robotą — nic i nic, choć palce gryź... No to myślę w końcu — gdzieś mam taką Polskę; znów piszę do brata i znów jadę tą samą drogą. We Francji też nie szło ku lepszemu, ale przynajmniej pracy dla cudzoziemców nie brakowało. Odbieraliśmy chleb Francuzom — pewnie. Źli byli z tego na nas. „Sale polonais" — brudny Polak — przezywali naszych ludzi. Ale kiedy powstało CGT i partia komunistyczna wzięła nas w opiekę, zajęliśmy jeden front z robotnikami francuskimi. Wtedy zaczęły się strajki i zorganizowana walka z burżujami..."

„Pamiętasz strajk u Buflera... — przerywa Gajdzie Długokęcki — syrena zabuczała i patrzeć wszystko zjeżdża z pola... Każdy z nas miał numer i w to tej kolejności schodzili my z pola z końmi; tak i teraz dojeżdżamy do bramy, a w bramie czeka patron i każdego po kolei o legitymacje CGT, żeby mu oddać; kto był głupi albo się wystraszył i zdał— no to już był jego. Ale my Polacy nie — my się trzymali twardo. A to była pora żniw. Nam się rozchodziło o podwyżkę, a patronowi, żeby na czas sprzątnąć z pola. Kłócili się z delegatem na zabój. Na drugi dzień, patrzeć co on robi: wsadził na traktory swojego syna i córkę i takich gajowych, co ich miał przy sobie i do roboty. No to my na rowery i też w pole. Na szosie stoi samochód, a w samochodzie patron z fuzją. Delegat każe nam kłaść rowery na szosie i zastępujemy drogę traktorom. To ten synek naparł na nasz szereg tak blisko, aże kołami dotykał nóg, ale nie miał odwagi rozjechać. Staliśmy jak mur — musiał zawrócić.."

„Do tej pory idzie tam ostra walka" — wtrąca Różański „dużo opiera się na cudzoziemcach; a najwięcej nieustępliwi są Polacy..."

„Bo też nadojeło. Był taki czas, że i dobrego słowa nie usłyszysz... Sale polonais i sale polonais..."

W 46-tym roku przed wyjazdem do Polski zorganizowali się w spółdzielnię parcelacyjno-osadniczą. Prawie wszyscy (siedemnastu) pracowali we Francji w jednym majątku Oisse (pod Paryżem). Znali się więc dobrze i liczyli, że potrafią żyć zgodnie w przekazanej im przez rząd polski resztówce. W konsulacie tłumaczono delegatom: „Będziecie gospodarzyć wspólnie tylko do chwili, kiedy dorobicie się inwentarza, narzędzi, a wtedy każdy pójdzie na indywidualną działkę". Byli między nimi różni ludzie, mniej i bardziej świadomi, jednych ciągnął gomułkowski mit indywidualnej parceli, inni, jak przede wszystkim Rysiński patrzyli dalej. Do Polski wracali wszyscy, jak do rodzinnego domu, odzyskanego z rąk szalbierzy. W tyglu, jakim podówczas były ziemie odzyskane, witali repatriantów oprócz przyzwoitych ludzi — szabrownik i bandzior, volksdeutsch i andersowiec. Długokęcki, ponieważ był samotny, przyjechał późniejszym transportem. Najpierw złodzieje w mundurach milicyjnych chcieli mu odebrać jedyną walizkę; kiedy się obronił, wyłudzili od niego sto złotych na drobne wydatki oraz pół litra. Potem zakwaterował się w PUR-ze wrocławskim. Wieczorem odciągnęło go na stronę dwóch facetów w kapeluszach; jeden z nich rozpoczął zawiłą przemowę, przerywaną co parę zdań, syczącym „zaraza bolszewicka"... Kiedy palnął się wreszcie w czoło białą dłonią: „No i po jaką cholerę tu cię przyniosło?..." — Długokęcki porwał z kąta wiadro i wyjechał z lokalu na grzbietach niefortunnych agitatorów.

„To ja we świecie jak ten pies, tutaj też ino dla panów życie było; to ja wracam do siebie, moje państwo; a ten mi... ach, ty gadzie..."

Jeszcze teraz Długokęcki burzy się, wspominając tamtą rozmówkę.

Życie w spółdzielni parcelacyjno-osadniczej układało się milinowiakom dobrze o tyle, że szybko dorabiali się inwentarza i sprzętu; gorzej było ze współżyciem — robotę mieli niezorganizowaną, bez norm, bez dniówek obrachunkowych; w rezultacie jeden pracował za drugiego, zaczynały się swary. Konsekwentny kurs na indywidualną parcelę burzył poglądy tych, co jechali do Polski z myślą o gospodarce na socjalistycznych zasadach, a utwierdzał przekonanie grupy wiążącej szczęście z indywidualnymi morgami. Władza i urzędy powiatowe nie ułatwiały życia spółdzielni; w ciągłych utarczkach z gomułkowskim aparatem kruszyła się energia spółdzielczego trzonu. Z początkiem roku 48-go już tylko przewodniczący Rysiński stał przy idei wspólnej gospodarki. I on rozumiał, że obecny stan trzeba zmienić, ale jego zdaniem należało ster skręcić w stronę akurat przeciwną niż ta, w którą ciągnęli rozbijacze zespołu. Rysiński przez to chyba, że pracując na przedmieściu Paryża, od dwudziestu lat miał stały kontakt z francuskimi oraz polskimi robotnikami, osadził swoje poglądy na mocniejszej podstawie, niż inni towarzysze. Wiosną 48-go roku większość członków zaczęła się domagać rozwiązania spółdzielni. Rysiński grał na zwłokę, udawał, że nie rozumie, o co ludziom chodzi, czekał, wyglądał czegoś — czego sam nie umiałby wtedy wytłumaczyć (do sierpnia brakowało kilku miesięcy). Miarka cierpliwości na koniec się przebrała. Zwołano zebranie. Na tym zebraniu zadano Rysińskiemu uroczyste pytanie, czy zamierza rozwiązać spółdzielnię? Przyciśnięty do muru odpowiedział, że „ani mu to w głowie". Wygłosił pełne ognia przemówienie w obronie spółdzielczości; tłumaczył, że trzeba zmienić organizację pracy i zasady gospodarowania; zlikwidować odrębność działek, dopuścić do zespołu biedotę ze wsi, wprowadzić dniówkę obrachunkową. Tą mową sam się pogrzebał. Postawiono wniosek o zmianę przewodniczącego. W wyborach Rysiński padł. Głosowało za nim sześciu członków, przeciwko — siedemnastu. Nowy zarząd natychmiast przystąpił do likwidacji spółdzielni parcelacyjno-osadniczej „Emigrant". Ale od razu pierwszy akt obnażył niesprawiedliwości indywidualnego systemu. Ci, którzy dostali działki gdzieś na krańcach pól resztówki, już na drugi dzień naradzali się z Rysińskim. Potem każdy miesiąc coraz gruntowniej pogłębiał nierówności. Jednocześnie Rysiński znalazł oparcie w nowej grupie, stopniowo ciążącej ku kolektywnej gospodarce.

We wsi Milin oprócz „francuzów" mieszkało około pięćdziesięciu rodzin. Byli tu zabużanie, ludzie z lubelszczyzny, z krakowskiego, z Mazowsza. Ci co ściągnęli najwcześniej i wykazali najwięcej sprytu, a najmniej skrupułów, utuczyli się szabrem wzbierając powoli w kułacką narośl. Inni, większa gromada, przyjechali później do pustych ścian, do ogołoconych budynków. Nie wiodło im się; niektórzy nie potrafili rozplątywać trudności, niektórym nie chciało służyć szczęście; razem było ich kilkunastu. Do nich zaliczał się Romanowski.

Romanowski nie jest człowiekiem żelaznego charakteru, myślami zezuje czasem w stronę zupełnie nie socjalistycznych ideałów, codzienne troski lubi topić na dnie głębokich szklaneczek po musztardzie; przy tym wszystkim jednak przeszedł życie ciężką drogą proletariusza wiejskiego i mimo niepewnego kroku zawsze trzyma się kierunku swoich klasowych interesów. W Milinie szło mu od początku jak po grudzie. Czego nie dotknął, jak zaczarowane obracało się przeciwko niemu. Szybko został półparobkiem najbogatszego szabrownika w okolicy — Ciołka. Kiedy teraz opowiada o tamtych czasach, lubi opis nasycać soczystymi barwami, ale rzeczywistość, jak wynika z relacji jego towarzyszy, nie jest przez to przeinaczona.

„W zimie bywało, już noc, idę z lasu od drzewa. Koszula na mnie mokra od potu; ledwie nogi ciągnę, głód wierci mi dziurę w brzuchu, aż łzy płyną ciurkiem po twarzy. A tu patrzeć u Ciołka we willi muzyka gra, bal maskowy się odprawia; baby gołe, tych tam jego kumów i urzędników różnych pełno — pijaniutkie w drobiazgi..."

Tacy jak Romanowski, Pecyniak i jeszcze paru innych łakomym okiem patrzyli na dostatnie życie „francuzów" w spółdzielni parcelacyjno-osadniczej. W jednej chwili włączyliby się do kolektywu, ale w tego typu zamkniętym zrzeszeniu nie ma miejsca dla nowych członków. Kiedy „Emigrant" został rozwiązany, Romanowski, Pecyniak i inni zgrupowali się wokół Rysińskiego. Na jesieni 49-go roku z pięciu takich właśnie biedaków i siedmiu dawnych „emigrantów" powstała spółdzielnia produkcyjna im. Bolesława Bieruta. Zespół miał 240 hektarów ziemi. Po roku, kiedy nowa wspólnota wykazała się zgodną, dobrze zorganizowaną pracą i osiągnięciem gospodarczym wzięła górę nad indywidualnymi sąsiadami, sypnęli się ludzie masą do spółdzielni.

Teraz w całym Milinie już tylko trzy staruszki wegetują sobie spokojnie na uboczu. Nikt ich nie ciągnie i powolutku dożywają swoich dni, popatrując na „nowe porządki".

Rysińskiego w tym czasie nie ma w Milinie. Jeszcze w lutym powołano go na półroczny kurs przewodniczących spółdzielni produkcyjnych do Ursynowa. Myślę, że kiedy wróci do domu, zastanie wiele zmian i wszystkie chyba na lepsze. Właśnie przyjechali młodzi praktykanci ze szkół rolniczych na pięciomiesięczne przeszkolenie. Księgowy rozmawia z trzema adeptami sztuki buchalteryjnej i zapowiada im ostry galop swoim doświadczonym (3 miesiące praktyki!) okiem. Przed kilkoma godzinami zakończono remont okazałej, „reprezentacyjnej" świetlicy. Kiedy wyjeżdżamy z Milina jest pierwszy, prawdziwie wiosenny dzień. Błoto szybko obsycha i w lnianym świetle słonecznego poranka wilgoć paruje z ziemi błękitnawą mgiełką. W zabudowaniach spółdzielczych wzmożony ruch... Koło kuźni ostatnie, już tylko kontrolne opukiwanie pługów i bron. Długokęcki, który wyrósł nagle jak spod ziemi, zapewnia nas, że zobowiązania spółdzielców dla uczczenia towarzysza Bieruta zostaną wypełnione. Bo przypuśćmy, dajemy prezydentowi — to dajemy sobie. Na jesieni, jak nas spalili, to państwo okazało pomoc...

Naszemu Prezydentowi nie potrzeba luksusów... Prezydent jest nasz. Polsce potrzeba więcej chleba i nam wszystkim potrzeba więcej wszelkiego dobra... We Francji... Żegnamy Długokęckiego w popłochu. Przed budynkiem zarządu zatrzymał się samochód z Wrocławia; przyjechali nowi „przedstawiciele" „po linii prasy" w sprawie zobowiązań milińskich.

Odwiedziłem Rysińskiego w Ursynowie. Kiedy usłyszał, że dopiero poprzedniego dnia wróciłem z Milina, od razu zasypał mnie zniecierpliwionymi pytaniami: „Jak pogoda? Czy siew ruszyli? Kiedy rozrzucili nawozy?" Łatwo rozpoznać gospodarza zamiłowanego w swoim zawodzie. Rysiński, widać, całą swoją inteligencję, całą twórczą pomysłowość wyzwolił dopiero teraz w wielkiej, socjalistycznej gospodarce. Tyle jest w tym niemłodym, czterdziestoparoletnim mężczyźnie — świeżości i zapału. Wytrząsa, jak z rękawa, pomysły ulepszeń, nowych upraw, opowiada, czego nauczył się na kursie. O zobowiązaniach swojej spółdzielni dowiedział się z gazety; była to dla niego wielka niespodzianka — „ten prezent, to muszę przyznać, jak bym sam dostał... Nie odmawiam go towarzyszowi Bierutowi, ale mnie się zdaje, że odczuwamy to tak samo — ja zobowiązania swojej gromady, a on całego naszego kraju... Byłem bardzo dumny z naszych chłopaków i jednocześnie cieszyłem się, że będzie z tego niemały pożytek, bo to jeszcze lepiej poderwie ludzi do pracy. U nas nie żartują — jak powiedzieli podniesiemy o kwintal z hektara, to choćby się wiosna nie wiem jak spóźniła — podwyższą.." Na chwilę przerwał, zamyślił się i ponieważ milczałem wyczekująco, kończył: „O kwintal nie jest za wiele; dadzą radę, ale chciałbym już tam być i osobiście się przyczynić... Ludzie u nas dobrzy; coraz lepiej rozumieją, czego trzeba im i krajowi, i powiem, że to najgłówniejszy prezent dla naszego gospodarza..."

Witold Zalewski

Mal. Juliusz Krajewski

Podział ziemi

STANISŁAW WYGODZKI

HUTA „CZĘSTOCHOWA"

Nie zdołałem, z braku czasu, dojść tajemnicy, dlaczego pan Handtke, niemiecki kapitalista, odsprzedał w 1920 roku swoje akcje polskim kapitalistom i dlaczego, odstępując swoją własność polskim fabrykantom, jedno tylko wysunął zastrzeżenie, to mianowicie, aby huta, którą właśnie odsprzedawał, zachowała dotychczasową nazwę: Handtke.

Co nim powodowało? Pragnienie pozostawienia po sobie na polskich ziemiach swego nazwiska? Zachowanie na trwałe pamięci po sobie wśród robotników polskich? A może — licho go wie — podobnie jak nowoodkryte lądy mianuje się nazwiskiem odkrywcy, chciał na obcej ziemi zapewnić sobie trwałość, bo to przecież on pod koniec 19 stulecia odkrył ten zakątek bogaty w rudę, sąsiadującą — jakże blisko — z węglem, ową energią potrzebną do jej przetopu!

Na placu Huty Bankowej do dnia dzisiejszego tkwi jeszcze na żelaznym postumencie biust pana Verdie, twórcy tego zakładu, aby robotnicy polscy wiedzieli, że tak zwane „towarzystwo akcyjne" to również ludzie, groźni, nachmurzeni, nieustannie wpatrzeni w zakład, trwający tam dniem i nocą, bacząc uważnie, aby wszystko było w porządku. Oczywiście w kapitalistycznym porządku. Pan Handtke nie stawiał sobie pomników, zastrzegł sobie jedynie, aby jego nazwisko zostało. Nowi, polscy akcjonariusze dochowali umowy. Nawet później, gdy, bogacąc się niepomiernie, nabywali coraz to nowe zakłady przemysłowe. Któż to nie pamięta nazwy Modrzejów-Handtke? Było to w okresie „szczęśliwego" dwudziestolecia, gdy do jednych i tych samych akcjonariuszy należały: Warszawska Fabryka, Huta Milowice, Huta Katarzyna, Huta Staszic, fabryka Stąporków, Światowid, liczne kopalnie rudy, oraz obecna huta „Częstochowa". Wszystkie nosiły wspólne miano: Modrzejów—Handtke.

Obecnie nazw tych już nie ma i nie tylko nazw: nie ma już akcjonariuszy, nie ma tamtych sławetnych czasów, nie ma tego wszystkiego co towarzyszyło tamtemu ustrojowi i długo musiałbym jeszcze wymieniać czego nie ma.

W hucie, noszącej obecnie nazwę „Częstochowa" polscy akcjonariusze w ciągu 20 lat swego panowania nic nie zainwestowali. Przeprowadzano jedynie remonty i to te nieodzowne, by piece nie stawały, ale remontów nie przeprowadzano bynajmniej z dochodów huty. Remonty przeprowadzano z funduszów państwowych, których — rzecz normalna — nigdy państwu nie zwracano, ponieważ państwo było właśnie rządzone przez panów kapitalistów. Akcjonariusze nie tylko żyli na koszt państwa. Temu państwu nie płacili nawet podatków, tak długo bowiem zwlekali z wpłatą należnych sum, aż je umorzono, bo...

I w tym miejscu musimy coś niecoś wyjaśnić. Wielkie zakłady przemysłowe mogły pracować i istnieć tylko z wielkich zamówień, a największym zleceniodawcą mogło być jedynie państwo. Jakież więc mogły być zamówienia, skoro to państwo niczego nie budowało, nie podejmowało żadnych inwestycji, nie rozwijało żadnego budownictwa! Sytuacja więc była taka, że rząd dawał kapitalistom pożyczki, umarzał im podatki, ale gdy trzeba było te kwoty zwracać, kapitaliści — jakże łatwo! — mogli temuż rządowi oświadczyć: jakże możemy zwracać pożyczki i wpłacać podatki skoro jesteśmy zadłużeni... właśnie u państwa, które doskonale o tym wie, bo przecież samo nam te pożyczki przyznawało! Było to tym łatwiejsze, że w zarządzie towarzystwa akcyjnego Modrzejów-Handtke zawsze zasiadał aktualnie urzędujący minister! Kto więc zwracał skarbowi państwa owe kwoty, które ginęły, a ginąc sprawiały, że w 1939 roku towarzystwo Modrzejów-Handtke, mimo kryzysów, mimo bezrobocia, mimo braku zamówień, składało się z tak wielkiej ilości zakładów przemysłowych, które wymieniłem wyżej? Na czyje barki spadał obowiązek „ratowania" skarbu państwa i wypełniania dziur budżetowych, powstałych na skutek gospodarki opisanej przeze mnie przed chwilą? Sądzę, że odpowiedź jest zbyteczna.

Każdy ją sobie odnajdzie łatwo.

A jednak trzeba pewne sprawy przypomnieć. Bywały okresy w hucie, dawniej zwanej Handtke, że przez 9 miesięcy nie wypłacano robotnikom zarobków i to w okresie zatrudnienia! Robotnik u Handtkego otrzymywał miesięcznie 20 złotych! Dwadzieścia złotych za przepracowany miesiąc, a reszta? Resztę odbierał w naturze, w sklepie założonym przez akcjonariuszy, gdzie musiał kupować po cenie znacznie wyższej, aniżeli gdzie indziej i to towary takie, które mu kapitalista narzucał.

Ale akcjonariusze Handtkego mieli jeszcze inne sposoby, które nie stanowiły bynajmniej specyfiki tego terenu. Metody wyzysku były upowszechniane i stosowane przez wszystkich kapitalistów i do najpowszechniejszych należało zatrudnianie robotników tak długo jedynie, aby nigdy nie trzeba było zapłacić robotnikowi za urlop. Oszustwo to akcjonariusze i dyrektorzy Handtkego umieli ubierać w piękną formę: my nie wydalamy robotników — powiadali. Wymawiając jednym, a przyjmując innych, pozwalamy pracować wszystkim jakiś czas, bo inaczej ciągle jedni i ci sami by pracowali, a jedni i ci sami pozostawaliby bez chleba. Ot, łaskawcy i dobroczyńcy. Usuwając jednych przed czasem, który pozwalał żądać zapłaty za urlop i przyjmując innych, których z kolei wyrzucano przed upływem terminu opłacenia urlopu, każdorazowo do kieszeni akcjonariuszy wpływało 12 proc. ogółu zarobków!

Dwanaście procent jedynie dlatego, że wyrzucono ludzi na bruk!

Za polecenie zamknięcia bramy przed tysiącem ludzi kapitalista się bogacił. Gdy hutnik, palacz i wytapiacz Częstochowy wracał mroczny do domu w którym nękał go głód, akcjonariusze spokojnie obliczali, ile na tym zarobili!

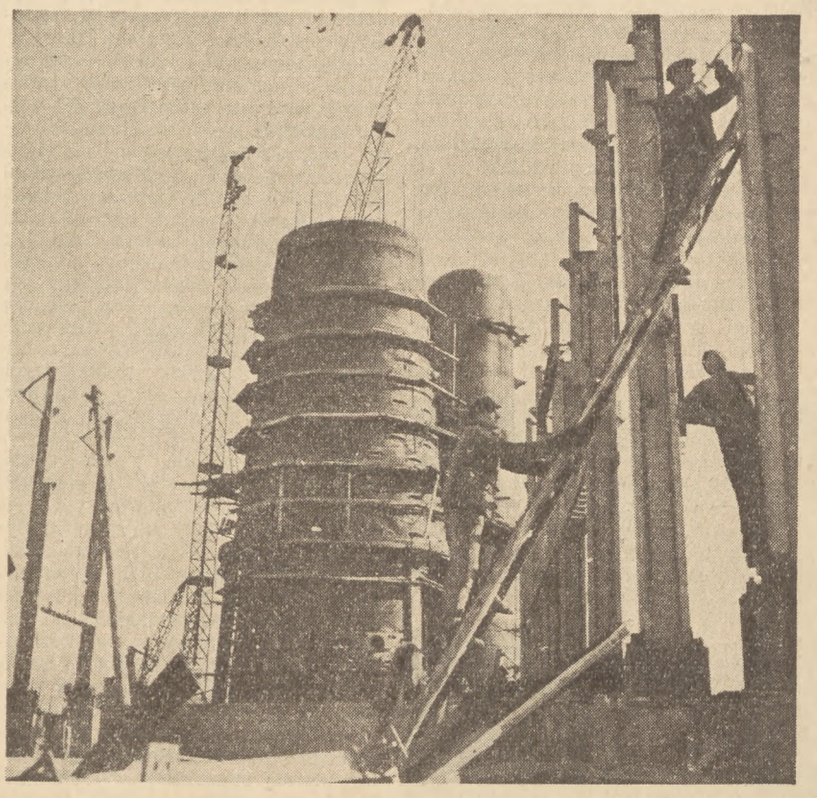

Widok na nowe piece huty „Częstochowa".

Wtedy to, w latach dwudziestolecia, stale narasta fala rewolucyjna wśród robotników Handtkego i — o dziwo— nawet na rozgoryczeniu i niezadowoleniu robotników akcjonariusze Handtkego robią interes. Na Rakowie wrzenie — mówią akcjonariusze, członkowie zarządu, swemu koledze z rady nadzorczej, aktualnie rządzącemu ministrowi. Wrzenie, rewolucja. Jeśli nie dostaniemy od rządu pieniędzy na uruchomienie huty, bóg jeden wie, co stać się może i, aby uciszyć wrzenie, rząd znów daje pieniądze...

Przez okres dwudziestolecia, na Rakowie, gdzie się mieści obecna Huta „Częstochowa" nie wybudowano ani jednego domu! To brzmi nieprawdopodobnie dla ludzi współczesnej Polski, w której nie ma zakątka, gdzie nie wznoszono by nowych gmachów, nowych dzielnic, nowych bloków mieszkalnych. W ciągu 20 lat ani jednego domu i tu, ktoś znający Raków, zarzuca mi kłamstwo! Kłamstwo! Wybudowano! Wybudowano dom, dom boży, kościół. Oczywiście z funduszów społecznych, z dobrowolnych składek, a ta dobrowolność wyglądała tak. Warto jej poświęcić trochę miejsca.

Czy widział ktoś z was człowieka w sutannie przy okienku, do którego się zgłaszają ludzie poszukujący pracy na hucie?

Oczywiście, nie.

Ale czy zna ktoś z was tego rodzaju praktyki, że robotnik zgłaszający się po pracę, musi podpisać deklarację, że odda 1 proc. swojego miesięcznego zarobku na budowę domu bożego? Otrzymanie pracy było uzależnione od wielu czynników: czy nie ma w głowie robotnika myśli przewrotowych, czy nie będzie wichrzył i żądał zapłaty, otrzymanie pracy uzależnione było również od tego, czy pozwoli na potrącenie z zarobku co miesiąc 1 procentu na budowę kościoła! Tak więc dla umartwiania grzesznego ciała nie wybudowano ani jednego domu mieszkalnego, bo wiadomo, że ciało grzeszne najlepiej się martwi w głodzie i chłodzie, natomiast dla uratowania duszy, której ani chleba, ani dachu nie trzeba, zbudowano z „dobrowolnych" składek kościół. Oczywiście praktyka ta świadczy poza wszystkim o swobodzie sumienia, wyznania itd., itd. i wszystko było w porządku. Nie podpisałeś deklaracji — nie dostawałeś pracy. Mogłeś zdychać z głodu, nikogo to nie obchodziło.

Nic tu nie przypomina dawniejszych stosunków. Wokół huty Częstochowa, po 7 latach władzy ludowej wybudowano ponad 20 nowych bloków mieszkalnych, dwadzieścia nowych bloków, ze światłem, kanalizacją, brukiem, jeden hotel robotniczy, a drugi jest w budowie, technikum hutnicze, w budowie jest nowa szkoła. W hucie samej każdy oddział ma obecnie swoją umywalnię, swoje natryski, czyste, wykładane kaflami, i robotnicy przyjmują to jak coś co im się słusznie należy. Nawet oddanie domu dawnego dyrektora, domu składającego się z 18 pokoi na przedszkole dla dzieci robotników huty „Częstochowa", przyjęto jako rzecz jasną i zwykłą, bo komu oddać najlepiej urządzony dom po dyrektorze, zwłaszcza, że się mieści w ogrodzie? Obecny dyrektor huty mieszka w jednym z nowowybudowanych bloków, nawet nie wśród urzędników, tylko wśród robotników transportu.

Obecnego terenu budowy nie ogarniesz wzrokiem. Jeszcze dwa lata temu, gdy przystąpiono do budowy nowego obiektu, niektórzy ludzie, patrząc na usuwane hałdy, kpili uśmiechając się zjadliwie, bowiem widok hałd tak przyległ do krajobrazu wokół dawnej huty, jak skarpa do brzegów Wisły, jak kolumna Zygmunta do Krakowskiego Przedmieścia. Oczywiście porównania moje są niewspółmierne, jednakże błędny byłby pogląd, że tylko przyzwyczajenie wzrokowe wywoływało uśmiech powątpiewania. Często bywa tak, że niewiara we własne siły szuka swego parawanu i może nim być zarówno powątpiewanie, jak i pragnienie odwleczenia tego co jest nieodwołalne. Bowiem nowy obiekt zwany obecnie hutą „Częstochowa" to widomy olbrzymi krok naprzód w uprzemysłowieniu kraju i to co nazwałem oględnie niewiarą było często niechęcią do podjęcia tego właśnie wysiłku.

Zniknęły hałdy. Zaczęto stawiać rusztowania i konstrukcje, powstawały hale olbrzymie, dziś jeszcze świeże czerwienią barwy chroniącej konstrukcje przed korozją, pachnące świeżym lakierem, minią i codziennie, przy rozpoczętej produkcji, pociągi zwożą nowe konstrukcje dźwigane pod niebo olbrzymimi ramionami dźwigów. Tu praca wre nieustannie, nieprzerwanie.

Widziałem stare wielkie piece i oglądałem nowe Marteny. Na starych wielkich piecach, o których robotnicy mówią „nasze dziadki", usprawnienia mogą być dokonywane tylko w przestarzałych ramach techniki, usprawnienia, które w sposób porównawczy mogą być tym, czym dla człowieka w podeszłym wieku jest laska, pomagająca w chodzie, ale która nie przywraca żywotnych sił. Za to nowe wielkie piece, które powstają, i Marteny już pracujące są wytworem techniki do tej pory na naszych ziemiach niespotykanej. Tu widać jak wykształcenie, wiedza, redukują wysiłek fizyczny do zapobiegliwości dyktowanej umysłem, maleje rozpiętość między pracą fizyczną a umysłową. Kto nie opanuje techniki, nie podoła tej pracy, kto nie porzuci dawnych przyzwyczajeń na wyczuwanie dłonią czy wzrokiem tego co się dzieje w piecu, będzie klął i wymyślał i utyskiwał, że teraz praca jest niedobra, a dawniejsza, kiedy wszystko zależało od naskórka dłoni i przyzwyczajeń wzrokowych, była lepsza.

Teraz piec obsługują maszyny, mechanizmy skrupulatne i subtelne, reagujące na każdą zmianę temperatury, na każde drgnienie fali gazu przepływającej przez wnętrze pieca.

Teraz trzeba tak daleko odejść od „dziadków", jak daleko Raków odszedł od Handtkego i człowiek, żyjący w lęku o jutrzejsze zajęcie, do czasów obecnych, kiedy praca woła, wzywa coraz więcej ludzi.

Ludzie huty „Częstochowa" potrafią pracować i to znakomicie, potrafią mobilizować zakład.

Nowe osiedle mieszkaniowe dla robotników huty.

O tym świadczą przygotowania i przebieg akcji zobowiązań ku czci 60-lecia towarzysza Bieruta. Zebranie poświęcone tym zobowiązaniom, mimo że minęły dwa już z górą tygodnie, jest niezapomniane. Huta „Częstochowa" była świadkiem licznych manifestacji, ale tak porywającej, patriotycznej manifestacji na tym terenie jeszcze nie było.

Hala zebrań nie mogła pomieścić wszystkich i ludzie stali na dworze, w marcowym mrozie, na wichrze, by nie uronić nic ze słów przemawiających i być obecnym przy podejmowaniu zobowiązań dla najlepszego syna narodu. Tu powinno paść słowo entuzjazm, ale obok niego należy dodać słowo: rozwaga. Zobowiązania były rozważane na wszystkich oddziałach, które obsłużone zostały przez zespoły złożone z sekretarza OOP, kierownika danego działu, przewodniczącego rady oddziałowej i 2 przodujących robotników oddziału. Na czele wszystkich tych poszczególnych zespołów stanął zespół zakładowy złożony z dyrektora zakładu, sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, przewodniczącego Rady Zakładowej i pięciu pracowników umysłowych do t.zw. papierkowej roboty. Użyłem słów: entuzjazm i rozwaga, bowiem zobowiązania ku czci towarzysza Bieruta mają być wyrazem czci i ukochania, mają Jubilatowi sprawić radość, mają objawić wysoki stopień patriotyzmu załogi „Częstochowy" i dlatego każdy plan, każde przyszłe osiągnięcie związane z nazwiskiem towarzysza Bieruta musi być przemyślane.

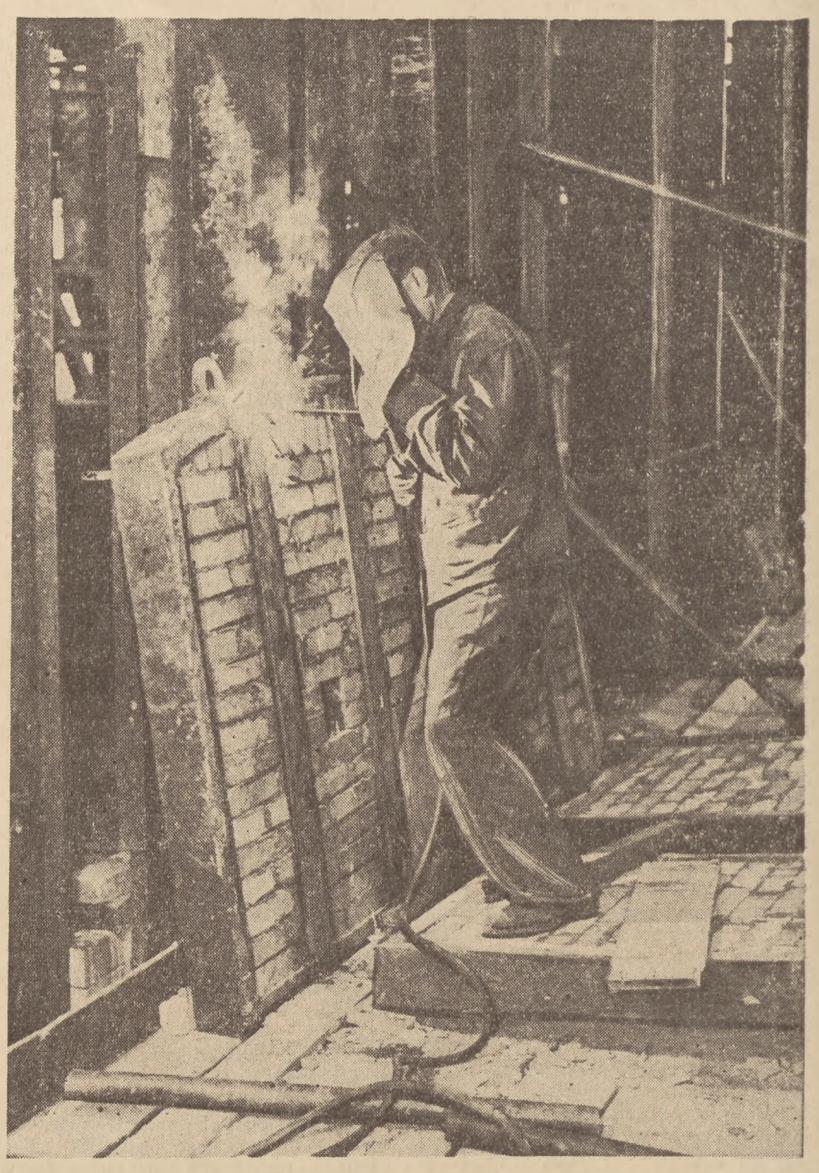

Przed szybkościowym spustem stali...

I tu, w toku przebiegu tej akcji widać, jak robotnicy zrozumieli, że każde ich zobowiązanie, indywidualne czy zespołowe, jest osobistym zobowiązaniem wobec pierwszego Prezydenta Polski Ludowej.

Zobowiązania przyjęły wszystkie oddziały, ja zatrzymam się jednak jedynie przy jednym: przy piecach na Nowej Stalowni. Zobowiązanie brzmiało: skrócić czas wytopów o 10 proc., realnie zaś znaczy to, że jeden wytop na 10 ma trwać poniżej dziewięć i pół godziny, ale aby tego dopiąć piece nie mogą być zdane tylko na swoją pracę. Na sprawne wykonywanie zobowiązań wpływają liczne inne oddziały, w pierwszym rzędzie zaopatrzenie w surówkę i złom i dlatego zobowiązanie pieców znaczy tyle, co podciągnięcie innych oddziałów, nie wyłączając wielkich pieców, transportu, czadnic, obsługi Zimmermanów. Znaczy to tyle co zmienić rytm produkcji całego zakładu i tu rodzi się niepokój załogi. Co będzie, jeśli się wydarzy awaria? Co się stanie, jeśli któregoś dnia zabraknie wagonów, jeśli któregoś dnia jeden piec wypadnie z produkcji, jeśli coś się zepsuje w wiszącej wsadzarce, które suną wzdłuż hali pieców olbrzymie i sprawne, obrotne i zwinne? Na co się skarży obsługa pieców? Powszechnie na brak paczkarki, to znaczy na brak takiej maszyny, która wiotki, czasami cienki i objętościowo wielki, ale na wagę niewielki ładunek tak ściśnie, że wsadzarka będzie mogła przy wykonaniu mniej obrotów, szybciej wypełnić piec.

Dużo było obaw. Dużo było trudności.

Ale już w pierwszych dwu tygodniach okazało się, że wszystkie piece podołały nowej normie. 15 marca wytop trwał już tylko 10 godzin i 20 minut. W dniu 19 marca — 9 minut. Niektóre piece osiągnęły czas rekordowy — 6 godz. i 50 minut. Więcej niż zobowiązanie!

Ale zobowiązanie — i to załoga musi zrozumieć — to nie wyczynowość, to nie mogą być zrywy, to okres nabywania nowych doświadczeń, do których zagrzała załogę wielka rocznica naszego Prezydenta, i chodzi o to, aby doświadczenia raz nabyte utrwalić, umocnić, podnieść na wyższy poziom. Wszyscy robotnicy huty „Częstochowa" postawili sobie zadanie, aby po okresie nowych doświadczeń więcej niż 10 proc. wytopów dokonywać w czasie krótszym od 9 godzin.

Odsetek szybkościowych wytopów można podnieść, jest to zupełnie realne, ale pod jednym warunkiem: jeżeli załoga zrozumie wielkość zadań jakie stoją przed nami.

I tu należy wysunąć pewne zastrzeżenia: Doświadczenia wyniesione z 2 wyborczych zebrań partyjnych wskazują na to, że jeszcze nie wszyscy członkowie partii dostatecznie zrozumieli wagę szkolenia ideologicznego; szwankuje ono wyraźnie, niedostateczna ilość członków partii bierze w nim udział i przyczyn wielu niedociągnięć należy szukać nie poza zakładem, tylko na terenie, wśród siebie, w braku pełnego zrozumienia znaczenia politycznego szkolenia.

A przecież są dowody na to, że wykonano wiele prac, które wydawały się niewykonalnymi i to tylko dlatego, że wielu ludzi stoi na wysokości zadania.

Przecież są wśród załogi ludzie partyjni i bezpartyjni, którzy pracują po 14 i 16 godzin i uważają to za zupełnie normalne, skoro niektóre oddziały są pod planem i należy doścignąć czas, który uchodzi i zaświadczy o niewypełnieniu zadań.

To się może zbyt często powtarza, owo zdanie: my jesteśmy gospodarzami. Ale tu — w hucie „Częstochowa" — ich widać! Wiecznie są w ruchu, krążą po całym terenie, służąc radą i uwagami. Technicznego dyrektora huty „Częstochowa", towarzysza Zdunkiewicza, szukałem przez trzy dni i nie mogłem się z nim rozmówić, bo nigdy go nie było za biurkiem. Tutaj sekretarz OOP, towarzysz Basiak, wyciągnie z zanadrza pękaty portfel wypełniony, wbrew ustalonym literackim schematom, nie fotografiami rodzinnymi, tylko najcenniejszymi notatkami dotyczącymi produkcji. Najzwyklejszego notesika z uwagami o przebiegu dnia pracy nie chowa w kieszeń, tylko do portfelu, gdzie spoczywa obok najdrogocenniejszego dokumentu: obok legitymacji partyjnej.

Tutaj w hucie „Częstochowa" I-szy spawacz w Polsce, kobieta, towarzyszka Anna Mostek, opowiadając na zebraniu partyjnym swój życiorys, opowie w skrócie dzieje kobiety-robotnicy, poniżonej, wyzyskiwanej, źle traktowanej. I nie tylko Anna Mostek weszła śmiało do huty, w nowe życie, w niezależność. Wysoko, wysoko nad torami, nad piecami hutniczymi, pod stropem oszklonym na olbrzymich suwnicach magnesowych, na suwnicach złomowych jeżdżą kobiety: Puchała Zofia, Kowalska Zofia, Kasprowicz Zofia, Olszewska Irena, Stoińska Helena, Sobota Maria i Gawin Janina; Gawin Janina, która tu przybyła z fabryki i to trzeba na chwilę zostawić domyślności czytelnika... z fabryki guzików! Zarabiają tyle co mężczyzna, są harde, odcinają się ostro dogadującym, są dowcipne, wesołe.

Tutaj — w hucie „Częstochowa" dyskusja o projekcie naszej Konstytucji, rozmowy o wydarzeniach politycznych są żywe, napełnione głęboką życiową treścią. Wojna bakteriologiczna na dalekiej Korei znajduje żywy oddźwięk, bo towarzyszka Mieszała opowiada na masówce, że mąż jej zawleczony przez hitlerowców do Oświęcimia pod koniec 1944 roku, zdołał wprawdzie wrócić do domu, ponieważ wyzwoliły go z obozu wojska radzieckie, ale zmarł po kilku latach męczarń, ponieważ hitlerowcy wpędzili mu w krew malarię.

Dlatego wszystkie zobowiązania ku czci 60-lecia towarzysza Bieruta stały się zobowiązaniem serdecznym, osobistym i zostaną wykonane jak wówczas, gdy się przyrzeka wykonać coś dla Człowieka, którego się kocha.

Stanisław Wygodzki

„Do Towarzysza Bieruta". *Rys. Ignacy Witz*

WŚRÓD KSIĄŻEK

Z HISTORII CZERWONEGO ZAGŁĘBIA

Monika Warneńska: „Czerwona kokarda". Wyd. Min. Obr. Narod., Warszawa, 1952, wyd. II; str. 174.

Już sam fakt, że jest to drugie wydanie książki o nakładzie 50 tys. egzemplarzy świadczy o tym, jak została ona przyjęta i oceniona przez czytelnika. Zbiór opowiadań, który wyszedł pod tytułem „Czerwona kokarda" poświęcony jest rewolucyjnej walce górników śląskich. Bohaterem zbiorowym jest proletariat Czerwonego Zagłębia. „Z autentycznych wspomnień ludzi Zagłębia, z dokumentów, świadectw — powstały te opowiadania..." — pisze Warneńska. Obejmują one okres od 1918 roku, kiedy górnicy pod kierownictwem SDKPiL występują do walki przeciw kapitalistom, której ostatecznym celem jest ujęcie władzy przez proletariat. Na wzór rewolucyjnej Rosji tworzą się Rady Delegatów Robotniczych, powstaje Czerwona Gwardia — pierwsze zaczątki robotniczej władzy. Strajki i demonstracje obejmują całe Zagłębie — robotnicy występują jako zorganizowana siła.

O tym właśnie okresie potężnych rewolucyjnych zrywów pisze autorka w opowiadaniach „Łuna nad Zagłębiem", „Godzina czynu", i „Czerwona kokarda" — a pisze rzeczywiście porywająco. Niepodległą, kapitalistyczną Polskę ujrzał proletariat, a z nim powstańcy śląscy, w broni wymierzonej do robotników przez policję i wojsko broniące interesów wyzyskiwaczy. Dalsze opowiadania obejmują już okres stabilizacji burżuazyjnego systemu i jego faszyzację, co oznaczało dla robotników terror policyjny i klęskę bezrobocia.

„Barykady w podziemiu" są najlepszym opowiadaniem z tego cyklu. Tematem jest sławny „strajk polski" 1932 r. w kopalniach zagłębiowskich „Klimontów" i „Mortimer", który wywołał strajki solidarnościowe w kraju i akcje protestacyjne górników Francji i Belgii. Na wiadomość o decyzji kapitalistów zatopienia kopalni celem uzyskania bardziej „opłacalnych" cen, robotnicy postanawiają nie dopuścić do wykonania tej zbrodni. „...Klimontów zbiera wszystkie siły do rozgrywki, w której stawką jest górniczy los..." pod kierownictwem KPP został zorganizowany strajk okupacyjny, a w kilka dni później na wieży szybowej załopotała czarna chorągiew — górnicy ogłosili głodówkę. Po czternastu dniach strajku, dzięki swej nieugiętej postawie i solidarności, robotnicy zwyciężają.

Opowiadania są rozbite na krótkie fragmenty, które pozwalają autorce na wielostronne pokazanie akcji.

Warneńska pisze bardzo żywo i bezpośrednio, rzeczy największe wyraża prostymi słowami. Dzięki temu uniknęła w podatnym bardzo temacie sztucznego patosu, wydobywając rzeczywisty patos walki i bohaterstwa.

A. B.

POWIEŚĆ O WROGACH

Wanda Melcer: „Ameryka szuka piechura". Wyd. Min. Obr. Nar., Warszawa, 1951 r.

Autorką książki jest Wanda Melcer, tytuł, ciekawie ujęty — brzmi: „Ameryka szuka piechura". Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie okładka projektu St. Styczyńskiego, na której figuruje drab o demonicznych oczach, z dolarami sterczącymi z kieszeni (tak nie wyglądają ci „panowie") — to wystarczy, żeby powiedzieć: szmira — i w ogóle nie otworzyć książki.

Autorka podjęła temat bardzo ważny, który powinien znaleźć szerszy wyraz w naszej literaturze. Pozycja ta jest poważnym krokiem naprzód w twórczości W. Melcer. „Ameryka szuka piechura" — to książka o próbie prowadzenia w Polsce akcji dywersyjnej przez amerykańską agenturę. Książka jest odpowiedzią autorki na procesy polityczne 49 i 50 roku, związane z wykryciem sieci szpiegowskich. „Bohaterem" jest przysłany „na robotę" do kraju były obszarnik, działacz przedwojennej endecji, zwolennik teorii „międzymorza", były agent hitlerowski, obecnie na usługach amerykańskiego wywiadu (bez trudu można odszukać autentyczne zaplecze tej postaci). Wszystkie inne postacie, zamieszane w akcję szpiegowską (obszarnicza baronówna, knajpiarz, spekulant, kułak, volksdeutschka—sztubowa z Gross-Rosen), są również dobrze zarysowane. Autorka wykazała motywy polityczne i osobiste działalności tych ludzi, ich załamania, jak i całą zgniłą moralność upadającej klasy. Dobrze pokazana jest postać amerykańskiego konsula — głównego dyrygenta całej afery, który z zimną krwią daje załamującemu się nerwowo agentowi cjanek — jako „zabezpieczenie", popychając go świadomie do samobójstwa. „Konsul... likwidować go? Po co się fatygować, kiedy on to sam wykonał o wiele dokładniej?..." — oto jak załatwia się brudne sprawki „czystymi" rękami — prawdziwie po amerykańsku!

Ludźmi stojącymi na straży Ludowej Ojczyzny są major Władz Bezpieczeństwa, Mandy, bojownik walk o Polskę Ludową, porucznik MO Gryk, syn murarza, kościuszkowiec i Aurelka, wiejska proletariuszka, która z analfabetki staje się świadomym obywatelem — ona to dopomaga straży granicznej w schwytaniu dywersanta.

Treścią powieści jest pokazanie akcji dywersyjnej „od podszewki" — jej cele polityczne, ludzi jakimi posługuje się imperializm w walce z młodą demokracją ludową, metody tej walki i wreszcie „plajta". Strona negatywna książki wyszła dobrze — gorzej jest z pozytywną. Autorka, biorąc za głównego bohatera książki dywersanta, przyjmuje założenie: zostawmy wymowę faktom, niech wróg sam siebie demaskuje, sam siebie oskarża. Czy słusznie? Myślę, że niezupełnie. Autorka działa metodą „dowodu nie wprost", to znaczy, że z wypowiedzi wroga wynika afirmacja naszej siły politycznej, doniosłości przemian, jakie się u nas dokonały i dokonują. To jest zręczny i przemawiający chwyt, ale nie do tego stopnia, by stosować go w całej książce. Autorka daje się wypowiadać elementom wrogim, podczas gdy opinia ludzi reprezentatywnych dla naszego społeczeństwa nie znajduje wyrazu. Nawet w kończącej książkę rozmowie majora Mandy z porucznikiem Grykiem, kiedy wszystko staje się jasne a przestępcy ujęci, nawet wówczas nie znajdziemy politycznej oceny wydarzeń, jakiegoś ustosunkowania się do nich już z pozycji tej drugiej, naszej strony barykady. Nie chodzi o kilka sloganowych haseł, ale o pewne emocjonalne danie wyrazu faktom o tak wielkiej wadze politycznej i zaakcentowanie zwycięstwa. Drugi przykład to sprawa sabotażu w fabryce — jaka była reakcja robotników, jaką zajęli postawę, jakie echa w społeczeństwie to wywołało? Nie wiemy. A przecież to sprawa nie do przemilczenia.

A. B.

OPOWIADANIE O CZERWONEJ HUCIE

Tadeusz Kurek — „Świt nad Częstochową", Książka i Wiedza".

Mała książeczka Kurka, pt. „Świt nad Częstochową" pełni bardzo poważne zadanie: opowiada o budowie huty, drugiej w Polsce co do wielkości.

Kiedy czytałam książeczkę o Czerwonej Hucie wydawało mi się, że takich wydawnictw jest u nas dużo, że wszystko to czytałam już kiedyś. Ale, kiedy weszłam do Domu Książki i zapytałam ,jakie mają wydawnictwa informujące o hucie Częstochowa, jakie materiały świetlicowe poświęcone tej właśnie hucie, okazało się, że poza „Świtem nad Częstochową" innych materiałów nie ma. Reportaże M. Jarochowskiej, drukowane w „Przekroju" nie ukazały się w wyd. książkowym. Jest kilka wierszy w „Wiośnie Sześciolatki", które stanowią poetycki reportaż, ale nie mogą przecież zastąpić reportażu prozą, opowiadania, informacji — to nie jest ich zadanie.

Tak więc okazało się, że mała książeczka zapełnić się stara dużą lukę. Może właśnie dla tego, że zbyt wiele pragnie ogarnąć, nie spełnia swego zadania w 100%.

Bo w malutkiej broszurce jest i bohater pozytywny i otaczający go kolektyw, ludzie, którzy nie tylko istnieją w rzeczywistości, ale tworzą rzeczywistość i, oczywiście, materiał dotyczący huty „Częstochowa". Nie brak faktów, te fakty są opracowane literacko — ale...

Ale, o ile nie miałam racji, kiedy zdawało mi się, że takich wydawnictw jest u nas dużo — bo książka Kurka należy do utworów bardzo i doraźnie pożytecznych, o tyle wrażenie, że już kiedyś czytałam coś podobnego nie ustąpiło, mimo głębszego rozpatrzenia się w przedmiocie.

Ujęcie tematu jest bowiem dość szablonowe, opisy (np. opis wejścia Witolda do huty) — nudzą. Dowiadujemy się ze szczegółami, jak dziewczyna podaje Witkowi przepustkę, jak Negut „odpalił papierosa" — trochę to niecierpliwi i niepokoi. Później o przezwyciężeniu przez Witka trudności na kursie betoniarskim informuje nas jedno, jedyne zdanie — i odnosimy wrażenie, że autor nie zawsze operuje słowami z dostateczną ekonomią. A przecież w popularnych wydawnictwach, w takich „małych książeczkach" jest to sprawa szczególnie ważna. I kiedy czytamy o ostatecznej walce kolektywu Neguta o przedterminowe wykonanie planu, opisanej w prostych, odpowiadających tematowi, słowach, widzimy, że autor umie się wyzwolić ze swoich po-dziennikarskich nawyczków, z owych zdawkowych opisów, „odpalanych papierosów".

Z. W.

NOWY DEBIUT

Adolf Lekki — „Przełom". Książka i Wiedza, Warszawa 1951, red. Anna Jakimowicz.

A. Lekkiemu chodziło — jak nas objaśnia w przedmowie — o pokazanie w swojej książeczce, bez żadnych ozdób, w surowej prawdzie, drogi jednej chłopskiej gromady do socjalizacji wsi. Powołując się na autentyzm swoich obserwacji, autor mógłby rozgrzeszać z góry ewentualne przyszłe błędy: „Tak było, a więc musiałem tak napisać". I autor ten błąd omija; nie można zarzucić jego utworowi zbytniego autentyzmu. Z uporządkowaniem materiału daje sobie radę z łatwością. Może nawet ze zbyt wielką łatwością. Opowiadanie jego, to — po dobrym, żywym wprowadzeniu — zbiór prostych, nieskomplikowanych przykładów, ilustrujących poszczególne twierdzenia wiedzy leninowskiej o kolektywizacji wsi. Rozdział (w wymiarach książki Lekkiego lepiej by było mówić „Rozdzialik") — wygląda mniej więcej tak: gospodarz chce przystąpić do spółdzielni, ale — żona nie chce. Trzeba jeszcze przekonać żonę. I oboje do spółdzielni przystępują.

Autor dodaje do tego konkluzję — nie wolno na wsi pomijać wiejskich kobiet. Teza słuszna, przykład jednostkowy jest, ale artyzmu nie ma. Żeby podać podobny przykład, oderwany od życia, nie trzeba znać wsi, wystarczy przeczytać jakąś książkę teoretyczną i wymyślić, za biurkiem, chłopskie nazwiska. Dlatego książka Adolfa Lekkiego jest pusta. Chcąc uniknąć deklaratywnych wypowiedzi — uznał za stosowne nie podawać wcale przełomowych dyskusji. Kiedy np. delegat Partii idzie do Palucha przekonywać jego żonę i przekonywa ją — to dowiadujemy się, jak szedł do chorej gospodyni i jak od niej wracał — ale konkretna, właściwa treść zdarzenia, rozmowy odbywają się niejako przy drzwiach zamkniętych (str. 75—76).

Nie wiemy, jakie argumenty przemówiły do Paluchowej, a to nas najwięcej interesuje. Żaden agitator wiejski nie będzie się mógł wzorować na agitatorze z „Przełomu" — i to jest wielka słabość książki. Chciałoby się przypomnieć autorowi, że praca literata wymaga artystycznej, bystrej obserwacji, że nie wystarcza teoretyczna znajomość marksizmu. Taka literatura nie jest łatwa, ale tylko taka literatura spełni swoją rolę.

Z. W.

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ

Józefa Witowska: „Ludzie i nieludzie" (ze wspomnień służącej). Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 143, 1951.

Jest zjawiskiem znamiennym, że po wojnie w naszym piśmiennictwie zaczęły pojawiać się liczne prace o formie zbliżonej do pamiętnika. Forma ta zyskała popularność między innymi dlatego, że jest najłatwiejszą do opanowania i nieledwie zawsze stosowaną przy opisywaniu własnego życia i doświadczeń przez ludzi zajmujących się literaturą przygodną. A pamiętników tych wychodzi teraz wiele.

One to — już w czasie przeszłym — obrazują miażdżące, bezwzględne działanie kapitalizmu. Przekonują nas one naocznie, że zawsze i wszędzie należy stawiać znak równania między ustrojami kapitalistycznymi a nędzą, wyzyskiem, bezprawiem i zwyrodnieniem. Jedną z takich książek-dokumentów uzupełniających naszą literaturę socjograficzną tamtej epoki są pamiętniki służącej Józefy Witowskiej, zatytułowane „Ludzie i nieludzie".

Ojciec Witowskiej był jednym z pięciorga dzieci wdowy na półtorej mordze. Latem żywili się prawie wyłącznie lebiodą i pokrzywami — ale i tej darmo nie dostawali — trzeba było pół dnia odrabiać. Niewiele lepiej powodziło mu się, gdy przeniósł się do miasta. Tam w r. 1899 urodziła się autorka omawianej książki. „Dzieciństwa nie zaznałam uśmiechniętego" — pisze o sobie — „Moją zabawką było kółko do „trajbowania". Już jako małe dziecko musiałam zarabiać. Nie było wyrozumienia nawet u rodziców, skoro mnie, dziecko pięcioletnie, dali na służbę na wieś w ojca strony, do tego samego Niemca, u którego ojciec miał pierwszą służbę. Czternaście kilometrów dreptałam wówczas po śniegu z babcią". Pięcioletni braciszek autorki zostaje również oddany na wieś. Chłopiec był często głodny i dosłownie zżarty przez robactwo.

Niedola dzieci to najbardziej przejmujące, najbardziej oskarżające karty opowiadania Witowskiej: dzieci sezonowych bezrobotnych do trzech lat nie mogące utrzymać się na nóżkach, bo karmione rozcieńczonym mlekiem z sacharyną, dzieci gnące na gruźlicę, chowane w norach, wiecznie głodne, obarczane pracą nad siły — od czwartej rano do nocy w dusznych warsztatach, marznące za straganami z pieczywem, piorące i gotujące, dzieci, sprzedawane przez rodziców na służbę. Żeby zrozumieć cały ciężar krzywdy tych istot trzeba odczuć atmosferę goryczy, znękania, rozdrażnienia i beznadziejności, przytłaczającą rodzinę bezrobotnych. Takie warunki albo łamały i deprawowały charaktery, albo tworzyły typy mocne i wysoce uspołecznione.

Ojcu Witowskiej, jak większości robotników i bezrobotnych, głód i wczesna, nadmierna praca skróciły wydatnie życie. Zostało troje sierot, a wkrótce miała urodzić się czwarta. Kończy się dzieciństwo autorki — ma już prawie siedem lat.

Witowska ma lat 8, kiedy stawia pierwsze kroki na drodze samodzielnej służby. Droga ta prowadzi ją przez domy ludzi różnych narodowości i grup społecznych — od domu sklepikarza Żyda, drobnego kapitalisty Niemca, katolickiego księdza do salonów polskiego ministra. Mając lat 9 służy na przykład u pewnej bardzo pobożnej pani, żony urzędnika państwowego, i tam po raz pierwszy w dotkliwy sposób poznaje podszewkę oficjalnej moralności, religijności, poznaje pogardliwy, nieludzki sposób traktowania dziewcząt odciętych od awansu społecznego i przeznaczonych tylko na „służenie". Do kawy i do zupy dolewano jej wody (ten żywy inwentarz musiał przecież jak najmniej kosztować!). „Chleba dostawałam tylko ogryzki po dzieciach. (Pani...) zbierała kawałki, polewała wodą, słodziła trochę, podawała jak psu. Byłam bardzo wygłodzona, zjadałam to z apetytem...". Chrześcijańska „pani" nie dostrzegała w tym traktowaniu nic niewłaściwego. Rozszerza się krąg doświadczeń młodziutkiej służącej: z jednej strony dlatego, że za każdym zetknięciem z nowymi chlebodawcami opadają łuski złudzeń co do ich moralności, pobożności, głoszonych zasad — z drugiego zaś dlatego, że służba często kończy się szpitalem; już to w skutek anemii z wycieńczenia pracą i wygłodzenia, już wskutek poodmrażania rąk i nóg.

Krytyka i demaskowanie pewnych środowisk przybiera w niektórych rozdziałach („Warszawskie wakacje", „Znów w Warszawie") zdecydowany charakter oskarżania ustroju.

Wskutek wyzysku kształtują się pierwociny świadomości klasowej. Najemnice organizują — w zakresie własnych możliwości — pomoc wzajemną. Ich postawa świadczy już o poczuciu więzi z koleżankami znajdującymi się w tej samej sytuacji.

Wiele z nich zachowało pełną świadomość swojej wartości i praw. Ta świadomość pozwoliła Witowskiej trafnie, klasowo ocenić ustrój społeczny i ludzi go reprezentujących

Danuta Zabłocka-Skupieńska.

WIEŚ W OBRAZKACH

Joanna Żwirska — „Światło". Czytelnik 1951, red. H. Wilczkowa.

Zbiór opowiadań Joanny Żwirskiej świadczy o pewnej już umiejętności operowania słowem. Opowiadania pisane są prostym językiem, łatwym dla ludzi nie bardzo oczytanych. Ta forma obrana została słusznie, ponieważ zbiorek opowiadań jest, sądząc z tematyki, przeznaczony dla wiejskiego czytelnika. Opowiadania, a raczej obrazki z życia wsi, utrzymane są w tak pogodnym tonie, że robią wrażenie sielanek. O trudnościach, o walce mówi się mało. Może dlatego najlepiej wypadły bezpretensjonalne, statyczne obrazki: „Wesele Bronki", „Transparamenty", „Niedźwiedzie pole".

W innych opowiadaniach autorka często redukuje akcję do obrazka, nieraz ze szkodą dla utworu („Droga Doroty"), gdzie wprowadzenie jest bardzo nieprawdopodobne, lub „Dom Agatki", gdzie o Agatce dowiadujemy się w czasie uroczystości dożynek rzeczy, sprzecznych z wprowadzeniem. Ta zupełnie nieuświadomiona chłopka okazuje się nagle, niespodzianie nawet i dla siebie, bojownikiem Armii Ludowej.

Obrazek i prosta narracja, jedyne „chwyty" techniczne autorki „Światła", nie starczają do rozwinięcia akcji, sprzyjają natomiast statycznemu ujmowaniu rzeczywistości, kiedy (np. w opowiadaniu pt. „Okulary Marceliny Wieczorek")) Żwirska pokusiła się opisać głęboką przemianę człowieka, opowiadanie, prowadzone tą właśnie metodą, wypadło słabo. Bodźcem, który spowodował przemianę Marceliny Wieczorek miała być rozmowa z nauczycielką — nawet dwie rozmowy (czy to jednak... nie za mało?). Jedną z tych rozmów słyszymy: powierzchowna, pozbawiona wnikliwego komentarza, niczym przemiany, której jakoby jest przyczyną, nie usprawiedliwia.

W ostatnim, najdłuższym opowiadaniu pt. „Światło" autorka nie może się zdecydować na wybór głównego bohatera, z początku jest nim Kazik, potem Helka, to znowu Jasio, chociaż w założeniu bohaterem powinna być cała wiejska społeczność. Tej żywej gromady jeszcze w opowiadaniu nie ma.

Rysowanie ludzi jedną kreską to rzecz bardzo trudna. I dlatego zanotować trzeba osiągnięcie, jakim jest postać Szczyrego Jasia. Jego historia, podana w lapidarnym skrócie, świadczy o umiejętnej, nie tylko zewnętrznej obserwacji. Dowodzi, że można podnieść wymagania w stosunku do autorki „Światła".

Z. W.

Z WIZYTĄ U WYDAWCÓW

LITERATURA MARYNISTYCZNA*)

Większość z nas, żyjących z dala od Wybrzeża, w zagadnieniach morskich orientuje się słabo. My, ludzie lądu interesujemy się morzem dopiero wtedy, gdy nadchodzi pora wczasów letnich... Nie chcę bynajmniej pasować siebie samego na jakiegoś surowego krytyka, sam bowiem byłem dotąd zaledwie raz w życiu nad morzem, a jedyną wycieczkę morską, jaką odbyłem, wspominać będę z rumieńcami wstydu.

Tak samo jest w literaturze. Jest tylko garstka ludzi wiernych tematom „marynarskim", a zamieszkałych przeważnie na Wybrzeżu. W prasie literackiej, którą czytuję dosyć sumiennie, z ostatnich lat przypominam sobie tylko dwie pozycje poświęcone tym sprawom, mianowicie zasadniczy artykuł *Stanisława Tulegi* „Przed dziewiątą falą w literaturze", drukowany w nr 2 „Nowej Kultury" oraz artykuł Zbigniewa Czajkowskiego „Zamknięte okno marynistyki polskiej", zamieszczony w r. 1950 w tygodniku „Dziś i Jutro". Przeanalizowawszy dotychczasowe blaski i nędze naszej literatury marynistycznej Telega konkludował: „Tematyka morska czeka dopiero na swych pisarzy, którzy by pokazali całe piękno i wielkość romantyki morza... Istnieje w słownictwie morskim wyrażenie, oznaczające silną, dużą falę, która napływa po kilku małych falach. Nazywa się „dziewiątą falą". Na taką „dziewiątą falę" literatury o morzu czeka tysiące ludzi, współtworzących dzisiaj naszą gospodarkę morską."

Od czasu opublikowania powyższych słów upłynął ładny kawałek czasu, a o sprawach morskich w naszej literaturze było głucho, książek o morzu czy też sprawach Wybrzeża prawie ani na lekarstwo... Okazuje się jednak, że nasi pisarze marynistyczni nie przespali tego okresu czasu: zapoznawali się z realiami, pogłębiali swoje doświadczenia i wreszcie — pisali. Ostatnio owoce ich pracy trafiają do rąk czytelników. O tym czy nadeszła wreszcie owa wyczekiwana „dziewiąta fala" zadecyduje po pewnym czasie krytyka literacka, ja ze swej strony poprzestanę na zarekomendowaniu owych pozycyj. Rzecz bowiem w tym, iż maryniści polscy posiadają oparcie — w zakresie możliwości wydawniczych — w Państwowym Przedsiębiorstwie „Wydawnictwa Morskie", a obecnie po reorganizacji w Dziale Żeglugi Wydawnictw Komunikacyjnych. Chciałbym jednak wyjaśnić od razu, że przedsiębiorstwo owo zajmuje się przede wszystkim wydawaniem ściśle fachowej literatury morskiej, produkcja literatury pięknej stanowi jedynie margines jego zainteresowań i kompetencji.

„Wydawnictwa Morskie" wydały w końcu ubiegłego roku kilka pozycyj beletrystycznych, które obecnie ukazują się stopniowo na półkach księgarskich, i dlatego niewielu wie jeszcze o nich. Wśród nich wymienić trzeba powieść *Franciszka Fenikowskiego* „Zakręt pięciu gwizdków". Fenikowski, znany dotąd jako poeta, redaktor dodatku literackiego „Dziennika Bałtyckiego" — zadebiutował tym razem jako prozaik. „Zakręt pięciu gwizdków" — to historia ludzi związanych z wodowaniem pierwszego polskiego rudowęglowca — „Sołdka". Bohaterowie tej powieści to w większości pracownicy stoczni i portu gdańskiego. Następną pozycją jest powieść *Ireny Przewłockiej* „Światło na maszcie". Książka ta — blisko czterysta stron licząca — powstała jako rezultat kilkomiesięcznego udziału autorki w rejsie jednego ze statków typu „Lewant" na Morze Śródziemne; ukazuje ona dojrzewanie kolektywu załogi statku w procesie rozwoju socjalistycznego współzawodnictwa i utrwalenia się jego różnorodnych form. *Józef Balcerzak* debiutuje zbiorem reportaży „Oczami marynarza". Ten tom barwnych reportaży o tematyce zaczerpniętej głównie z rejsów śródziemnomorskich wydany został bardzo starannie, że wspomnimy o bogatej stronie ilustracyjnej oraz ciekawej kompozycyjnie okładce Zdzisława Króla.

„Wydawnictwa Morskie" wydały również pierwszy polski poemat morski, pochodzący z XVII w. pt. „Morska nawigacja do Lubeki" pióra *Marcina Borzymowskiego*, w opracowaniu prof. Pollaka. Poemat 17-towiecznego marynisty morskiego — nie pozbawiony dziś jeszcze walorów artystycznych — zainteresuje niejednego czytelnika.

Zamierzenia Działu Żeglugi Wydawnictw Komunikacyjnych na rok 1952 — chociaż z konieczności, ze względu na profil przedsiębiorstwa, ograniczają się do niewielu pozycji — przedstawiają się nie mniej interesująco. Wymieńmy na początek dwie pozycje dotyczące problemu ratownictwa morskiego, mianowicie: reportaż *Kazimierza Zagórnego* „Jak oddano pancernik Gneisenau pokojowemu budownictwu" — opowiadający o bohaterskiej i ofiarnej pracy ludzi z „Polskiego Ratownictwa Okrętowego" — oraz powieść „Wrak 103" *Zofii Meissnerówny*. *Lech Bądkowski* wydał powieść „Kutek na strądzie", opisującą dzieje powstania i rozwoju spółdzielni rybackiej. „Wydawnictwa Komunikacyjne" wydadzą również w roku bieżącym dwa ciekawe zbiory reportaży: tom *Eugenii Kochanowskiej-Wiśniewskiej* „Morscy pracownicy nauki", poświęcony pracy uczonych wydatnie pomagających naszej gospodarce morskiej, oraz *Ireny Przewłockiej* zbiór reportaży morskich, zatytułowany „Lewantem przez siedem mórz".

Na zakończenie warto wspomnieć o kilku pozycjach z pogranicza literatury. By ukazać sylwetki ludzi, którzy w walce o socjalistyczną gospodarkę morską mogą się pochlubić dużymi osiągnięciami — wydanych zostanie kilka zbeletryzowanych broszur o wybitnych racjonalizatorach w naszym resorcie morskim, jak Madrycki, Jaworek czy Kosz. O ofiarnej pracy naszego rybołówstwa morskiego opowie broszura Adama Krzepkowskiego „Kuter „Arka 121" i jego młodzieżowa załoga". Na tym zamyka się lista pozycji zawartych w planach wydawnictwa.

Opracował **Grze-ski**

*) Dział Żeglugi Wydawnictw Komunikacyjnych (dawne Wydawnictwa Morskie PPW).

KORESPONDENCJA

O WIELKI TEMAT

Rewolucyjne zmiany i przeobrażenia, jakie zachodzą w naszym kraju, znajdują coraz pełniejsze odbicie w literaturze. Zdawałoby się, że „literackie spojrzenie" nie pominęło żadnego odcinka... A jednak tak dobrze jeszcze nie jest, bo co np. napisano dotychczas o szkolnictwie, o nauczycielstwie, o wyższych uczelniach? Nic albo prawie nic.

Prezydent Bierut w orędziu noworocznym mówi:

...„czyż każdemu z nas nie rośnie serce na widok dziesiątków i setek tysięcy naszej młodzieży, śpieszącej codziennie do naszych szkół i liceów, politechnik i uniwersytetów, których podwoje były dawniej dla niej zamknięte na trzy spusty". Pisarzom widać nie bardzo rośnie serce. Ani jednej książki nie napisano o życiu i pracy młodzieży szkolnej i studiującej, o nauczycielstwie. Szkolnictwo to nie jest akt jednorazowy, polegający na zmianie układu socjalnego studentów albo na reformie przestarzałego programu — to długi i bogaty proces. Jest więc o czym pisać!

Roman Wójcik
(Kraków)

ZAPOMNIELIŚMY O TŁUMACZCE

Zawiadamiamy niniejszym, że w wydanym przez nas przekładzie książki Sterna „Heine poeta rewolucji" opuszczono na skutek przeoczenia redakcji na odwrocie karty tytułowej nazwisko Marii Leśniewskiej, tłumaczki wierszy Heinego, zamieszczonych w tekście.

Dział Literatury Pięknej „Książki i Wiedzy"

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE
Prasę Radziecką
PRENUMERATE PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE ODDZIAŁY P·P·K RUCH

U PRZYJACIÓŁ

(Przegląd prasy radzieckiej)

METODA CHIRURGA PIETROWA

Przed kilku laty do Instytutu imienia Sklifosowskiego w Moskwie przywieziono młodą kobietę, która na skutek nieszczęśliwego wypadku została pozbawiona skóry na głowie, szyi, plecach i biodrach — na ogólnej przestrzeni trzech tysięcy dwustu centymetrów kwadratowych. Po to, aby wyobrazić sobie, z jak ciężkim przypadkiem miano do czynienia, wystarczy powiedzieć, że cała powierzchnia ludzkiego ciała wynosi około szesnastu tysięcy centymetrów kwadratowych. Stan pacjentki był wyjątkowo ciężki, dziesięć-piętnaście lat temu zostałby na pewno uznany za beznadziejny. Niemniej jednak po kilku miesiącach ofiara wypadku została wypisana z Instytutu jako osoba zdrowa.

Jak się to stało?

Uczeni od dawna próbowali przeszczepiać skórę ze zwierząt albo z osób niedawno zmarłych — na ludzi żywych, ale próby tego rodzaju nie doprowadzały do niczego. Postawiono hipotezę, że być może uda się przeszczepić skórę bliskich krewnych, ale i te próby nie doprowadziły do niczego. Na podstawie wielu doświadczeń stwierdzono, że tylko własna skóra przyrasta na uszkodzonym miejscu. Skrojenie specjalnym aparatem skóry grubości do jednego milimetra nie przynosi człowiekowi szkody. Więcej nawet. Powierzchnia, z której zdjęto skórę, prędko pokrywa się nową warstwą i już po dwóch tygodniach można zdejmować nowy płat z tego samego miejsca.

Profesor B. A. Pietrow i kolektyw chirurgów Instytutu imienia Sklifosowskiego, opierając się na nauce Pawłowa, dowiedli, że transplantacja skóry da efekt tylko w warunkach działania na cały organizm chorego.

Od tego właśnie rozpoczęło się leczenie chorej, o której wspomniano wyżej. Przede wszystkim naznaczono jej dietę białkową, która miała na celu wzmocnienie organizmu. Niemałe znaczenie odegrały transfuzje krwi. Ogółem chorej przetoczono dwadzieścia litrów krwi. Dopiero wtedy, kiedy organizm dostatecznie się wzmocnił, przystąpiono do transplantacji skóry. W czasie kilku operacji przeszczepiono siedemnaście płatów po dwieście centymetrów kwadratowych każdy.

Za opracowanie metody transplantacji skóry przy dużych uszkodzeniach profesorowi Pietrowowi została przyznana Nagroda Stalinowska.

(*„Litteraturnaja Gazieta"* nr 36 z dn. 22.III.1952)

KOLEKTYW A MORALNOŚĆ JEDNOSTKI

list czytelnika i odpowiedź pisarza

„Litieraturnaja Gazieta" w numerze 139 z 1951 roku opublikowała listy czytelników, którzy, porównując obserwacje z życia z niektórymi utworami współczesnej literatury radzieckiej, poruszają szereg poważnych problemów, dotyczących zagadnień etyki i moralności. Między innymi zamieszczono list czytelnika A. Minko, skierowany do W. Dobrowolskiego i dotyczący jego powieści „Żenia Masłowa". Odpowiedź W. Dobrowolskiego ukazała się w jednym z ostatnich numerów pisma. Poniżej zamieszczamy fragmenty z listu A. Minko i z odpowiedzi Dobrowolskiego.

A Minko pisze: „Nasze organizacje społeczne to nie biurokratyczne urzędy, lecz kolektywy obowiązane do kierowania życiem swych członków. Zapominają o tym niektórzy pisarze.

Czasem w książkach, poruszających zagadnienie moralności osobistej, powołanych — jakby się wydawało — do potwierdzania postulatu o aktywnym oddziaływaniu kolektywu na życie swych towarzyszy, ta strona zagadnienia nie jest należycie oświetlona.

Na przykład w powieści W. Dobrowolskiego „Żenia Masłowa" pisarz odgradza osobiste życie swych bohaterów od wpływu środowiska. Towarzysze Żeni wiedzą, jak ciężko przeżywa ona swój rozwód z mężem, znają skomplikowane związki, jakie łączą ją z kapitanem Waszakidze. I ani słowem, ani czynem nie przychodzą jej z pomocą. Pisarz, pokazując towarzyszy Żeni jako dzielnych i sympatycznych ludzi, jak gdyby pochwala ich obojętność wobec Żeni. I stwierdza, chcąc czy nie chcąc, że tak właśnie był powinno.

Tak być nie powinno! Obojętność kolektywu na losy towarzysza prowadzi czasem do niemoralnych i brudnych czynów".

Dobrowolski odpowiada: „Zagadnienie, postawione przez towarzysza Minko, jest słuszne i aktualne. Jednakże według mnie należy je rozpatrywać szerzej i głębiej: nie tylko jako zagadnienie tak zwanej moralności osobistej, ale jako zagadnienie komunistycznej moralności w pełnym znaczeniu tego słowa i roli kolektywu w komunistycznym wychowaniu jednostki.

W związku z tym wydają mi się nieco jednostronne i te w zasadzie słuszne żądania, które stawia towarzysz Minko radzieckiej literaturze. Walcząc o prawdziwe odzwierciedlenie wzajemnych stosunków między kolektywem a rodziną, między społecznym a osobistym życiem członków kolektywu, towarzysz Minko ogranicza krąg literackich utworów „powołanych... do potwierdzania postulatu o znaczeniu aktywnego oddziaływania kolektywu na osobiste życie towarzyszy", utworami, które zajmują się zagadnieniami „życia w rodzinie".

Wydaje się, że wypowiedź towarzysza Minko, to nie przejęzyczenie, lecz mimowolne uleganie niesłusznej tendencji, której poddają się także niektórzy nasi pisarze. Czytelnik ma prawo żądać od autora wielostronnego, głębokiego, prawdziwego obrazu życia ludzi radzieckich, przy pracy i w domu — i takie żądanie można wysuwać jednakowo wobec wszystkich utworów, niezależnie od tego, ile miejsca zostało w nich poświęcone „zagadnieniom osobistej moralności". Przecież ludzie radzieccy żyją bogatym, różnorodnym życiem, w którym są organicznie połączone praca zawodowa i społeczna, nauka, odpoczynek i wychowanie dzieci. I stwarzanie sztucznych przegródek między pracą w produkcji a tak zwanym życiem osobistym radzieckiego człowieka to przede wszystkim zniekształcenie prawdy życiowej.

Oderwanie spraw życia rodzinnego od innych stron życia i działalności człowieka doprowadza pisarza do sztucznego rozwiązywania konfliktów osobistych, przy czym często bohaterowie postępują nie według swego charakteru, lecz według przymusu autora, według schematu.

Bezsprzecznie do zagadnień „rodzinnych" w naszej literaturze należy podchodzić z punktu widzenia moralności komunistycznej, ponieważ wychowywanie w duchu tej moralności jest świętym obowiązkiem naszej literatury. Ale mnie się wydaje, że wpływ kolektywu na swego towarzysza zaczyna się nie wtedy, kiedy ten towarzysz popełnia błąd czy omyłkę, lecz znacznie wcześniej. Właśnie w tym jest rękojmia powodzenia kolektywu."

Z zarzutami pod adresem „Żeni Masłowej" Dobrowolski się zgadza.

Publiczna korespondencja pomiędzy czytelnikiem a pisarzem należy do częstych zjawisk na łamach prasy radzieckiej, niezmiernie wzbogacając problematykę krytyczno-literacką i ogólną.

I. L.

DZIWY ATLANTYCKIEJ KULTURY

RECEPTA NA ODRODZENIE LITERATURY

„Jedynym niedomaganiem naszej współczesnej literatury jest niedostatek złośliwości, zawiści i nienawiści". Z przemowy **Jamesa Jones**, autora dzieła pt. **„Aż do wieczności"**, wygłoszonej przy okaji wręczenia mu państwowej nagrody literackiej Stanów Zjednoczonych.

CO W SENACIE USA WIEDZĄ O EUROPIE

„Przychodzą codziennie. Jeden z nich — nie powiem wam, z którego stanu — chciał wiedzieć, dlaczego Wiedeń bywa czasem nazywany Belgradem, czasem Budapesztem albo Bukaresztem".

(Z komentarza korespondenta Senatu USA na Europę — **Aleksandra Kendricka**).

KIEPSKI STAN RZECZY

„W przyszłości, gdy człowiek nauczy się w pełni kontrolować swoje niepohamowane impulsy, nadejdzie czas, gdy narządy płciowe ulegną całkowitej atrofii i zanikną, a rodzaj ludzki będzie się reprodukował przy pomocy krtani, przekształconej w taki sposób, aby mogła wypowiedzieć twórcze słowo... Do tej pory musimy się zadawalniać istniejącym obecnie kiepskim stanem rzeczy". (Z pisma periodycznego **The Church Militant"** — Kościół Wojujący).

APATYCZNI SPRZYMIERZEŃCY

„Istnieje niebezpieczeństwo, że sprzymierzeńcy Stanów Zjednoczonych będą się uważać za część imperium amerykańskiego i rozwiną ów specyficzny rodzaj niezadowolonej bierności, który jest typowy dla krajów kolonialnych". Z artykułu **Stefana Spendera, „New York Times Magazine"**.

BIBLIE ZA ARMATY

„Biblie dopomagają Brytanii w zbrojeniach. Duże ilości egzemplarzy Pisma Świętego, drukowanych przez brytyjskich wydawców dla rynku amerykańskiego, dopomagają poważnie w wyścigu zbrojeń, umożliwiając wwóz stali, potrzebnej w wytwórniach armat, czołgów i samolotów bojowych". (Z angielskiego czasopisma **„Reveille"**).

TECHNIKA ŚCISŁEJ INFORMACJI

„New York Times" drukuje wzmiankę pod następującym tytułem:

„SOWIETY NIE MOGĄ SKOŃCZYĆ BUDOWY DWÓCH ELEKTROWNI".

Oto zaś co zawiera wzmianka umieszczona pod tym tytułem:

„Obydwie elektrownie w Kujbyszewie i Stalingradzie, podobno wykonały plan, czy też nawet wykonały go z nadwyżką". (**„New York Times"**).

MIŁY ODPOCZYNEK OD AMERYKAŃSKIEGO STYLU ŻYCIA

„Według opinii doktora Karola Sweete, niedawno zdymisjonowanego naczelnego lekarza osławionego amerykańskiego więzienia Sing-Sing, więźniom powodzi się lepiej, niż wielu ludziom na swobodzie w obecnych czasach. Odpowiednio uregulowany tryb życia chroni ich od nerwowego napięcia. Odżywienie, ubranie, mieszkanie i odpoczynek są zagwarantowane; nie mają oni ani okazji, ani ochoty męczyć się w wyczerpującym wyścigu o zdobycie pieniędzy i zaspokojenie ambicji, jak to czynią Amerykanie na swobodzie". (**U. S. Liberty Magazine"**).

ROZGRZEWANIE ZIMNEJ WOJNY

„Elegancko ubrana Angielka, wysiadając z pociągu w Mediolanie, wymierzyła bez słowa policzek kierownikowi stacji, tragarzowi i strażnikowi kolejowemu. Oświadczyła policji, że uczyniła to w formie protestu przeciwko chłodnemu przyjęciu, z jakim się wszędzie we Włoszech spotkała". (Z reportażu w tygodniku angielskim **„People"**).

G. Bll.

I KTO TO MÓWI?

W marcowym numerze francuskiego miesięcznika literackiego „La Table Ronde" stały współpracownik tego pisma, znany krytyk Thierry Maulnier (znany zresztą jeszcze z czasów okupacji, gdy współpracował wiernie z „Action Française", monarchistyczną gadzinówką Maurrasa) snuje swe w miarę ponure rozważania na temat sloganów używanych przez burżuazję do walki z komunizmem.

I tak na przykład — ubolewa Maulnier — długo szermowano hasłem: „Komuniści — to wrogowie własności!" nie zastanawiając się zgoła nad tym, że przecież masy ludowe nie składają się z fabrykantów, właścicieli ziemskich i kamieniczników, że tego rodzaju slogany bynajmniej nie budzą w nich „świętej nienawiści" do komunizmu.

Czy nie byłoby więc popełnianiem tego samego błędu, zapytuje Maulnier, **„wypisywanie na sztandarach antykomunistycznej krucjaty słów „wolność" i „kultura", podczas gdy na obecnym etapie rozwojowym naszego ustroju społecznego, dla tych ludzi** (których mamy porwać za sobą) **słowo „wolność" i słowo „kultura" nie odpowiada niczemu, albo prawie niczemu".**

I nam się tak zdawało, aleć zawsze lepiej mieć poparcie takiego autorytetu w sprawach kultury atlantyckiej jak pan Thierry Maulnier.

JAK AMBASADOR USA ORGANIZUJE WYBORY W GRECJI

czyli nowe formy parlamentaryzmu („Le Monde" — Paryż)

Rząd grecki zaprotestował przeciw oświadczeniu ambasadora Stanów Zjednoczonych w Atenach, p. Peurifoy, sprzeciwiającemu się przywróceniu prawa proporcjonalności wyborów w Grecji, które jak wyraził się p. Peurifoy, mogłoby mieć „katastrofalny wpływ na dobre wykorzystanie pomocy amerykańskiej"...

Ogółem biorąc, grecka opinia publiczna ustosunkowała się przychylnie do tego oświadczenia, ale prasa opozycyjna skorzystała z niego, by znów zaatakować rząd.

ZNÓW USŁYSZYMY ZNANY BARYTON: „OBERKOMMANDO DER WEHRMACHT GIBT BEKANNT"...

Takim podtytułem opatruje „France-soir" wiadomość o powrocie do pracy dr Otto Dietricha, zastępcy Józefa Goebbelsa, szefa biura prasowego Trzeciej Rzeszy. Dietrich jako wice-minister Propagandy występował osobiście na konferencjach prasowych, organizowanych z okazji „wielkich zwycięstw". Ubrany był wtedy, jak przypominają naoczni świadkowie, w mundur SA-Sturmbahnführera, ze sztyletem w perłowej oprawie przy boku i z orderem „Krzyża Żelaznego" na piersi; w kostiumie tym odczytywał skandowanym barytonem, komunikaty o niemieckich tryumfach, zredagowane w kwaterze samego Führera. Enuncjacje te, nagrane na taśmę, były następnie nadawane na wszystkie strony świata przez hitlerowskie radio.

Począwszy od 26 października 1951, Otto Dietrich jest urzędnikiem rządu w Bonn; ostatnio został mianowany redaktorem dziennika politycznego „Mitteilung". Jest to jedno z pięciu oficjalnych wydawnictw adenauerowskich, reprezentujące sławną „DKV", centralną organizację producentów węgla okręgu Ruhry. „Dietrich ma w tej chwili 54 lata — pisze dosłownie „France-soir" — i może mieć nadzieję, że będzie jeszcze służył idei politycznej której poświęcił swoje życie".

W związku z tym mianowaniem, które wywołało zrozumiałą sensację, dziennikarz z „New York Timesa", Drew Middleton, przeprowadził dokładną ankietę na temat zatrudnienia hitlerowców (tj. byłych członków NSDAP) przez rząd w Bonn. Middleton podał rezultaty tego wywiadu w formie obiektywnego sprawozdania bez komentarzy. W samym tylko Ministerstwie Spraw Zagranicznych pracuje stu trzydziestu czterech byłych członków partii. Jest to dwukrotnie więcej, niż za czasów Ribentroppa — ten bowiem unikał obsadzania placówek wyłącznie hitlerowcami, w przekonaniu, że nie będzie to właściwym posunięciem taktycznym wobec opinii innych krajów.

Middleton pisze, że zapytywał różnych urzędników alianckich, co o tym sądzą. Opinia Brytyjczyków jest dość jednolita — twierdzą oni, że jest to „niemoralne", lecz należy rządowi w Bonn pozostawić wolną rękę w oczyszczaniu sumień niemieckich i okazać Adenauerowi zaufanie. Jedynie Francuzi są oburzeni; pewien urzędnik-Francuz powiedział Middletonowi, że wkrótce dawni hitlerowcy będą liczniejsi w rządzie w Bonn, niż anty-faszyści.

„Wszyscy Amerykanie — podaje Middleton — są natomiast zdania, że hitlerowcy przestali być szkodliwi". Podobnie wyrażają się w Niemczech byli hitlerowcy dodając jako wytłumaczenie, że jedynie dawni urzędnicy Führera przygotowani są zawodowo do swoich funkcji, nowi bowiem działacze nie zdążyli się wykształcić w okresie powojennym, zaś w czasie wojny i panowania Hitlera innych specjalistów nie było.

Wiadomość o obsadzeniu ministerstw w Bonn przez hitlerowców podało następnie radio monachijskie w dwóch audycjach w ciągu marca.

W MINISTERSTWIE SPRAW ZAGRANICZNYCH W BONN JEST WIĘCEJ HITLEROWCÓW NIŻ ZA CZASÓW FÜHRERA

(Wiadomość podana przez radio monachijskie)

Osiemdziesiąt pięć procent urzędników ministerstwa spraw zagranicznych Bonn, to dawniejsi faszyści. Jest to procent wyższy od liczby członków partii wśród personelu na Wilhelmstrasse w okresie Hitlera. Wiadomości te zostały podane w poniedziałek wieczór, w audycji radia monachijskiego. Komentator radia bawarskiego oskarżył następnie Herberta Blankenhorna, dyrektora w ministerstwie spraw zagranicznych, Wernera von Grundherr, ambasadora Niemiec zachodnich w Atenach, odpowiedzialnego za deportację skandynawskich Żydów, i chargé d'affaire Wernera von Bargen, który zorganizował grabież Belgii przez Niemców podczas okupacji.

Jak podaje radio, parlamentarna komisja śledcza, badając tę sytuację, jest bliska odkrycia największego skandalu w Niemczech po wojnie.

Radio Monachium podało jeszcze następujące szczegóły: „Na dziewiętnastu kierowników wydziału personalnego, czternastu jest byłymi członkami partii NSDAP; wśród dziesięciu kierowników wydziału spraw politycznych, siedmiu jest hitlerowcami partyjnymi.

Kto śmie przeczyć, że nasz budżet nie przewiduje poważnych sum na kulturę?

Z TYGODNIA

W KRAJU

POLSKA AKADEMIA NAUK ROZPOCZĘŁA SWĄ DZIAŁALNOŚĆ

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej powołał w dniu 10 b.m. pierwszy skład członków Prezydium Polskiej Akademii Nauk. Prezesem PAN został mianowany profesor doktor Jan Dembowski.

Natychmiast po powołaniu Prezydium Polska Akademia Nauk rozpoczęła swą działalność. Do głównych zadań PAN należy czynne współdziałanie w realizacji Planu Sześcioletniego, co oznacza umocnienie powiązania nauki teoretycznej z praktyką gospodarczą i społeczną. Akademia opracowuje również plany współpracy z instytucjami naukowymi innych krajów, w pierwszym rzędzie ZSRR i krajów demokracji ludowych.

NA WIEŚĆ O WSPANIAŁYM DARZE ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

dla narodu polskiego — jakim jest 30-piętrowy Pałac Kultury i Nauki — Zarz. Główny Zw. Zaw. Pracowników Sztuki i Kultury uchwalił rezolucję, w której w imieniu 35 tys. pracowników teatru, filmu, radia i muzyki wyraża radość i najgłębszą wdzięczność narodowi radzieckiemu, rządowi ZSRR i tow. Stalinowi. Listy z serdecznymi podziękowaniami do Generalissimusa Stalina wysłali również pracownicy Zarz. Głównego RSW „Prasa", Polskiego Radia i Filmu Polskiego.

W IMIENIU CAŁEJ NAUKI POLSKIEJ

głęboką wdzięczność za dar Rządu ZSRR wyrazili członkowie Komisji Organizacyjnej Polskiej Akademii Nauk.

„STWÓRZCIE Z RADY ARTYSTYCZNEJ WAŻNY POMOST POMIĘDZY APARATEM PAŃSTWOWYM A TWÓRCAMI I ZWIĄZKAMI TWÓRCZYMI,

wykuwajcie coraz doskonalsze kryteria walki o rozwój narodowej kultury" — tymi słowami zaapelował do członków Rady Artystycznej przy Ministrze Kultury i Sztuki premier Cyrankiewicz, na jej pierwszym posiedzeniu. Ramowy plan pracy Min. Kultury i Sztuki przedstawił zebranym wicemin. Sokorski. Dyr. J. Wilczek — sekretarz Rady — omówił plan działalności Rady Artystycznej na r.b. Na stanowisko drugiego wiceprzewodniczącego Rady wybrano jednomyślnie prof. dr Jana Kotta. Prof. Kott został również redaktorem naczelnym tygodnika pt. „Kultura i życie" — organu Rady, który powołano do życia przyjętą na posiedzeniu Rady uchwałą.

DLA UCZCZENIA 150 ROCZNICY URODZIN WIKTORA HUGO

odbył się 7 b. m. uroczysty wieczór w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie. Na uroczystość przybyli członkowie Rady Państwa i członkowie Rządu. Obecni byli również m. in. znany pisarz i publicysta francuski André Wurmser i redaktor nacz. miesięcznika „Europe" Pierre Abraham. Przewodniczyła zebraniu Zofia Nałkowska. Referat o życiu i twórczości W. Hugo wygłosił Jan Kott. Następnie zabrał głos André Wurmser:

„Dzieła Wiktora Hugo — powiedział Wurmser — stanowią skarb wszystkich Francuzów, którzy stoją u jego boku, walczą jak on niegdyś walczył i wierzą jak on wierzył niegdyś, że świat może być zmieniony, Francja piękniejsza, a człowiek bardziej ludzki. Ale Wiktor Hugo należy nie tylko do narodu francuskiego, należy on do wszystkich, którzy maszerują w szeregach obrońców pokoju...

... Jego głos pozdrawia Polskę dnia dzisiejszego i Francję jutra. Jego głos zapowiada zwycięstwo Międzynarodówki Patriotów nad Międzynarodówką Zdrajców. Jego głos zapowiada zwycięstwo człowieka i jego uwieńczenie: „Wolność w słonecznym blasku".

WALCZMY O PODNIESIENIE IDEOLOGICZNEGO I ARTYSTYCZNEGO POZIOMU TEATRU

— pod tym hasłem odbyły się dwudniowe obrady plenum Zarz. Głównego Stow. Polskich Artystów Teatrów i Filmu. Witając uczestników obrad w imieniu Rządu i KC PZPR wicemin. Sokorski wysunął na plan pierwszy sprawę repertuaru teatralnego oraz nowych metod pracy w teatrze. Na zakończenie zaapelował o zwiększenie wkładu aktorów szczególnie jeśli chodzi o interpretację sztuk współczesnych. Dotychczasowe wyniki pracy polskich teatrów omówił prezes Zarz. Gł. SPATiF, L. Schiller. Dalsze referaty wygłosili: J. Kreczmar — o radach artystycznych w teatrze, E. Axer — o problemie kierownictwa artystycznego, M. Szletyński — o zagadnieniu nowych kadr w teatrze i K. Rudzki — o sprawach organizacyjno-gospodarczych życia teatralnego.

TABLICĘ PAMIĄTKOWĄ

na domu przy ul. Nowy Świat 47 w Warszawie, w którym w latach 1924—29 mieszkał i tworzył K. Szymanowski — odsłonięto 5 b.m.. W niedzielę 6 b.m. odbyła się podobna uroczystość w Zakopanem. Marmurową tablicę odsłonięto również na willi „Atma" przy ul. Kasprusie 17, w której Szymanowski mieszkał w latach 1930—36.

W TRZECIM ROKU SZKOLNYM WSZECHNICY RADIOWEJ

zarejestrowano w całym kraju na 1.II. b.r. 185.246 słuchaczy (łącznie kurs wstępny oraz kursy I i II). Najliczniej reprezentowany jest Śląsk (37.544 słuchaczy). Skład socjalny słuchaczy wszechnicy przedstawia się następująco: 46.520 robotników, 35.137 pracowników umysłowych. 5.425 mało i średniorolnych chłopów, 2.772 nauczycieli, 1.668 robotników rolnych oraz 4.031 osób różnych zawodów. Pod względem wieku przoduje wśród słuchaczy młodzież — 89.513, w tym 68.061 ZMP-owców).

INAUGURACYJNE ZEBRANIE WARSZTATU DRAMATURGICZNEGO

przy Państw. Teatrze Polskim w Warszawie odbyło się 6 b.m. Zadaniem tego zespołu, złożonego z pisarzy-dramaturgów, reżyserów i aktorów jest kolektywna ocena i opracowanie nowych pozycji współczesnej dramaturgii polskiej. W skład zespołu wchodzą m. in.: L. Kruczkowski, A. Tarn, B. Dąbrowski, A. Bardini, J. Kreczmer, G. Buszyński, J. Świderski.

Członkowie zespołu — w oparciu o doświadczenia teatrów radzieckich — będą zapoznawali się indywidualnie z tekstem sztuki, po czym nastąpi odczytanie przez aktorów tekstu rozłożonego na role oraz próbna inscenizacja. Przedyskutowanie utworów na tych trzech etapach przez dramaturgów, reżyserów i aktorów pomoże dokonać właściwej oceny sztuki i jej scenicznej interpretacji.

ZA GRANICĄ

W KIRGIZJI

związek artystów-plastyków przygotowuje wielką wystawę, obrazującą twórczość Leonardo da Vinci. Dla klubów fabrycznych i wiejskich będą przesłane ruchome wystawy, złożone z wielu plansz — reprodukcji prac artysty.

TWÓRCZOŚCI WALTA WHITMANA

wielkiego postępowego poety amerykańskiego — był poświęcony wieczór artystyczny w Centralnym Domu Literatów Radzieckich w Moskwie. Po referacie M. Mendelsona — odczytano wiersze Whitmana w nowych przekładach poetów radzieckich.

W NRD

przebywa obecnie w związku z Miesiącem Przyjaźni Niemiecko-Polskiej delegacja polska, w skład której wchodzą m. in.: S. Żółkiewski (kierownik delegacji), St. Wygodzki, A. Panufnik, H. Sztompka, red. Górski z „Trybuny Ludu", D. Horodyński — red. tyg. „Dziś i Jutro" tenor B. Paprocki i nauczycielka J. Cieślikowska.

FESTIWAL FILMÓW POLSKICH

rozpoczął się w Ostrawie (CSR). Wyświetlane są tam filmy: „Czarci Zleb", „Skarb", „Dom na pustkowiu", „Perwszy start" i „Ulica Graniczna".

CHARLIE CHAPLIN

kończy 16 bm. 63 lata. Z tej okazji francuski tygodnik literacki „Les lettres françaises" (ostatnio wydawany łącznie z „L'écran français" i „Tous les Arts") zamieszcza specjalnie dla niego napisany artykuł ogromnie popularnego we Francji „Charlota". Chaplin pisze, że solidaryzuje się z walką filmu francuskiego o niezależność — z walką przeciwko zalewowi bezwartościowych filmów — jak pisze autor — „zagranicznych" (domyślne: zza oceanu...).

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80, wewn 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P. K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul Srebrna 12 tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9 —, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230
Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, powyżej 10 egzemplarzy — ul Chmielna 25 Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel 7-38-05 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-15487